

MARGIT SANDEMO

UPROWADZENIE

Tytuł oryginału: „Bergtatt”

ROZDZIAŁ I

Liv się nudziła.

Już chyba pora znowu zacząć żyć niebezpiecznie. Można przecież żyć tak, by kusić śmierć.

Jeśli nie dojdę do rogu, zanim zegar na kościelnej wieży zacznie wybijać godzinę, to umrę, myślała. Ale nie wolno mi biec, muszę iść najzupełniej spokojnie, tak by nikt niczego nie zauważył. Och, wskazówka już, już dochodzi, o, ratunku! Nie zdążę! Za moment padnę tutaj martwa! Jeszcze trzy kroki... Uff, zdążyłam! Pierwsze uderzenie. Za późno, mój drogi zegarze, nie tak łatwo mnie unicestwić, jak myślałeś.

Kolana jej dygotały od nerwowego napięcia, które dopiero co przeżyła. Zmęczona i zdyszana, lecz szczęśliwa, że raz jeszcze udało jej się uniknąć śmierci, powlokła się dalej.

Nagle zobaczyła nadchodzącą z naprzeciwka swą siostrę Tullę; w słonecznym blasku jasne włosy lśniły jak gloria nad jej głową. Liv zachichotała cichutko. O rany, a gdyby tak Tulla mogła czytać w jej myślach? O wyścigu z kościelnym zegarem i śmiercią. Tulla by tego nie zrozumiała, nie ona, istota całkowicie pozbawiona fantazji, która myślała jedynie o tym, jak wypada w oczach innych, i która tak strasznie uważała, czy dobrze wygląda, i zawsze wszystko robi tak, jak trzeba. Uznałaby pewnie, że siostra jest dziecinna. I, oczywiście, miałaby rację. Ale co człowiek ma robić? Kiedy nic się nie dzieje, trzeba czasem samemu wywołać trochę napięcia.

Napięcie! Przygody i mistyczne, trudne do wyjaśnienia zdarzenia, to było życie Liv.

- Hej, Tulla, dokąd pędzisz?

- Rany boskie, aleś mnie przestraszyła! I jak ty wyglądasz! Czy mama nie zabroniła ci chodzić w tych dzinsach? Nie wolno ci się włóczyć po mieście, wracaj natychmiast ze mną do domu!

- Zaraz, mam ważny interes do załatwienia. A zresztą to...

Tulla jednak była już daleko i Liv ruszyła przed siebie ze wzrokiem utkwionym w chodnik. Szła po krawężniku i starała się tak stawiać kroki, by nie deptać po szparach pomiędzy płytami. Od czasu do czasu jednak się to zdarzało i za każdym razem zmniejszały się jej szanse, że jeszcze dzisiaj zobaczy Finna. Dziesięć skuch oznaczało, że on się w ogóle nie pokaże.

Na szczęście jednak doszła do parku akurat w momencie, kiedy skusiła po raz dziewiąty, zatem dzień udało się uratować.

Znalazła wolną ławkę z widokiem na miejsce pracy Finna - jak to robiła każdego dnia przez ostatnie trzy tygodnie, czyli, dokładnie mówiąc, od chwili, kiedy wybuchło jej płomienne, ale nieodwzajemnione uczucie do Finna. To właśnie był ów ważny interes, który miała załatwić.

W gruncie rzeczy jednak fakt, że jej miłość była tak kompletnie beznadziejna, nie odgrywał specjalnej roli. Przeciwnie, dzięki temu życie stało się znacznie bardziej romantyczne. Liv wystarczało, że ma o kim marzyć, że jest ktoś, z kim w myślach może się dzielić wszelkimi smutkami i radościami, powierzać mu swoje tajemnice. A Finn wyglądał na człowieka pełnego współczucia, takiego, z którym można rozmawiać o poważnych sprawach Bytu.

Kłopot polegał jedynie na tym, że dokładnie tak samo myślała o wszystkich tych chłopcach, w których się regularnie zakochiwała. Zwykle zauroczenie trwało mniej więcej miesiąc, później zazwyczaj chłopak zaczynał dostrzegać jej wyraźne uwielbienie i dawał boleśnie jasno do zrozumienia, że wszelkie wysiłki pozostaną daremne.

Z Finnem jednak z całą pewnością będzie inaczej. On będzie... O rany, to on!

Szybko, trzeba przybrać odpowiedni wyraz twarzy, pamiętać o głęboko smutnym spojrzeniu. Nie zapominaj o swojej tajemniczej, tragicznej przeszłości, Liv! Chociaż to wcale nie jest łatwe przywoływać wspomnienie tajemniczej przeszłości, kiedy się ma szesnaście lat, wkrótce siedemnaście, i nosi się nazwisko Larsen. Dla Liv jednak nie było rzeczy niemożliwych. A już sprawa tajemniczej przeszłości to jej specjalność. Podrzutek, dajmy na to, dziecko znalezione w kościelnej kruchcie... Prawdziwi rodzice jej nie chcieli... Albo cierpiała na straszną chorobę, szczerze mówiąc była skazana na śmierć... lecz z uśmiechem dzielnie cierpiała w samotności, świat nic nie wiedział o jej zmaganiach.

Oczy Liv przybrały rozmarzony, pełen smutku wyraz, który uważała za swoją tajemną broń. Finn nadchodzi! Nie patrz w tamtą stronę!

Ale oczy jej nie słuchały, zdradzieckie spojrzenie skierowało się tam, gdzie nie powinno. Finn, bardzo ożywiony, rozmawiał z kolegą i przeszedł obok nawet na nią nie spojrzawszy.

Dzisiaj także nie! Zawsze to samo. Liv zaczynała już tracić wiarę w swoją taktykę. Nie jest to zdaje się najlepszy sposób, chyba nie wystarczy wyglądać możliwie najbardziej interesująco. Ale co w takim razie powinna robić? Po tym jak na swoim pierwszym szkolnym balu tańczyła tylko jeden jedyny raz, i to tak zwanego obowiązkowego walca, zniechęciła tańce. Urodą też raczej mężczyźni nie oślepiała. Ale co tam! Finn z pewnością nie zwraca uwagi na wygląd zewnętrzny, on dostrzeże wszystkie jej wyjątkowe wewnętrzne wartości.

Spróbowała przybrać jeszcze bardziej cierpiący i dramatyczny wyraz twarzy. Udręka psychiczna do granic wytrzymałości...

- Dlaczego masz taką naburmuszoną minę?

To znowu Tulla przeszła obok i bezczelnie dołączyła do Finna i jego kolegi. A na domiar wszystkiego chłopcy sprawiali wrażenie zadowolonych, że ją widzą. Liv zerwała się z ławki, przeleciała obok trojga niewiernych i poszła do domu.

Osada Ulvodden była centrum okręgu. Znajdowała się tu stacja kolejowa i szkoła średnia, w której Liv uczyła się aż do ostatniej wiosny. W tej chwili nie robiła nic i czuła się w tej sytuacji marnie.

Zabudowania Ulvodden stanowiło kilkanaście domów mieszkalnych, kościół, spora fabryka i jakieś przedsiębiorstwa rozlokowane wzdłuż brzegu długiego jeziora. Na zboczach gór ponad osadą znajdowały się rozrzucone chłopskie zagrody - duże i zasobne najniżej, a im wyżej, tym mniejsze, które tuliły się do skalnych zboczy i były prawie niewidoczne.

O nikim z Ulvodden nie można powiedzieć nic złego. I zawsze ma się do czynienia albo z wujkiem, albo stryjecznym bratem, albo z kuzynką ciotki... sama rodzina. Larsenowie sprowadzili się w te okolice stosunkowo niedawno i należeli do kręgów, o których matka Liv mawiała „my, ludzie kulturalni”, co Liv uważała za określenie równie mętne, jak nieprzyjemne. Pani Larsen, podobnie jak Tulla, chciała wracać do dużego miasta, Liv natomiast bardzo dobrze się czuła w Ulvodden. To prawda, że w osadzie niewiele się działo, ale za to było tu tyle interesujących i romantycznych miejsc, o których można było wymyślać wspaniałe, pełne napięcia historie. A to Liv umiała jak nikt!

W dużym pokoju siedziała mama z jakąś przyjaciółką. Liv zatrzymała się przed drzwiami. Tamte nie zauważyły, że przyszła, a drzwi były otwarte w ten ciepły wrześniowy dzień.

Liv słyszała głos matki:

- ... jakby Tulla i Liv nie były siostrami. Sama wiesz, jaka jest Tulla. Zawsze miła, zawsze staranna, ładnie ubrana. Natomiast Liv... czasami ogarnia mnie rozpacz. Nikt by nie wierzył, że niedługo skończy siedemnaście lat. Uważam, że zachowuje się jak czternastolatka, chociaż z inteligencją u niej wszystko w porządku. Tylko że wciąż miewa takie dziwaczne pomysły. Czy ty wiesz, co jej ostatnio przyszło do głowy?

- Nie. - Głos tamtej wyrażał najwyższe zainteresowanie.

- Szczerze mówiąc, to nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Ona powiedziała swojej koleżance z dawnej klasy, że z jej pochodzeniem wiąże się jakaś tajemnica. I że wcale nie nazywa się Larsen! No i co ty na to?

- Jezu Chryste! - jęknęła przyjaciółka zaszokowana.

- No! Czyż to nie okropne? Czy teraz się dziwisz, że martwi mnie ta dziewczyna? Ma przecież taką wspaniałą rodzinę, dostaje takie ładne ubrania po Tulli, chociaż wszystko niszczy niemal błyskawicznie. To dziecko, które parę lat temu miało taki cudowny charakter... A teraz, wiosną, musiała odejść ze szkoły! Nigdy w domu nie odwiedzi jej żadna koleżanka, nie ma przyjaciółki, wszędzie sama, ciągle pogrążona w marzeniach, nic nie chce... Popatrz na Tullę, powtarzam jej ciągle, ale ona zawsze wtedy odwraca się i znika. I to, że z takim uporem stara się być oryginalna... Mnie się to wydaje jakies dziwaczne!

- Może to przez wygląd? - zastanawiała się przyjaciółka.

- Wygląd? No tak, zawsze była bardziej podobna do Ernsta niż do mnie - rzekła matka zamyślona. - Ale przecież wcale nie wygląda źle. Ma przecież bardzo ładne oczy i zdrowe mocne zęby. Gdyby tylko chciała coś ze sobą zrobić... - matka westchnęła. - Jak to dobrze, że nie mamy takich problemów z Tullą.

Liv wślizgnęła się do kuchni. Czuła dziwny ucisk w piersiach i całkiem straciła ochotę na jedzenie. Z poczucia obowiązku wypila szklankę kwaśnego mleka, nic więcej nie była w stanie w sobie wmusić. Wstyd jej było, że podsłuchiwała. Kiedy jest się takim beznadziejnym jak ja, to czego innego można się spodziewać, myślała rozgoryczona.

Z kieszeniami pełnymi jabłek ponownie wyszła przed dom.

- Czy to ty, moje dziecko? - zawołała mama z pokoju.

- Nie, to tylko Liv - odparła i trzasnęła drzwiami, nie przejmując się matczynym pełnym przestachu okrzykiem: „Liv, co z tobą?”

Na dworze było niewypowiedzianie pięknie: pogodny i ciepły wrześnieowy dzień, płomiennie żółte liście opadały wolno z drzew i miedzianozłoty zarośli głogu. Liv powlokła się obojętnie w dół, nad jezioro, i tam w samotności długo błędziła pogrążona w marzeniach. Potem przeszła na drugą stronę falochronu, przeskakiwała z kamienia na kamień, przemoczyła buty, zatrzymywała się od czasu do czasu i ciskała kamyczkami na spokojną, jakby zrobioną ze szkła tafłę wody.

Dawne koleżanki z klasy zaprosiły ją na doroczną zabawę w szkole w przyszły piątek. Od wielu tygodni był to temat wszystkich rozmów, a w miarę zbliżania się balu podniecenie rosło. Liv odpowiedziała koleżankom tak jak zawsze.

- Czyście powariowały? - zawołała trochę zbyt głośno i ze zbyt wielkim napięciem w głosie. - Nie mogę wam przecież robić wstydu! Nigdy w życiu żaden chłopak nie zatańczył ze mną dwa razy, a ja też nie należę do tych, które pojmują każdy dyskretny gest.

- Sama zachowujesz się beznadziejnie - powiedziała jedna z dziewcząt. - Myślę, że wystarczyłoby, żebyś powiedziała do chłopaka coś w rodzaju: „Że też odważyłeś się mnie poprosić” albo „Naprawdę chcesz tracić czas na taniec ze mną”, żeby się przekonał, że nie jesteś zarozumiała.

Liv się zarumieniła. Koleżanka miała świętą rację.

Dlaczego ja nie mogę być taka jak inni, myślała. Dlaczego nie mam takich samych zainteresowań jak moje rówieśnice? Dawniej zdarzało się, że z ufnym spojrzeniem wyznawała koleżankom, iż bardzo lubi czytać książki o dawno wymarłych kulturach albo że woli Strawińskiego niż muzykę pop, ale już od dawna nie czyni takich zwierzeń. Dużo prościej jest milczeć i słuchać nie kończącego się paplania dziewczyn o chłopcach i o strojach.

Nie żeby Liv nie lubiła chłopców, owszem, lubiła, nawet bardzo, tylko że ona chciała czegoś więcej niż zwyczajnego podrywu, którym mogłaby się przechwalać. Ona chciała mieć chłopca, z którym mogłaby się zaprzyjaźnić, kogoś, komu mogłaby zwierzyć wszystkie swoje marzenia i fantazje, i który by jej również okazywał takie samo zaufanie.

Ale wśród znajomych Liv takich chłopców nie było. Wszyscy tutejsi młodzieńcy każdą jej próbę filozofowania czy rozmowy na poważny temat kwitowali zawsze tym samym: „Czyś ty całkiem zwariowała?”

Dlatego w klasie Liv była traktowana jako pleciuga wymyślająca najdziwniejsze historie, która zawsze we wszystkim utrzymywała zbyt szybkie tempo i mówiła zbyt głośno. Bo jeśli człowiek nie umie zdobyć przyjaciół w inny sposób, to może przynajmniej rozśmieszać towarzystwo. To też jakaś forma wspólnoty, mimo wszystko.

Liv podniosła z ziemi bardzo dziwny kamień, jak przypuszczała kawałek rudy. Zaczęła myśleć o tych bardzo dawnych czasach, kiedy ów kawałek rudy powstał, ale akurat dzisiaj nie umiała się nad niczym skupić. Coś ją dręczyło, natrętne wspomnienie. Nie miała ochoty na nic. Sprawily to słowa matki na temat Tulli, dumy całego rodu, pierwszej w rodzinie, która będzie miała maturę. Natomiast Liv nawet nie skończyła szkoły. Cóż to za skandal dla jej spragnionej szacunku matki! Ojciec bywał w domu rzadko, i bardzo dobrze, wybuchał bowiem o byle co. On też bardziej cenil Tullę.

Tulla wybierała się na szkolny bal. Ojciec bez słowa protestu dal jej pieniądze na nową sukienkę. Liv zastanawiała się, co by powiedział, gdyby to ona wystąpiła z taką prośbą.

Ale ona nie zamierzała niczego takiego robić. Tańce dla niej nie istniały.

Zaszła tak daleko, że kościół znajdował się z tyłu za nią, ale nie zwracała na to uwagi. Dom i wszystko, co za sobą zostawiła, należało jakby do innej epoki. Zresztą dobrze by było, gdyby w domu musieli na nią trochę poczekać.

Na brzegu było coraz więcej kamieni, coraz trudniej iść. Lekka bryza wywoływała delikatne kręgi na wodzie koło stóp Liv, a nad samą wodą unosiły się chmary owadów. Kiedyś, dawno temu Liv zmartwiła się, że bezradne biedactwa utoną, i delikatnie zbierała je z wody tak długo, dopóki sobie nie uświadomiła, że nic im nie grozi i że one same mogą z łatwością odlecieć. Ponad porośniętymi lasem zboczami widać było w oddali pokryte śniegiem szczyty gór, lśniące intensywnie w blasku jesiennego słońca.

Liv doszła do miejsca na brzegu, któremu kiedyś nadała nazwę Gaj Ofiarny. Na płaskiej skalnej półce rosły tu cztery brzozy i skłonna do niesamowitych i ponurych wizji wyobraźnia Liv podsuwała jej obrazy rytuałów pogańskich, gdy w ofierze składano ludzką krew. Siedziała przez chwilę na skale, a w jej głowie kłębiły się myśli na przemian pełne żalu, nienawiści, smutku i pragnienia zemsty.

Nigdzie nie jestem u siebie, nie należę do żadnej wspólnoty, użalała się nad sobą, kiedy już podniosła się z miejsca i zaczęła się wspinać po zboczu ponad Gajem Ofiarnym. Tam znalazła zaciszne miejsce, w którym mogła się położyć. Kto by się przejmował, gdybym zginęła? Mama? Och, nie, nie ona. A ojciec to by pewnie nawet niczego nie zauważył. Chociaż może by mu brakowało kogoś, na kim można wyładowywać złe humory. Finn? Phi! A Tulla by pewnie powiedziała: „Tego właśnie można się było po niej spodziewać. Wciąż chciała zwracać na siebie uwagę!” Dawne koleżanki szkolne pogadałyby o jej zniknięciu dzień czy dwa i zapomniały, że w ogóle istniała.

A potem znaleźliby jej ciało. W jeziorze? Liv spojrzała z dna krawędzi skalnego uskoku w dół na fale toczące się z cichym pluskiem do brzegu i do niej. Nie, nie w jeziorze, to okropne. No ale przecież w jakiś sposób musi umrzeć, więc na razie można pominąć ten szczegół i pomyśleć o tym, że została znaleziona, blada i piękna. I wtedy wszyscy powiedzą: „Och, Liv, ona była taka samotna. Nie rozumieliśmy jej, a teraz jest za późno”.

Łzy zaczęły spływać jej z oczu i wpadały do uszu, leżała bowiem na plecach i wpatrywała się w niebieskozielone sklepienie ponad swoją głową.

No a potem pogrzeb... Cała szkoła pełni honorową wartę. To oczywiste, że cała szkoła bierze udział w uroczystościach, mimo że Liv nie dotrwała do końca nauki. Grają marsza żałobnego Chopina. Finn wyciera nos. Matka żałuje swego postępowania i szlocha rozpaczliwie. Wszystko jest tak niezmiernie piękne. Najchętniej usiadłaby gdzieś na galerii i rozkoszowała się... nie, do licha, tak nie wolno!

Liv odetchnęła głęboko i otarła łzy. Zachichotała niepewnie, po czym zamknęła oczy. Plusk fal był taki usypiający. Tak rozkosznie było leżeć na słońcu... Ciepło, dobrze, sennie...

Nagle otworzyła oczy. Co to za dziwne dźwięki?

Nie umiała powiedzieć, czy spała naprawdę, czy tylko drzemała, słońce zdawało się stać w tym samym miejscu co przedtem.

Stuk, stuk - puk, puk.

Co to jest, na Boga? Jakiś metaliczny dźwięk, gdzieś bardzo blisko. Ostrożnie uniosła głowę i spojrzała poprzez krawędź skały w dół.

Serce tłukło jej mocno, czuła pulsowanie krwi na szyi.

W dole, na „ofiarnym placu”, siedział w kucki jakiś młody człowiek i czymś w rodzaju pilnika obrabiał kamień. Liv patrzyła na niego z góry, pod pewnym kątem, ale nie miała wątpliwości: to najprzystojniejszy chłopak, jakiego kiedykolwiek widziała. Oczy zrobiły jej się wielkie i okrągłe jak oczy dziecka przed oknem sklepu przystrojonym na Boże Narodzenie. Dla młodziutkiej Liv nieznajomy był prawdziwym objawieniem.

Jego ciemnobrązowa skóra lśniła w słońcu, włosy miał czarne, ale nie takie z odcieniem granatu, tylko brązowoczarne. Biała koszula z podwiniętymi rękawami była odpięta pod szyją, a cała sylwetka zdawała się znakomicie wysportowana. O ile Liv mogła z tej odległości ocenić, nieznajomy miał jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat.

To czary, pomyślała. On nie należy do rzeczywistego świata, jest wytworem mojej fantazji, pobudzonej nastrojem tego niezwykłego miejsca. Może jest jedną z ofiar, jaką złożono w gaju...

Nagle uświadomiła sobie, czym zajmuje się nieznajomy.

- Stop! - krzyknęła głośno. - To niebezpieczne! Na kamieniu ciąży przekleństwo!

Spojrzał w górę, a kiedy zobaczył jej rozczochraną głowę ponad skałą, zerwał się z miejsca.

Liv błyskawicznie zsunęła się w dół po zboczu, nie spuszczając z obcego przestraszonych oczu.

Stali teraz naprzeciwko siebie. On wpatrywał się w nią z taką uwagą, jakby chciał przeniknąć ją do głębi i dowiedzieć się, kim jest. Liv także patrzyła bez słowa.

O ile z daleka widziała go bardzo wyraźnie, to z bliska jakby przesłaniała go mgła. Nie przypominał żadnego z jej znajomych, miał wąskie, lekko skośne oczy i bardzo ładne usta, kształtne, zaciśnięte z wyrazem stanowczości i z jakimś lekkim uśmiechem jak u

fauna, twarz szczupłą z wysokimi kośćmi policzkowymi i wyraźnie zarysowanymi szczękami.

Liv uświadomiła sobie, że wpatruje się w niego już zbyt długo, więc spłoszona i zakłopotana wykrztusiła:

- Przepraszam, że tak krzyknęłam. Nie chciałam przeszkadzać.

Nieznajomy uśmiechnął się z wyraźną ulgą. Poczwała jakby strumień życzliwości płynący od niego. Liv zatrzepotała rzęsami. Poczwała skurcz w gardle. Ze zdziwienia i z zachwyty.

- Co ty mówiłaś? Że kamień jest przeklęty? - W jego głosie wyczuwała rozbawienie. - Dlaczego na takim kamieniu miałoby ciążyć przekleństwo?

Oczy Liv zrobiły się poważne, ale i niewinne zarazem. Każdy, kto ją znał, natychmiast by zakończył tę rozmowę, dostrzegłby we wzroku dziewczyny sygnał ostrzegawczy.

- To jest gaj ofiarny - wyjaśniła. - Tutaj, na tej płaskiej skale, w czasach pogańskich odbywały się rytualne mordy. Jeśli się dobrze przyjrzeć, jeszcze teraz można zobaczyć plamy krwi.

On jednak bez jakiegokolwiek szacunku dla tak niesamowitego miejsca usiadł na świętym kamieniu i dał znak, by Liv zrobiła to samo. Usiadła, zanim zdążyła się zastanowić.

- Nigdy o tym nie słyszałem - powiedział.

- To jasne - roześmiała się. - Wymyśliłam to przed chwilą.

Nieznajomy przyglądał jej się badawczo.

- Gdyby to rzeczywiście miał być plac ofiarny, to nie bałabyś się przychodzić tu sama?

Liv roześmiała się.

- A czyż nie jest tak, że szczególnie pociągają nas miejsca, których się najbardziej boimy? Ja się śmiertelnie boję duchów. A mimo to dosłownie połykam wszelkie historie o duchach i trzęsę się z rozkosznego strachu, kiedy idę przez cmentarz. Dlatego też często przychodzę tutaj... marzę o strasznej przeszłości tego miejsca... i dostaję gęsiej skórki...

Wyjęła z kieszeni dwa jabłka i podała mu jedno. Ręce miał brązowe i żyłaste. Podziękował i wbił zęby w twardego owoc, nawet go przedtem nie otarł, i darował sobie też beznadziejne komentarze o Ewie, która skusiła jabłkiem Adama. Liv lubiła go coraz bardziej.

- Masz rację, rzeczywiście tak jest, że człowieka pociąga zło. Niestety... - powiedział.
- Dobro na ogół nie jest w cenie.

- A czy to nie dlatego, że zło jest zabawniejsze, bardziej podniecające?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- Gdybyś miała wybierać pomiędzy aniołem a demonem, to kogo byś wybrała?

Liv zastanawiała się chwilę.

- No cóż, archanioły na przykład bywają dosyć krewkie. Pomyśl choćby o Michale z odsłoniętym mieczem...

- Otóż i widzisz! Znowu to samo, miecz! To jedyne, co u anioła wydaje ci się pociągające! - śmiał się teraz głośno.

- Nie, akurat nie o to mi chodziło. Ale w ogóle to one muszą być nudne. Taki brzdąkający na harfie, podobny do baranka anioł w nocnej koszuli, to na dłuższą metę może być... no wiesz... Ale czy pociągają mnie demony...? Nie wiem, a zresztą, chyba tak. Smutne to, ale tak jest, wybrałabym demona!

Nieznajomy spoważniał.

- I tak jest z całą ludzkością. Ludzkość nie chce mieć spokoju, o którym wszyscy tyle gadają. Ci, którzy pragną naprawdę walczyć o pokój, muszą umrzeć. Podczas gdy podżegacze wojenni żyją.

Liv była uszczęśliwiona. Nareszcie spotkała kogoś, kto jej słucha i kto z nią rozmawia. I w dodatku cóż to za człowiek! Niemal nie miała odwagi na niego patrzeć, bała się, że on wyczyta bez trudu w jej oczach zachwyt i uwielbienie.

- Mieszkasz gdzieś tutaj niedaleko? - zapytał.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Ja nie mam domu, niestety.

- Chcesz powiedzieć, że uciekłaś?

- Nie - westchnęła ciężko. - Nie uciekłam. Moja rodzina nie chce mnie dłużej. Mają inną córkę, śliczną, jasnowłosą niczym anioł, kochają właśnie ją. Poprosili, żebym sobie poszła, nie mają na zbyciu uczuć, które mogliby przeznaczyć dla mnie.

Nie spuszczał z niej sceptycznego spojrzenia.

Liv dodała żałośnie:

- No, może to nie całkiem prawda.

- Podejrzewam, że nie - wtrącił. - Opowiedz teraz, jak to jest naprawdę.

I Liv opowiedziała. Z pewną dozą złośliwości odmalowała swój stosunek do matki i Tulli, o ojcu, jej zdaniem, nie było w ogóle co mówić. Wspomniała też o trudnościach w kontaktach z rówieśnikami i z chłopcami w ogóle. Na temat Finna - na nie powiedziała ani słowa z tego prostego powodu, że całkiem o nim zapomniała.

Kiedy skończyła swoją biografię, spojrzała na nieznajomego niepewnie; mówienie o sobie jest pożyteczne, ale jakież okrutne, iluzje gasną jedna po drugiej.

- Skoro tak - rzeki ów wspaniały człowiek w zadumie - skoro tak, to zastanawiam się, jak mógłbym cię zakwalifikować.

- No jak? - zawołała Liv zaciekawiona.

- Jako niepoprawną romantyczkę - roześmiał się. - Pod pewnymi względami okropnie niedojrzała jak na swój wiek. I z kolosalną potrzebą czułości. Jak wielu innych spragnionych czułości, pociąga cię brutalność i bezwzględność.

- O, nie, tu się mylisz! - oburzyła się Liv.

- Nic podobnego! To odwieczne marzenie kobiet, by znaleźć złote serce pod powłoką oschłości i brutalności.

Odwrócił się do niej i objął ją ramieniem. Serce Liv zaczęło bić jak szalone. Kręciło jej się w głowie.

- Bądź ostrożna - poradził jej nieoczekiwanie stanowczo. - Należysz do dziewcząt, które mogą sobie napytać prawdziwej biedy. Łatwo mieszasz rzeczywistość z wytworami fantazji, a jesteś tak wrażliwa, że możesz zostać głęboko zraniona, kiedy przyjdzie ci poznać różnicę.

- Zupełnie nie rozumiem, co chcesz powiedzieć. W Ulvodden nic się przecież nigdy nie dzieje.

- To prawda - rzekł dziwnie ochryłym głosem. - Ale to tym bardziej niebezpieczne, bo jeśli się nareszcie zdarzy coś „podniecającego”, to rzucisz się w to niczym éma lecąca do światła, prawda?

- O, tak, możesz być pewien!

- A więc nie rób tego! - ostrzegł i przycisnął ją do siebie tak mocno, aż poczuła ból w plecach. - Będą cię pociągać najróżniejsze przygody, ale ty nie jesteś jeszcze dostatecznie dorosła, by ocenić niebezpieczeństwo ani by ponieść konsekwencje.

Puścił ją nagle i wstał.

- A teraz będzie najlepiej, jeśli pójdziesz do domu - oświadczył. - Mam tu jeszcze trochę do zrobienia. Znalazłem bardzo interesujące minerały.

Liv rozcierała bolące ramię.

- Ty - powiedziała cieniutkim głosem. - Ty tak wiele *rozumiesz, czy możesz* mi powiedzieć, dlaczego nikt mnie nie lubi? Dlaczego jestem taka niemożliwa? Chcę być dobra dla moich w domu, jesteśmy przecież rodziną, ale wciąż zachowuję się tak beznadziejnie. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego zawsze odpowiadam niegrzecznie i wnoszę pomiędzy nimi a sobą jakiś mur nie do przebycia. Bo to moja wina, jestem pewna, zawsze potem żałuję, ale nie umiem być miła...

Patrzył na nią z łagodnym uśmiechem.

- Naprawdę tego nie rozumiesz? Ty jesteś wrażliwą artystyczną naturą, która, tak się złożyło, przyszła na świat w porządnej mieszczańskiej rodzinie. Nie wiem, w czym się wyrazi twój talent, może jesteś uzdolniona malarsko, może potrafisz pisać...

Liv z zapałem kiwała głową.

- Będziesz kimś, jestem tego pewien. Próbuj pracować nad rozwojem swojej osobowości, zamiast użalać się sama nad sobą i płakać, że nikt cię nie rozumie. Zachowałem się wobec ciebie okrutnie?

Liv była do głębi poruszona tym, że ktoś okazuje jej tyle zainteresowania, uśmiechnęła się blado, potem pomachała mu na pożegnanie i pobiegła w stronę domu.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nawet go nie zapytała, jak się nazywa. Skąd on się tu wziął? I dokąd się wybiera? On zresztą też nie znał jej nazwiska ani nie miał pojęcia, gdzie mieszka. Choć wiedział o niej wcale nie tak mało, nie mógłby jej odszukać.

Tylko że, oczywiście, wcale jej szukał nie będzie. Poczowała skurcz w sercu. Taki mądry, taki życzliwy i wyrozumiały człowiek! Był odpowiedzią na wszystkie jej marzenia o prawdziwym przyjacielu. Różnica wieku jest, rzecz jasna, trochę zbyt duża, ale przecież nie ma mowy o żadnych uczuciach, w grę wchodzi jedynie przyjaźń. A że on przy tym jest przystojny i pełen wdzięku, to dodatkowy plus, choć nie najważniejszy.

Wyobraźnia Liv zaczęła snuć wspaniałe sny na jawie, marzenia przekraczające wszystko, co dotychczas wyśniła.

W umyśle Liv dojrzywał pewien plan.

Zaprosi go na szkolny bal w najbliższy piątek!

Plan napotykał jedynie kilka drobnych przeszkód. Jak znaleźć nieznajomego, żeby przekazać mu zaproszenie? I czy zdobędzie się na odwagę, by mu to powiedzieć?

ROZDZIAŁ II

Przy śniadaniu następnego ranka Liv zaczęła przygotowywać grunt do działania, kłaść fundamenty, jeśli można tak powiedzieć.

- Tato - zaczęła niepewnie. - Czy mogłabym sobie kupić coś do ubrania?

Rodzina nie byłaby bardziej zdumiona, gdyby autobus wjechał do ich kuchni. Tulla zakrztusiła się herbatą, a pani Larsen o mało nie upuściła filiżanki. Ojciec zastygł w bezruchu z nożem uniesionym nad talerzem.

- A na co ci nowe ubrania? - zapytała wreszcie Tulla, gapiąc się na siostrę z otwartymi ustami.

- Ja... Nie, potrzebne mi. Zwłaszcza wyjściowa sukienka.

Tulla zachichotała z pogardą, a Liv posłała jej pełne gniewu spojrzenie.

- Ależ drogie dziecko - wtrąciła mama. - Masz przecież sukienek pod dostatkiem.

- Wcale nie, nic nie mam - odparła Liv z zaciętością, bo wszystko wskazywało na to, że walka będzie długa i trudna. - Mam tylko spodnie i swetry i kilka paskudnych szkolnych sukienek po Tulli, i jeszcze tę niedzielną, którą po niej odziedziczyłam trzy lata temu.

- Ale ja nie mam pieniędzy, żeby wyrzucać na jeszcze jedną suknię w tym tygodniu - zaprotestował ojciec. - Tulla właśnie dostała sukienkę za dwieście koron.

- Czy nie mogłabyś w takim razie wziąć którejś ze starych sukienek Tulli? - zaproponowała mama. - Ta różowa ma zaledwie kilka miesięcy, wcale nie jest znoszona.

Liv przełknęła ślinę i z uporem spojrzała na matkę.

- Nie chcę żadnej różowej sukni. Gdybym mogła sama decydować o kolorze, to wybrałabym coś chłodniejszego, niebieski albo zielony, albo lila. A najprawdopodobniej biały.

- Niebieski albo zielony dla ciebie? - wybuchnęła matka. - Ty przecież...

- Ty przecież masz ciemne włosy i powinnaś nosić czerwony albo żółty, wiem, i dziękuję bardzo, już to dawniej słyszałam. Ale to nie pasuje ani do mojej cery, ani do oczu. Nie można przecież dobierać ubrań wyłącznie pod kolor włosów!

Liv była wzburzona i zdecydowana przeprowadzić swoją wolę.

- No dobrze, ale gdzie masz zamiar w niej pójść? - zapytała Tulla.

- Wybieram się na szkolny bal - odparła Liv stanowczo. - To nic, że już tam nie chodzę. I powinnam też coś zrobić z włosami, a poza tym muszę kupić nowe pończochy, bie-

liznę i buty. I jeszcze potrzebny mi jest nowy sweter, bo już nie mogę chodzić w tym prosiaczkowato różowym po Tulli. I dziesięć koron na dwa bilety.

- Dwa? - krzyknęła Tulla. - A z kim to się wybierasz, jeśli łaska?

- Z jednym... przyjacielem - burknęła Liv. - On mi w piątek zwróci za bilet.

- Skąd ci się nagle wzięła taka ochota na tańce? Czy to nie przypadkiem jeden taki imieniem Finn jest przyczyną?

Liv odpowiedziała tylko wściekłym parsknięciem.

- Nie o to chodzi - przerwał ojciec. - Nie ma znaczenia, z kim chce pójść, bo i tak nie stać mnie na nowe ubranie. Basta, koniec dyskusji!

Liv poczuła pieczenie w oczach.

- W takim razie wezmę z mojej książeczki oszczędnościowej.

- Ani mi się waź! - krzyknął ojciec surowo. - Nie masz jeszcze prawa sama dysponować swoją książeczką. A poza tym zostaniesz w domu. Skoro nie chciało ci się uczyć i musiałaś przerwać naukę, to nie masz czego szukać na szkolnym balu!

Liv powiedziała cicho, bardzo zgnębiona:

- Zostałam zabrana ze szkoły dlatego, bo nie mogliście znieść takiego wstydu, żeby wasza córka powtarzała klasę. Czy nigdy wam nie przyszło do głowy, że może ja nie jestem jeszcze dojrzała do tej klasy? Gdybyście dali mi rok, to jestem pewna, że wszystko ułożyłoby się bardzo dobrze. Przecież pisałam najlepsze w klasie wypracowania z norweskiego i pani powiedziała, że mam bardzo bogatą wyobraźnię...

- O, tak, to jedyne, co masz - powiedziała Tulla złośliwie.

Inspektor Larsen wyglądał, jakby chciał się nad czymś lepiej zastanowić, mimo to oświadczył krótko:

- Trudno, nic na to nie poradzę, muszą ci wystarczyć ubrania, które masz. Tak ładnie wyglądały na Tulli, to dla ciebie też powinny być dobre.

Liv wstała.

- Zdaje mi się, że to wszystko zaczyna przypominać bajkę o Kopciuszku! - syknęła ze złością.

- Uff, ale romantyczne porównanie! - zachichotała Tulla szyderczo. - Z tą tylko różnicą, że nasz Kopciuszek żadnego księcia nie znajdzie!

- Nie potrzebuję twojego głupiego księcia - odparła Liv i trzasnęła drzwiami kuchennymi tak, że szyby zadzwoniły w oknach.

Na górze w swoim pokoju usiadła na krawędzi łóżka i oparła na rękach rozpalone policzki. Nienawidzi ich wszystkich, zebranych na dole, którzy tworzą zwarty front prze-

ciwko niej, odpychają ją od siebie. A tak marzyła o tym balu! Gdyby miała być szczerą, to musiałaby przyznać, że odczuwała mrowienie na plecach, kiedy sobie myślała, jakiego naprawdę wspaniałego młodego człowieka mogłaby zaprezentować na zabawie! Ale nie tylko dlatego chciała tam pójść. Cudownie było wyobrażać sobie, że pozostanie z nim przez cały wieczór, będzie z nim tańczyć - z tym tańcem to chyba jednak nie taka głupia sprawa - i on odprowadzi ją do domu... A potem ona, oczywiście, nie pozwoli mu odejść. No tak, a gdyby jednak wziąć różową sukienkę Tulli? Nie, nie chciała! Liv może zostać kimś, jeśli tylko będzie pracować nad rozwojem swojej osobowości, powiedział nieznajomy. On pewnie akurat nie ubrania miał na myśli, ale od czegoś trzeba przecież zacząć.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i do pokoju weszła mama.

- Liv - powiedziała trochę zakłopotana. - Chyba rozumiesz, że nie miałam nic złego na myśli wczoraj, kiedy rozmawiałam z panią Nordsten. Przecież wiesz, że ciebie także bardzo kocham. Tak mi było przykro, kiedy odpowiedziałas mi niegrzecznie w obecności pani Nordsten. Chyba zdajesz sobie sprawę?

Liv bez słowa kiwała głową.

Pani Larsen zagryzała górną wargę.

- Myślałam o tym, co powiedziałaś przed chwilą, Liv, i rzeczywiście, ty nigdy nie miałaś ubrania, które by było tylko twoje. Może to się wzięło stąd, że nigdy nie okazywałaś zainteresowania takimi sprawami. Jeśli masz ochotę iść na tę zabawę, to... ja mam trochę odłożonych pieniędzy. Właściwie powinniśmy wymienić firanki, ale myślę, że zabawa jest ważniejsza. Proszę bardzo, weź pieniądze i kup sobie coś naprawdę ładnego!

Liv zaskoczona brała w milczeniu duże banknoty. Takiej sumy chyba jeszcze nigdy nie miała w rękach.

Matka wtrąciła pospiesznie:

- A ten twój przyjaciel, z którym się wybierasz, to jakiś sympatyczny chłopiec?

- Fantastyczny!

- No, mam nadzieję. Bo ty, niestety, masz upodobanie do skrajności. - Matka stała przez chwilę niezdecydowana. - A poza tym mam nadzieję, że będziesz teraz grzeczna i nie będziesz przyczyniała zmartwień mamie i tatusiowi. Ja wiem, że mogłabyś uczyć się prawie tak dobrze jak Tulla, gdybyś się tylko trochę postarała i nie była taka uparta. Pomyśl, jaka by to była radość dla taty i mamy mieć dwie miłe i dobre dziewczynki!

Nawet to kazanie nie było w stanie zdławić radości Liv.

- Mamo.

Pani Larsen była już w drzwiach, ale odwróciła się.

- Tak?

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję!

Liv biegła po sklepach tak długo, aż znalazła wszystko, co chciała, zgodnie ze swoim gustem. Wieczorowa sukienka miała takie zdumiewające połączenia kolorów, że pani Larsen jęknęła na jej widok. Ale przerażenie trwało dopóty, dopóki Liv nie włożyła sukienki.

- No... - powiedziała mama. - Nigdy bym nie przypuszczała... Bardzo ci w niej ładnie! Nagle cera zrobiła się złocistobrunatna, a oczy nabrały blasku! Nie zdawałam sobie sprawy, że masz takie niebieskie oczy! Liv, co ty zrobiła ze swoją figurą? Wyglądasz jak zupełnie dorosła panna!

- Po prostu kupiłam odpowiedni rozmiar - wyjaśniła Liv. - Stare sukienki Tulli były na mnie zawsze trzy numery za małe.

- Mój Boże - szeptała pani Larsen z podziwem i jakby trochę wzruszona.

- A zobacz tutaj - mówiła Liv z zapałem. - Nowy biały sweter i nowe spodnie. Nie będziesz już musiała mnie oglądać w tych za ciasnych dżinsach. I wiesz co, mamo? Ja się przebrałam w sklepie, a kiedy szłam potem ulicą, to chłopcy gwizdali na mój widok. Spotkałam też Finna, to taki facet, w którym się kiedyś podkochiwałam. Nie zgadłabyś, ale wyglądał na kompletnie porażonego. Zapytał, czy to ja jestem młodszą siostrą Tulli i gdzie się podziewałam przez całe jego życie. Czy słyszałaś kiedyś coś bardziej zapierającego dech w piersi? Ale ja udałam zakłopotaną i powiedziałam: „Wybacz mi, chyba jednak cię nie znam. Czy ty jesteś jednym z wielbicieli Tulli? Masz może na imię Olav?” Powinnaś była widzieć, jak mu ten uwodzicielski uśmiezek zamarł na wargach. „Ja jestem Finn”, wykrztusił i zanim zdążyłam powiedzieć jeszcze coś obraźliwego, zapytał, czy będę na szkolnym balu...

W tej chwili do domu wbiegła Tulla.

- Jest tata?

- Nie ma, właśnie pojechał na działkę - odparła pani Larsen. - A o co chodzi?

- Nic takiego, chciałam mu tylko powiedzieć, że nowi właściciele fabryki przyjadą za kilka tygodni.

- Jacy nowi właściciele? - zapytała Liv.

- A ty, jak zwykle, nigdy niczego nie wiesz - warknęła Tulla niecierpliwie. - Pewnie nawet nie wiesz, że stary umarł?

- Nie, to oczywiście wiem, ale kto po nim odziedziczył majątek?

Pani Larsen wyjaśniła:

- Miał jakąś rodzinę w Danii i oni teraz przejęli wszystko. Z wyjątkiem starego pałacu, który właściwie jest ruiną, więc oni go nie chcą. Ma być w przyszłym tygodniu zburzony.

- O, to wspaniale! - zawołała Liv. - To paskudztwo kompletnie nie pasowało do naszej okolicy. Jak ktoś mógł wybudować kamienny dom z wieżyczkami tutaj w górach? Tak strasznie pozbawiony gustu, że zawsze kiedy na niego patrzyłam, dostawałam gęsiej skórki.

Nagle Tulla zwróciła uwagę na przemianę Liv.

- Liv ma nowy sweter? To dlaczego ja też nie dostałam? A jak ty wyglądasz! Coś ty, przeglądałaś stare ubrania?

- Nie - odrzekła Liv triumfująco. - To są całkiem nowe ubrania.

- Mamo, pytałam, dlaczego ja też nie dostałam nowego swetra?

- A zastanów się, co by to było, gdybym ja tak pytała za każdym razem, kiedy ty dostajesz nowe ubranie - powiedziała Liv.

- Czy wy zawsze musicie się kłócić? - lamentowała pani Larsen zmartwiona. - Zastanawiam się, czy inne rodzeństwa też się tak nie lubią jak wy. Liv zasłużyła sobie już dawno na nowe ubrania, poza tym uważam, że w tym swetrze jest jej wyjątkowo do twarzy. A gdybyś ją jeszcze zobaczyła w sukience! Kolory naprawdę szokujące, ale jej jest w tym znakomicie.

- To ona sukienkę też dostała? Ile właściwie kupuje się tej smarkuli?

- Tulla, moja droga - jękała pani Larsen. - Ja cię nie poznaję, zawsze taka grzeczna i miła.

Tak, grzeczna i miła, kiedy wszyscy koło niej skaczą, to owszem, pomyślała Liv.

I znowu została poddana przesłuchaniom na temat tego, kto ma jej towarzyszyć na szkolną zabawę. Matki są zdumiewające. Boją się śmiertelnie, że córki nie będą miały powodzenia u chłopców, ale niech no się jaki pojawi, to boją się jeszcze bardziej. To, że Tulla miała mnóstwo wielbicieli, było czymś całkiem naturalnym i nie wzbudzało niepokoju, Tulla jest przecież rozsądną panną. Ale kiedy teraz Liv szepnęła słówko o kimś obcym, matka natychmiast zaczęła podejrzewać, że to jakieś monstrum. Tulla po prostu nie uwierzyła w jego istnienie, a Liv w chwilach zwątpienia skłonna była przyznać jej rację.

Wczesnym popołudniem Liv uznała jednak, że nastąpiła odpowiednia pora, i pobiegła na brzeg. Przeszła przez te idiotyczne falochrony, okrążyła wydłużony cypel i zbliżała się do brzoźowego gaju. A jeśli on odmówi? A jeśli nie będzie mógł albo całkiem po prostu nie będzie chciał pójść z nią na zabawę? No nie, musi chcieć! Tak im się dobrze ze sobą rozmawiało, byli wobec siebie tacy szczerzy. Więc jeśli Liv poprosi naprawdę ładnie...

Okropnie zdyszana dotarła do szczytu wzniesienia ponad czterema brzożami, gdzie widziała go po raz ostatni.

Fale z pluskiem omywały brzeg, ale brzeg był pusty.

Wiało dużo bardziej niż poprzedniego dnia, powietrze było ostre, całkiem już jesienne. Liv stała bez ruchu, rozczarowanie narastało, podchodziło do serca, dwa bilety w kieszeni były jak szyderstwo.

Ale chwileczkę, przecież wtedy się zdrzemnęła, dopiero później go zobaczyła. Może więc i dzisiaj powinna poczekać! Zbiegła na brzeg, pokręciła się trochę na granicy wody, potem usiadła w malowniczej pozie na kamieniu, wstała znowu i próbowała odnaleźć ślady nieznanego na piasku pomiędzy kamieniami i w trawie nieco wyżej. Miała wrażenie, że chodząc po śladach dowie się o nim czegoś więcej, ale poszukiwania okazały się daremne.

Kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, dla wszelkiej pewności po raz chyba setny wspięła się na szczyt wzgórza, by rozejrzeć się po okolicy. Porośnięte ciemnym borem zbocze leżało pogrążone w mroku i ciszy, w oddali w ostatnich promieniach słońca mienił się wodospad, a pod nią brzozy zdawały się wisieć nad wodą, ciche jakby ubolewały, że nic nie mogą pomóc. I nigdzie żywej duszy.

Ponure, odosobnione miejsce i zapadający mrok oddziaływały na wyobraźnię Liv. Stała wysoko, bezradna i przemarznięta. Teraz było za późno, on już nie przyjdzie. Słońce leżało na linii horyzontu, dzień dobiegł końca.

A może nieznanomy przyjdzie jutro? A może nigdy, bo mógł przecież wyjechać stąd na zawsze... Ona opowiedziała mu wszystko o swoim życiu, ale on... On nie powiedział ani słowa o swoim. Jakie to typowe dla niej, zajętej przede wszystkim sobą i roztrzepanej! Dlaczego o nic nie zapytała? Bo nie chciała się naprzykrzać, ale może on uznał to za kompletny brak zainteresowania z jej strony. On, najsympatyczniejszy, najmilszy młody człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkała. On, który mógł stać się tym przyjacielem, o jakim od zawsze marzyła i za którym tęskniła...

A teraz koniec. Tylko jedno krótkie popołudnie, a potem już nic więcej. Teraz była jeszcze bardziej samotna niż przedtem.

W ponurym nastroju zaczęła ciskać kamieniami w kierunku zachodzącego słońca. Z pluskiem wpadały do wody, na ogół kilka metrów od brzegu.

I co w tej sytuacji pocznie z tym drugim biletem? A ubrania? Na dodatek zamówiła sobie wizytę u fryzjera. I u manikiurzystki...

Nagle coś mignęło jej w oddali...

Najzupełniej przypadkiem spojrzała w tamtą stronę, wzdłuż brzegu ku odległym borom i pustkowiu. Drgnęła i zaczęła się przyglądać uważniej.

Naprawdę coś się poruszało w lesie nad brzegiem.

O, teraz znowu! Jakiś ruch... coraz bliżej i po chwili na skraju lasu ukazał się człowiek. Ciężko, z wielkim wysiłkiem biegł ku niej. Raz po raz odwracał się, jakby wypatrywał czegoś z tyłu za sobą. I wtedy Liv odkryła coś jeszcze. Daleko za nim biegło dwóch innych mężczyzn.

Liv zmarszczyła czoło. Rzeczywiście, tamci dwaj gonili pierwszego, na to wyglądało. Jak na filmie. Liv podniecona obserwowała wydarzenia i wyobrażała sobie, że wie, o co chodzi. Otóż uciekający mężczyzna był złodziejem bydła, ścigał go szeryf ze swoim pomocnikiem. I szeryf miał, oczywiście, strzelbę. No właśnie! Jeden z goniących miał strzelbę. Szeryf zatrzymał się, by wycelować. Przyłożył broń do policzka...

Rozległ się strzał, złodziej bydła zamachał rękami w powietrzu, potoczył się w przód i legł bez ruchu na ziemi.

Szeryf z pomocnikiem dopadli lasu i zniknęli.

Liv odetchnęła. Jej myśli z wolna powracały do rzeczywistości.

O Boże, ale to przecież nie był film! Stała na brzegu niedaleko Ulvodden. Ale w takim razie ten człowiek...

O Boże!

Czy to jakieś zaczarowane miejsce? myślała w panice, pędząc wzdłuż brzegu w stronę leżącego. Jednego dnia spotyka się jakiegoś przybysza nie wiadomo skąd, który okazuje się wspaniałym przyjacielem, a drugiego jest się świadkiem, no właśnie, czego? Morderstwa?

Nie, nie! Oczywiście, że to nie morderstwo. Takie rzeczy się w Ulvodden nie zdarzają. Ale, w takim razie, co?

Kiedy zdyszana dobiegła do miejsca, w którym człowiek upadł, odkryła natychmiast, że tu rzeczywiście chodzi o morderstwo. Pojęcia nie miała, jak należy postępować z rannymi, zresztą widziała tylko ciemną plamę wokół śladu po kuli na jego łopacie, więc sztywna z przerażenia odwróciła leżącego na plecy. Był to krępy mężczyzna lat około pięćdziesięciu i Liv go znała. Chociaż nie umiałaby powiedzieć, co on robi w Ulvodden. Nazywał się Berger i miał działkę niedaleko działki Larsenów wysoko w Månedalen. To właśnie tam pojechał dzisiaj ojciec Liv, miał zamiar polować w górach.

Berger dawał słabe oznaki życia i Liv rozglądała się rozpaczliwie wokół.

Co robić? myślała przerażona. Co ja mam robić? On potrzebuje jak najszybciej pomocy, a ja...

Nagle ranny otworzył oczy i patrzył na nią mętным wzrokiem.

- Liv - jęknął ledwie dosłyszalnie. - Liv, musisz pomóc...

- Tak, tak - powiedziała i uklękła przy nim. Nigdy jeszcze nie bała się tak bardzo. -

Czy mam sprowadzić doktora?

Potrząsnął głową.

- Nie ma czasu. Nie idź... Poczekaj...

Kłęczała dalej nie wiedząc, co począć, a on z wysiłkiem łapał powietrze.

- Liv - jęknął znowu. - Słuchaj mnie dobrze...

- Tak. Słucham, słucham - odparła nerwowo.

- Przepiękne... Straszne przestępstwo zostało popełnione w Ulvod...

Reszta zdania utonęła w okropnym kaszlu. Liv ku swemu największemu przerażeniu stwierdziła, że z kącika ust rannego spływa strużka krwi. Otarła ją pospiesznie, chora z obrzydzenia pomieszanego ze współczuciem, i czekała.

Berger z największym wysiłkiem mówił dalej:

- Znany człowiek... Przeciw wielu ludziom... Ja byłem z nim. Ponury czyn... Ja żałuję. Chciałem się wyłączyć. Chciałem do lensmana. Ale dopadli mnie, tutaj...

Teraz Liv już prawie nie słyszała, co mówi. Musiała się pochylić nad jego wykrzywioną twarzą.

- Papiery, Liv. Schowałem je. Wiesz gdzie. Kamień - dziura. Rozumiesz?

Liv zastanowiła się chwilę i skinęła głową.

- Wiem, w tym kamieniu, który znaleźliśmy w górach. Pan i ja z moim tatą.

- Schowałem je, Liv! Oddaj lensmanowi albo swojemu tacie. Nikomu innemu. Ja je tam schowałem, a oni mnie gonili... cały...

- Kim oni są? - zapytała bez tchu.

- Dwóch ludzi... Nie wiem... To chodzi o... Arv... ida An...

Koniec nadszedł nagle i był straszny. Liv musiała się odwrócić.

Na brzegu panowała taka dziwna cisza. Liv wciąż kłęczała, nie mogła ruszyć ani ręką, ani nogą, nie była w stanie zebrać myśli. Jakieś oderwane słowa i fragmenty zdań wirowały jej w głowie.

Przygoda, napięcie... Czy to naprawdę takie interesujące przeżycia? Możliwe, ale nie w ten sposób. Sama ze śmiercią na pustym brzegu. Śmierć jest ponura, myślała. Berger był sympatyczny, a ja nie mogłam nic zrobić, by mu pomóc. Byłam jak sparaliżowana ze strachu. Lensman. Papiery. Nie znam Bergera za dobrze. Ojciec jest na polowaniu w Månedalen. Wołałabym, żeby nie był myśliwym. Mam skurcze w łydkach. Muszę stąd uciekać, jak

najszybciej dostać się do lensmana. Ktoś powinien zająć się Bergerem. Przepięstwo? Jakie przepięstwo? Znany człowiek? Arvid? Kim jest Arvid? Andersen? Najbardziej bym chciała, żeby się tu zjawił mój wczorajszy przyjaciel.

Otrząsnęła się z odrętwienia. Nie przemogła się, by raz jeszcze spojrzeć na trupa, chociaż przecież powinna chyba coś dla niego zrobić, zamknąć powieki albo otrzeć... Nie, nie była w stanie.

Jak żałośnie tchórzliwy jest człowiek, myślała ogarnięta głęboką niechęcią do samej siebie. A ten, kto najgłośniej krzyczy o przygodach i napięciu, jest największym tchórzem.

Liv była bardzo wysportowana i potrafiła szybko biegać.

Tym razem jednak nie dość szybko. Kiedy biegła co sił w nogach ku osadzie, po przewodach telefonicznych płynęła wiadomość...

Jeden z najznakomitszych mieszkańców Ulvodden podniósł słuchawkę. Wyraz lodowatej powagi pojawił się na jego twarzy, kiedy zdał sobie sprawę z tego, kto dzwoni.

- No? - zapytał krótko.

- Załatwiliśmy go. Na brzegu, kawałek za cyplem. Od jednego strzału.

- Żadnych świadków?

- Nie. To znaczy dziewczyna tamtędy przebiegła w chwilę później. Mogła znaleźć trupa. Ale zjawiła się chyba za późno, żeby widzieć, co się stało. Kiedy Stein strzelał, nie było w pobliżu żywej duszy, mogę przysiąc.

Mężczyzna zaklął głośno.

- Usunąć mi zwłoki! Na zawsze. Idioci, powinniście byli sami o to zadbać natychmiast potem. A co z dziewczyną?

- Pobiegła do osady, może do lensmana, a może powiedzieć mamie, co się stało? Ha, ha!

- Opisz, jak wyglądała!

- Nie widzieliśmy dokładnie, było za daleko. Ale taka tam, nastolatka. Czarne włosy krótko przycięte, biały sweter i niebieskie spodnie. Zdaje mi się, że miała sandały na boscie nogi.

Pogardliwy uśmieszek wypłynął na wargi człowieka przy telefonie.

- Jeżeli to ta, o której myślę, to sprawa będzie prosta. Wygląda, że to Liv Larsen, notoryczna kłamczucha. Jej nikt nie uwierzy w ani jedno słowo. A poza tym ja się nią zajmę. Wy zróbcie porządek z tamtym!

Odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział pogrążony w ponurym skupieniu. Liv Larsen... Nie należy do tych, co biegają na skargę do mamusi... Wstał i wyszedł do przedpokoju.

- Kochanie, wychodzę na chwilę - zawołał w górę schodów. - Poza tym obiecałem lensmanowi Lianowi, że wstąpię do niego dziś wieczorem.

Liv była zdyszana i kolana się pod nią ugiwały, kiedy nareszcie znalazła się w domu lensmana. Czekala z niecierpliwością, on jednak rozmawiał ze swoimi gośćmi, trzema najbardziej szanowanymi obywatelami osady, którzy najwyraźniej dyskutowali o budowie nowej fabryki.

- W następną sobotę wysadzimy tę starą ruinę w powietrze - mówił inżynier Garden. - Nie ma sensu tracić czasu na rozbiórkę kamień po kamieniu.

Jego zimna surowa twarz znajdowała się w cieniu, siedział odwrócony plecami w stronę okna. Liv zawsze się bała inżyniera Gardena. Był dyrektorem fabryki, przełożonym jej ojca, Liv nigdy nie widziała, żeby się uśmiechał.

- No tak, w takim razie będziecie mogli szybciej zacząć budowę nowej fabryki - rzekł adwokat Sundt, który siedział wygodnie oparty w fotelu.

Liv bardzo dobrze знаła adwokata, w Ulvodden ludzie przeważnie dobrze się znają. To sympatyczny pan, typ dobrego wujaszka, miał jednak znaczne wpływy i cieszył się wielkim szacunkiem; zasiadał niemal we wszystkich radach i zarządach w okolicy. Budził respekt, choć Liv uważała, że dość obrzydliwie wygląda jego podwójny podbródek i duży, sterczący brzuch.

Trzeci z gości był jej starym znajomym, był to mianowicie dyrektor szkoły, który zasiadał jednocześnie w radzie gminnej w Ulvodden. Koledzy Liv twierdzili, że dyrektor jest tak naprawdę bardzo sympatyczny, ale ponieważ jego znajomość z Liv sprowadzała się głównie do spotkań w dyrektorskim gabinecie, kiedy Liv znowu coś zbroiła, ona sama nie żywiła dla niego przyjaznych uczuć. Był to nieduży, energiczny pan, raczej nieskłonny do wylewności. Nawet kiedy się uśmiechał, sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie.

Lensman zwrócił się do Liv.

- Wygląda na to, że masz coś pilnego - powiedział przyjaźnie.

Liv nerwowo spojrzała na trzech szacownych gości.

- Może cię nasza obecność krępuje? - zapytał sympatyczny adwokat Sundt.

- Nie, nie, wcale nie - zaprotestowała pospiesznie, choć myślała coś dokładnie odwrotnego. - Panie lensmanie, ja przed chwilą widziałam, jak zamordowano człowieka!

- Opowiedz, jak to było - rzekł lensman bezbarwnym głosem.

Liv wyjaśniła wszystko dokładnie. Powiedziała także o papierach schowanych w górskiej kryjówce.

- No wiesz... - zaczął lensman, który przez cały czas jej opowiadania drapał się po brodzie. - Brzmi to jak prawdziwa zbójcka historia. Nie fantazjujesz czasem, tym razem także?

Liv milczała. Jest dokładnie tak jak w bajce o pastuszku, który nieustannie wołał: „Wilki, wilki idą!”, myślała strwożona. Wszyscy wiedzą, że wymyślam różne szalone historie. I teraz, kiedy wilk naprawdę przyszedł, nikt mi nie wierzy.

Widziała ich pełne życzliwości, zatroskane spojrzenia i miała świadomość, że będzie musiała długo walczyć, żeby ich przekonać.

- Ale to prawda - jęknęła zrozpaczona. - Panowie znają przecież Bergera. Leży niedaleko cypla. Mogą panowie pojechać i sami zobaczyć!

Jeden z gości poruszył się ledwo dostrzegalnie na swoim miejscu.

- No... a ta dziura w kamieniu, o której opowiadasz... To gdzie ona jest?

- W górach... ponad Månedalen. Trzeba iść... Nie, bardzo trudno opisać drogę komuś, kto nigdy tam nie był. Przecież nie można powiedzieć: A potem pójdzie pan koło tej brzozy, dokładnie takiej samej jak inne brzozy, ścieżką dla krów, skoro tam jest z dziesięć różnych krzyżujących się ścieżek, którymi chodzą krowy i owce. Tam nie ma żadnych specjalnych znaków rozpoznawczych. Trzeba pójść samemu i zobaczyć.

- Rozumiem.

Liv spoglądała błagalnie na Liana.

- Och, czy pan nie może nic zrobić? On przecież leży tam samotnie na brzegu.

Lensman westchnął.

- Dobrze. Pójdę, a ty pokażesz mi drogę.

- Och, dziękuję! Dziękuję, że mi pan uwierzył!

- Hm - bąknął lensman.

Goście wstali.

- My chyba wrócimy do domu - powiedział adwokat Sundt. - Chętnie jednak dowiemy się o rezultatach waszej wyprawy, prawda, panowie?

Roześmiał się dobrodusznie, dając tym samym do zrozumienia, że nie wierzy ani jednemu słowu, które Liv tutaj wypowiedziała.

Dziewczyna bezradnie zacisnęła wargi. Ale zemści się! Lensman na miejscu sam zobaczy, a dla Liv będzie to zemsta!

ROZDZIAŁ III

Lensman bez sympatii spoglądał na Liv, która w najgłębszym zdumieniu wpatrywała się w pustą plażę.

- To było tutaj - zapewniała zdławionym głosem. - Przysięgam! Tutaj leżał. Na kamieniach powinny być ślady krwi.

Lensman pochylił się i podniósł sporą garść kamieni.

- Nie widzę żadnej krwi.

- Ale ja nie rozumiem... Musieli go przenieść.

Lensman Lian wzruszył ramionami.

- Mogę oczywiście przeprowadzić dochodzenie w sprawie tego człowieka. Gdzie on mieszkał?

- Nie wiem. Pewnie gdzieś w okolicy, ja znałam go tylko z Månedalen, ma działkę w sąsiedztwie naszej. Może był w górach na polowaniu, skoro właśnie tam schował papiery.

- A właśnie, papiery! Jak mi je przyniesiesz, to ci uwierzę.

Liv rozjaśniła się.

- Ależ tak. Pójdę po nie natychmiast. Chociaż - przerwała, niepewna. - Jak ja się tam teraz dostanę? Zawsze tatuś wozi nas samochodem. Ale on właśnie teraz jest na polowaniu. Tam trzeba jeździć okrężną drogą, ale może mogłabym pójść na skróty przez las, to by nie było tak daleko.

- Sama?

Liv spojrzała w stronę mrocznego, ponurego lasu. Dzień, a może nawet dwa wędrówki przez góry... łosie, niedźwiedzie...

- Nie - westchnęła bezradnie. - Oczywiście, że to niewykonalne.

Ruszyli w kierunku osady.

- Liv - powiedział lensman stanowczo. - Będę z tobą szczery. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Masz po prostu niebywałą fantazję, wszyscy o tym wiedzą, i tak w ogóle to nie ma w tym nic złego. Ale tym razem posunęłaś się za daleko. Morderstwo to nie jest temat do żartów. Nie znam się zbyt dobrze na psychologii, ale zdaje się, że należysz do ludzi, którzy sami wierzą w to, co mówią. Czy nie rozumiesz, jaka to niewiarygodna historia? Byłaś jakoby świadkiem morderstwa, widziałaś, że dwóch mężczyzn zastrzeliło trzeciego z broni myśliwskiej. Zwłoki zniknęły. Takie „straszne przestępstwo” w naszym Ulvodden! Czy sama nie słyszysz, jak nieprawdopodobnie to brzmi? I na dodatek jakieś ważne papiery, ukryte w

lesie pod kamieniem, wiele mil stąd! Co Berger robił w górach z tymi ważnymi dokumentami? Nie, Liv, nie chcę ci sprawiać przykrości, ale myślę, że naczytałaś się kiepskich powieści kryminalnych.

- Ale to wszystko prawda - powtórzyła Liv z desperacją w głosie. - Ja niczego nie wymyśliłam.

- Nie pierwszy raz weszłaś w konflikt z wymiarem sprawiedliwości przez tę skłonność do zmyślenia - mruknął lensman Lian. - Pamiętam, jak wtedy, przed paroma laty, prześladowałaś niewinnego chłopaka oskarżając go o włamanie do sklepu, bo zobaczyłaś, że wychodzi z domu kupca przez okno.

Liv zachichotała.

- Przecież nie mogłam wiedzieć, że był z wizytą u córki kupca!

- Gdybyś wtedy była starsza, mogłabyś zostać postawiona przed sądem za fałszywe oskarżenie - zakończył lensman surowo.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

- Gdybym tylko mogła się dostać do Månedalen!

Policjant był wyraźnie zirytowany.

- Jeśli tak koniecznie musisz, to ruszaj, choćby zaraz, ale nie licz na żadną pomoc z mojej strony. Ja sprawdzę tylko, gdzie znajduje się ten Berger, nic więcej zrobić nie mogę. Gdyby naprawdę zniknął, to co innego, ale do tej pory...

To jakiś koszmar, myślała Liv. Widzę postaci, które wyłaniają się znikąd, po prostu z powietrza, i zaraz potem znikają. Na moich oczach mordują człowieka, a potem wszystkie ślady przepadają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Szybko zmierzchało. Barwy się rozmazywały i coraz trudniej było rozróżnić zarysy przedmiotów. Przed idącymi majaczyły pierwsze zabudowania osady.

- A zresztą - powiedział nagle lensman. - Coś mi przyszło do głowy. Jutro rano wyrusza do Månedalen grupa geodetów. Pójdą drogą przez las. Mogę zapytać, czy by cię ze sobą nie wzięli, to nie potrzebowałabyś wędrować sama. Ale musisz mieć pozwolenie od mamy!

- To nie będzie trudne, skoro tata jest w domku na działce. Poza tym mama się na pewno ucieszy, że pozbędzie się mnie na jakiś czas. Bardzo panu dziękuję za pomoc.

- O, na razie jeszcze nie ma za co. Wcale nie jest takie pewne, że oni zechcą cię zabrać. Przyjdź do mnie za pół godziny, to będę wiedział.

Po dłuższej dyskusji Liv uzyskała pozwolenie matki na „odwiedzenie taty”. Nie widziała powodu, by wdawać się w bardziej szczegółowe wyjaśnienia, i w pół godziny później, punktualnie co do minuty, zjawiła się w mieszkaniu lensmana.

Początki nie były obiecujące. Z biura lensmana docierał do niej zdenerwowany głos:

- Szesnastoletnia dziewczyna! Skąd panu przyszło do głowy, że mógłbym się podjąć czegoś takiego? I tak już mam dosyć na głowie, sam odpowiadam za wszystko, od kiedy szef się rozchorował. A na dodatek jeden z asystentów złamał nogę, wobec tego mam do pomocy jedynie dwóch niedoświadczonych dziesiętnastolatków. Sam pan chyba rozumie, jakiego zamieszania może w takiej grupie narobić młoda dziewczyna! Nie mam czasu, żeby się bawić w opiekuna.

- Wygląda na to, że ma pan niedobre doświadczenia z dziewczynami - wtrącił głos lensmana.

- Rzeczywiście, mam - odparł tamten krótko. - A zwłaszcza panny w tym wieku trudno opanować. Chcą udawać dorosłe i doświadczone. Spragnione przygód, chętne do Bóg wie czego, a zarazem dziecinne i bezradne. Będziemy musieli po drodze nocować w obozie, lensmanie Lian, proszę o tym pamiętać! Czy mam czuwać przez całą noc?

- Sam pan nie wie, co mówi - powiedział lensman rzeczowo. - Pan jeszcze nie zna tej dziewczyny.

- Nie. I nie odczuwam najmniejszej potrzeby, żeby ją poznać.

To już naprawdę trudne do zniesienia, pomyślała Liv zgnębiona. Taki już mój los, że nikt mnie nie chce. Nawet ludzie, którzy nigdy mnie nie widzieli, nie chcą mieć ze mną do czynienia. Cóż, trzeba wracać do domu. Później zadzwonię do lensmana i powiem, że rezygnuję.

W tym momencie drzwi biura otworzyły się i stanęli w nich dwaj mężczyźni. Liv nie widziała dobrze z powodu łez, jakie zdążyła uронić nad swoim nieszczęsnym losem, i zanim zdążyła je otrzeć, usłyszała nad swoją głową jęk i pełne zaskoczenia pytanie:

- To ty?

- Och - wykrztusiła Liv i poczuła, że robi się czerwona jak burak.

Stworzyła sobie idealny obraz nieznanego, ale mimo wszystko doznała szoku. Zapomniała, jaki jest fascynujący, i na nowo poczuła, że kręci jej się w głowie. Zielone oczy połyskiwały spod czarnych rzęs. Teraz nie było w nich życzliwości, przeciwnie, spoglądały na nią niemal wrogo.

Upokorzona Liv najchętniej by się zapadła pod ziemię.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie chciałam podsłuchiwać, ale nie mogłam uniknąć... Słyszałam wszystko, co krzyczałeś... Oczywiście nie pójdę z twoją ekspedycją. Najgorsze, co człowieka może spotkać, to czuć się nie chcianym. Chociaż, prawdę powiedziawszy, powinnam się już do tego przyzwyczaić. Więc możesz nie podnosić głosu, nie idę z wami.

- Czy wy się znacie? - zapytał lensman.

- Spotkaliśmy się raz - odparł tamten krótko. - I powinienem był wiedzieć, kto wymyślił tę rozbójniczą historię. I z jakiego właściwie powodu zamierzasz się wybrać w góry? Mam nadzieję, że nie zakochałaś się w którymś z moich asystentów. Musiałem wynająć dodatkowego pomocnika z osady. Finn jakiś tam. Tak ma na imię.

- Nie! - odrzekła Liv stanowczo. - Muszę iść do Månedalen, by wypełnić obietnicę daną Bergerowi. I potrzebuję towarzystwa, żeby tam dojść. Ale to już nieważne.

Młody człowiek zaciskał szczęki tak, że widziała, jak mu się napinają mięśnie twarzy.

- Pójdiesz z nami, ale pod jednym warunkiem. Że nie będzie żadnych kłopotów po drodze. I żadnych głupstw z chłopcami. Musisz sobie wyobrazić, że ty także jesteś chłopcem, nie mam czasu na cackanie się z dziewczynami, zrozumiałaś?

- Możesz być najzupełniej spokojny - odparła Liv z goryczą. - Chłopcy nie mają zwyczaju mdleć na mój widok. A jeśli chodzi o wytrzymałość, to jestem tak samo dobra jak chłopak.

Lensman dodał:

- Myślę, że nie będzie pan miał z Liv żadnych kłopotów.

- Naprawdę? Zgadzam się z panem, że pod pewnymi względami Liv bardziej się nadaje do takiej wyprawy niż większość ślicznych szesnastoletnich laleczek, ale pod innymi jest kompletnie beznadziejna... - Spojrzał na nieszczęsną Liv. - Zmieniłaś się od ostatniego razu, ale może to ten okropny sweter, który wtedy miałaś na sobie...

Nieoczekiwanie znowu zrobił się niecierpliwy i zirytowany.

- Chłopcy w tym wieku mogą tracić głowę z byle powodu, a tam w górach nie ma znowu tak wiele dziewczyn do wyboru, więc na wszelki wypadek włoż jednak tamten stary sweter!

Zanim Liv zdążyła odpowiedzieć, ze złością mówił dalej:

- Masz być na przystanku autobusowym jutro rano, o ósmej. Ty i Finn pojedziecie autobusem do Blavatn. Tam się spotkamy i dalej pojedziemy samochodem, który wozi mleko, podwiezie nas jak daleko się da, ale resztę drogi musimy pokonać piechotą. I proszę, możliwie jak najmniej bagażu. Jedzenie mamy i dodatkowy śpiwór dla ciebie również. Weź

tylko to, co absolutnie najpotrzebniejsze, płaszcz przeciwdeszczowy i tak dalej. I żadnych przyjaciółek, „które miały ochotę wybrać się z nami”.

- Oczywiście, że nie! Przecież nie jestem idiotką! - odrzekła, ale miała na myśli całkiem co innego niż on. - Obiecuję, że nie będziesz miał ze mną żadnych kłopotów. Może nawet będę wam mogła pomóc, coś poniosę, i w ogóle... - zakończyła onieśmielona.

- Nie trzeba. Wystarczy, jeśli zadbasz o siebie. Pamiętaj, palcem nie kiwnę, żeby ci pomóc w razie czego.

Czy to był ten sam sympatyczny, przyjacielski człowiek, którego spotkała wczoraj? Liv nie poznawała go. Przyglądała mu się ukradkiem, kiedy rozmawiał z lensmanem. Nadal miał tę niezdefiniowaną, elektryzującą siłę, dającą o sobie znać przy każdym najmniejszym ruchu, nawet kiedy marszczył brwi lub niecierpliwie machał rękami. Te ręce spoczywały na moich ramionach, pomyślała Liv z egzaltacją. I naprawdę nie rozumiem, jak to się stało, że wtedy nie umarłam!

Nagle uświadomiła sobie, że on przygląda jej się w zamyśleniu. Liv próbowała patrzeć mu w oczy bez mrugnięcia, ale z napięcia zaczęło jej szumieć w uszach. Poczowała, że nie wytrzyma długo jego spojrzenia, i spuściła wzrok. Odetchnęła z ulgą, jakby odpoczywała po wielkim wysiłku. Ten człowiek stanowił zagrożenie dla jej równowagi psychicznej.

- W takim razie zobaczymy się jutro - powiedział. - I jedno chciałbym ustalić: jeżeli jeszcze raz usłyszę, że nikt cię nie lubi, to ci po prostu przyłożę!

I to musiała usłyszeć od jedyne go człowieka, którego uważała za swego przyjaciela!

W chwilę później jeden ze znanych obywateli miasteczka spotkał się w pewnym dobrze ukrytym miejscu z dwoma swoimi pomocnikami.

- Rozmawiałem dopiero co z naszym niczego nie podejrzewającym lensmanem. Liv Larsen wyrusza jutro rano w góry z ekspedycją geodezyjną. Oczywiście zorganizowałem wszystko tak, że jeden z was pójdzie z nimi jako eskorta dziewczyny, ale nikt nie może łączyć mojego nazwiska z waszymi. Dlatego musicie teraz działać na własną rękę...

Jeden z pomocników westchnął.

- Znowu mamy się męczyć w tych przeklętych górach? Nie, ja nie idę!

Głos jego zleceniodawcy brzmiał ostro:

- A jak to było z napadem w zeszłym roku? Czy mam może szepnąć słówko lensmanowi, że żywię podejrzenia co do dwóch określonych osób? Myślę, że byłoby za to co najmniej z dziesięć latek... Poza tym nie płacę chyba tak źle za te górskie wyprawy, co? No to jak?

- Ali right, all right. Idziemy w te góry!

- Znakomicie! Muszę mieć papiery z powrotem, żeby znowu spróbować. Berger miał mi je sprzedać, ale zdradził... Helikopter musiał zawrócić, nie załatwiwszy sprawy, więc wy musicie się postarać, żeby ta cała Liv pokazała wam, gdzie są ukryte papiery. A gdybyśmy my nie mogli ich dostać, to niech lepiej zostaną na miejscu. Teraz kryjówkę zna tylko Liv i jej ojciec. I dlatego ona nie może mieć sposobności porozmawiania z ojcem, dopóki nie przejmie papierów. Zrozumiano? Macie dwie możliwości: odnaleźć kryjówkę z pomocą Liv albo, gdyby nie wykazywała chęci współpracy, potraktować ją jako persona non grata.

- A co to znaczy?

- Osoba niepożądana.

Wszyscy trzej uśmiechnęli się złowieszczo, rozumieli się bardzo dobrze.

Kiedy następnego ranka Liv przysłała na przystanek autobusowy ze starannie zapakowanym plecakiem, autobus już stał gotowy do drogi. Weszła do środka i znalazła sobie miejsce przy oknie. Czekając, aż szofer wróci z bufetu i będą mogli jechać, próbowała przeanalizować sytuację. Doszła jednak do wniosku, że wszystko jest okropnie skomplikowane, że powinna dać sobie spokój, sama i tak tego nie rozwikła. Lepiej jest pomarzyć o czekającej ją wyprawie. Uznała, że przykre doświadczenie poprzedniego wieczora było czystym przypadkiem i że wspańiałe porozumienie, jakie miała na początku z tamtym mężczyzną, powróci, gdy tylko znajdą się na górskim pustkowiu.

Z marzeń wyrwał ją czyjś burkliwy głos:

- Hej!

Do autobusu wszedł młody chłopak żując gumę, ubrany w czarną koszulę związaną w pasie i nieprawdopodobnie ciasne dzinsy. Rzucił plecak na podłogę z przodu autobusu, a sam z tranzystorowym radiem w ręce szedł w stronę Liv.

- Hej, Finn - odpowiedziała. - Słyszałam, że mamy jechać razem.

- Aha, więc dzisiaj już wiesz, jak mam na imię? - uśmiechnął się kwaśno. - To bardzo miło z twojej strony, że mnie w ogóle zauważasz.

Ha, pomyślała Liv. Żebyś ty wiedział, jakie ja męki przeżywałam z twojego powodu. Ale to już koniec, mój chłopcze, już niczego takiego nie przeżywam.

- Słuchaj, co to właściwie za ekspedycja, na którą się wybieramy? - zapytała.

- Ech, ekspedycja jak ekspedycja, jakaś grupa geodetów ma robić pomiary czy coś takiego. Stary załatwił mi tę robotę, bo jeden z nich złamał nogę. Nie znam się na tym, ale

stary mówił, że oni mierzą jakieś działki. Stoją każdy na swoim końcu obszaru, patrzą w lornetki i wrzeszczą do siebie.

Z bliska Finn wcale nie wydawał się tak interesujący, jak myślała. Pyszcze i węgry pod skórą, palce żółte od nikotyny... Liv patrzyła z obrzydzeniem.

Jakaś obładowana wiejska gospodyni wkroczyła do autobusu, który przysiadł o kilka centymetrów, gdy tylko weszła na schodki. Małe dziecko biegało tam i z powrotem w przejściu pomiędzy siedzeniami, a z tyłu za Liv dwie kobiety w wieku przejściowym rozprawiły o swoich problemach.

Finn kłął nad tranzystorem, który nie chciał grać jego ulubionej muzyki młodzieżowej.

Kierowca wyszedł z baru. Przystanął jeszcze na chwilę, by dokończyć papierosa, potem wyrzucił niedopałek do rynsztoka i wsiadł do starego autobusu z obitymi pluszem siedzeniami. Usadowił się na swoim miejscu, zapalił silnik i pojazd powoli ruszył w drogę.

Na spotkanie przygody mego życia? zastanawiała się Liv. Pytanie tylko, jak się ta przygoda rozwinie? W jakim kierunku? Punktów wyjścia jest wiele i bardzo się między sobą różnią. Są tragiczne, jak w przypadku Bergera, i w najwyższym stopniu niejasne, jeśli chodzi o mego przyjaciela z Gaju Ofiarnego. Och, podczas tej wyprawy może się zdarzyć naprawdę dużo!

Jedynę, czego Liv nie brała pod uwagę, to to, że wyprawa mogła też być niebezpieczna. Śmiertelnie niebezpieczna!

Zanim Liv zdążyła się obejrzeć, dojechali do Blåvatn. Liv nigdy przedtem tu nie była. Zabudowa rozproszona, a na dużym, ze wszystkich stron otwartym placu parkowało wiele samochodów do przewożenia mleka.

Liv i Finn ruszyli przez wysypany żwirem plac. Już z daleka widziała swego bezimiennego przyjaciela, który w towarzystwie jakiegoś chłopca szedł im na spotkanie. Bogu chwała, że są tak daleko, zdążę może pozbyć się rumieńców z podniecenia, myślała Liv. Nigdy chyba nie przestanę doznawać wstrząsu na jego widok.

Pospiesznie oceniła tego drugiego chłopca i uznała, że nie jest groźny dla jej duchowej równowagi. Sprawiał wrażenie kompletnego nudziarza, ale może to niesprawiedliwe tak oceniać kogoś, kogo się w ogóle nie zna. W każdym razie należał do tych ludzi, których trzeba spotkać ze dwadzieścia razy, żeby zapamiętać ich twarz. Jakby nie mieli w sobie nic, na czym można by zawiesić wzrok, ani w wyglądzie, ani w osobowości.

- A więc udało wam się przyjechać na czas - powiedział jej przyszły dowódca. - Liv, to jest Morten Kristiansen. Liv Larsen i Finn Meyer.

- Przepraszam - uśmiechnęła się Liv. - Ale czy nie mógłbyś poprosić Mortena, żeby cię przedstawił? Ja nie wiem, jak się nazywasz.

- Nie przedstawiłem ci się? - zapytał zaskoczony. - W takim razie serdecznie przepraszam. Nazywam się Jo Barheim. Mogę wziąć twój plecak? Tu niedaleko czeka samochód. O Boże, ależ on ciężki! Co ty tam masz?

- Jabłka - odparła Liv niewinnie.

- Jabłka - powtórzył. - No, może być. Jabłka znikną dość szybko.

- Nawet bardzo szybko - zapewniła Liv. - Mam bzika na punkcie owoców.

Jo Barheim wrzucił jej plecak na ciężarówkę do połowy wypełnioną pięćdziesięciolitrowymi bańkami z mlekiem i okrytą brezentową plandeką, rozpiętą na drewnianych podpórkach.

- Wejdiesz sama, czy chcesz, żebym cię podrzucił?

- Poradzę sobie, chociaż mogliby ten stopień umieścić niżej. - W porządku! - roześmiał się i bez wysiłku przesadził ją przez krawędź ciężarówki.

Na takie okazje Liv miała powiedzenie, które nigdy nie zawodziło: „I na dodatek do wszystkiego innego jesteś też bardzo silny”. To zawsze wywoływało szeroki uśmiech na usta zainteresowanego i pytanie: „Co masz na myśli, mówiąc wszystko inne?”, Liv jednak przeczuwała, że tego rodzaju tani komplement pod adresem Jo Barheima będzie całkowitym niewypałem.

Nie, on wyraźnie nie był zadowolony z faktu, że musiał ją ze sobą zabrać. Odnosił się do niej z bezosobową uprzejmością, co jej po prostu sprawiało przykrość. Wszelki kontakt został zerwany i Liv nie mogła zrozumieć dlaczego.

Oprócz ich niewielkiej grupy na ciężarówce zebrało się jeszcze kilka starszych kobiet, jedna młodsza i jakiś młody mężczyzna. Rozlokowali się każdy jak mógł najwygodniej na bańkach z mlekiem i workach z cementem. Jo Barheim usiadł na samym końcu i wkrótce Liv mogła się przekonać, że ma on niedobre doświadczenia z dziewczynami. Owa młoda dama, która bardzo chciała sprawiać wrażenie prawdziwej turystki, zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu zapalek, po chwili jednak podniosła się, pochyliła w stronę Jo i bez żenady zapytała, czy on nie ma. A kiedy w milczeniu wyjął pudełko z kieszeni i zapalał jej papierosa, starała się patrzeć mu w oczy. Co za wstrętne babsko, pomyślała Liv. Mogę przysiąc na wszystkie świętości, że wcale nie potrzebowała zapalek. Turystka oparła się wygodnie i powoli, w bardzo wystudiowany sposób zaciągała się głęboko, a potem wydmuchiwała dym.

- Wybieracie się w góry na polowanie? - zapytała obojętnie.

O, jeszcze by tego brakowało, pomyślała Liv.

- Nie - odparł Jo krótko. - Ja nie poluję.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się tamta uwodzicielsko. - W ogóle żadne polowanie nie wchodzi w rachubę?

Wszystko to było takie śmieszne, sztuczki tak łatwe do przejrzenia, że Liv nie zdołała zachować powagi i wybuchnęła radosnym chichotem. Tamta uniosła wysoko jedną brew i cofnęła się na swoim siedzeniu.

- Liv! - zawołał Jo. - Chodź no do mnie na chwilę.

Podeszła spłoszona, że będzie jej robił wymówki.

- Dobrze się trzymaj oparcia - upomniał. - Samochód może w każdej chwili ruszyć... - Potem zniżył głos. - Nie było to ładne z twojej strony ani specjalnie uprzejme, ale dziękuję ci. Nie umiem sobie radzić w takich rozmowach.

Liv uśmiechnęła się radośnie.

- Ale jest też coś innego - dodał Jo.

- Tak?

- To się wiąże z tym tak zwanym morderstwem... Myślę, że nie powinnaś opowiadać o tym komu popadnie. Nie jest dobrze rozsiewać wokół siebie takie historie.

Ogarnął ją gniew.

- A jeśli takie historie są przypadkiem prawdziwe?

Jo westchnął.

- Masz może jakieś jabłko na zbyciu?

- Och, tak! - ożywiła się. Poszła do swojego plecaka i wyjęła kilka owoców.

- Chwileczkę! - zawołał za nią Morten Kristiansen. - Nie zaciągnęłaś porządnego rzemienia.

- Ech, czy to takie ważne?

Chłopak zacisnął wargi, pochylił się i sam zaciągnął dokładnie wszystkie rzemienie przy jej plecaku.

- Poza tym wygląda na to, że powinnaś się uczesać.

Liv wytrzeszczyła oczy, ale on już się odwrócił.

Jo uśmiechał się, kiedy do niego wróciła.

- Morten jest bardzo pedantycznym geodetą - powiedział.

- O, chętnie w to wierzę - odparła Liv ponuro.

Ciężarówka ruszyła w drogę i przez dłuższy czas Liv była zajęta wyłącznie otaczającą ich przyrodą. W głębi pod plandeką ryczało radio Finna, burty ciężarówki skrzypiały na zakrętach, a silnik warczał mozolnie przy każdym wzniesieniu, ona jednak jakby zamknęła

uszy na te wszystkie odgłosy cywilizacji, tylko oczy rejestrowały otaczający ją świat. Im byli wyżej, tym wyraźniej ukazywał się nad horyzontem pokryty śniegiem szczyt. I to szczególne górskie powietrze, ostre i rozrzedzone, pełne nieznanych zapachów, stawało się coraz silniejsze, choć przecież nie dotarli jeszcze nawet do granicy lasu.

Mimo że Jo Barheim usposobiony był wobec niej podejrzliwie, cieszyła się, że przeżywa to wszystko razem z nim. Zabawnie było tak stać tyłem do kierunku jazdy i patrzeć, jak droga umyka spod kół, jak przydrożne rowy zdają się pełznąć obok samochodu, a drzewa migają w pośpiechu, widzieć mroczny iglasty las, który się przed nimi otwiera, a potem zamyka, mijając samotne domostwa za krzywymi płotami, widzieć ciurkające wzdłuż drogi wąziutkie strumyki, które raz po raz znikają gdzieś w leśnym poszyciu.

Puste bańki po mleku hałasowały w głębi platformy i młody mężczyzna wyszedł spod plandeki, uśmiechając się przepraszająco:

- Ten samochód tak kiwa, że trudno utrzymać równowagę. Chyba muszę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza...

Idąc ku nim nagle potknął się o pasek któregoś plecaka i potoczył naprzód. Padając chciał się przytrzymać Liv, popchnął ją przy tym tak gwałtownie, że straciła równowagę. Trzymała się *co* prawda podpórki, ale nie liczyła się aż z takim obciążeniem, i teraz machając rozpaczliwie rękami zobaczyła, że wiejska droga jest bardzo blisko niej, doznała zawrotu głowy i nagle poczuła jakieś straszne szarpnięcie, tak mocne, że ramię prawie zostało wyrwane ze stawu. Zawisła w pół drogi nad niską krawędzią ciężarówki.

Chyba nerwowy szok sprawił, że poczuła, iż płoną jej opuszki palców. Jo Barheim trzymał jej ramię w bolesnym uścisku, a kiedy Liv zdołała jakoś stanąć na nogi, zobaczyła, że jego twarz pod opalenizną jest blada.

- O mój Boże, mało brakowało - szepnęła jedna z kobiet.

Niezdarny pasażer jakoś się pozbierał.

- Ja... Ja nie znajduję słów, żeby powiedzieć... jak bardzo mi przykro - jękał. - To cud, że pan zdołał ją uratować. W jednym okropnym momencie byłem pewien, że już z nią koniec.

Liv nie mogła opanować drżenia, zdołała jednak wykrztusić:

- To nie pańska wina. Potknął się pan o mój plecak.

- Tak - potwierdził Morten. - Naprawdę rzuciłaś ten plecak byle jak. Wyobraź sobie, jak by się ten człowiek czuł, gdyby mimo woli stał się przyczyną twojej śmierci? Niech to będzie dla ciebie nauczka, że własne niechlujstwo mogło kosztować cię życie!

Oczywiście, Morten ma rację, myślała Liv zgnębiona. A mimo to jest mi go żal. Dziewiętnaście lat, a już taka pedanteria. Ciekawa jestem, jaki będzie na starość.

Jo przyglądał jej się surowo.

- Coś mi mówi, Liv, że jesteś pechowcem i że będziemy z tobą mieli sporo kłopotów.

Mimo zapewnień z twojej strony, że wszystko pójdzie gładko.

ROZDZIAŁ IV

- Najlepiej będzie, jeśli usiądziesz w głębi trzymając się mocno, skoro masz takiego pecha - powiedział Jo Barheim.

Znalazła sobie jakąś wyjątkowo niewygodną do siedzenia bańkę na mleko i przycupnęła na niej tuż obok nieznanego.

- Co mam zrobić, żeby wynagrodzić pani przestrasz i zdenerwowanie? - wyszeptał załamany.

Liv uśmiechnęła się blado.

- Niech pan o tym zapomni. Bogu dzięki wszystko skończyło się dobrze.

Ten człowiek sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie, jasnowłosey, o szerokiej dobrotliwej twarzy. Oczy miał może cokolwiek za blisko osadzone i usta jakby zbyt wydatne, ale był dobrze wychowany i budził zaufanie.

- Daleko się wybieracie? - zapytał.

- Do Månedalen - wyjaśniła Liv.

- Naprawdę? To się znakomicie składa, bo ja też idę w tamtą stronę, jeszcze trochę dalej, ale szczerze mówiąc, nie znam drogi. Proszę mi powiedzieć, czy byłbym zbyt natrętny, prosząc, byście mnie państwo zabrali ze sobą?

Liv zawahała się.

- Ja nie mogę o tym decydować. Najlepiej, żeby pan zapytał Barheima, to ten ciemnowłosey na samym końcu.

- Państwo są na wycieczce? - zapytał jeszcze bardzo uprzejmie.

- Nie. Moi towarzysze to geodeci, a mnie pozwolono się z nimi zabrać, że tak powiem. Może więc i panu pozwolą...

- Proszę mówić mi ty - zaproponował. - Mam na imię Harald. A ty wybierasz się do kogoś w odwiedzinie wysoko w górach?

- Tak, idę do ojca. Mamy tam letni domek.

- Tatuś czeka na ciebie?

- Nie. On nawet nie wie, że się do niego wybieram. Właściwie to mam tam sprawę... - Liv urwała gwałtownie. Obiecała przecież Jo, że z nikim nie będzie rozmawiać na ten temat. Wprawdzie ów człowiek wygląda bardzo sympatycznie, ale...

- Jaką sprawę? - Harald zdawał się przynaglać.

Liv zniżyła głos.

- Nasza lokalna gazeta w Ulvodden przydzieliła mi zadanie. Mam napisać artykuł o występowaniu różnych gatunków skalnic wokół Månedalen.

Miała nadzieję, że on nie wystąpi z komentarzami typu, że skalnice dawno już przekwitły albo coś w tym rodzaju.

- Co ty mówisz? - zawołał z podziwem. - Piękne zadanie, trzeba przyznać. Zwłaszcza że przecież jesteś jeszcze bardzo młoda, prawda?

- O, znacznie starsza niż na to wyglądam - oznajmiła Liv tragicznym głosem. - Zostałam oddana na wychowanie w młodości, to znaczy, chciałam powiedzieć, w dzieciństwie. Trzymali mnie zamkniętą na strychu. Przez dziesięć lat nie widziałam ludzkiej twarzy. I dlatego może wyglądam trochę dziecinnie. W rzeczywistości jednak jutro kończę dwadzieścia pięć lat.

Harald patrzył jej w oczy z niedowierzaniem, ona jednak odpowiadała mu szczerym i ufnym spojrzeniem.

W tej samej chwili zauważyła, że Jo Barheim usiadł naprzeciwko niej. Widziała, że drżą mu wargi od powstrzymanego śmiechu, i domyśliła się, że słyszał całą rozmowę. Po raz pierwszy w życiu zarumieniła się dlatego, że została przyłapana na kłamstwie.

- Harald zastanawia się, czy mógłby się do nas przyłączyć - powiedziała onieśmielona.
- Bo sam nie znajdzie drogi.

Jo przyglądał się przez chwilę nieznanemu uważnie, zadał mu kilka pytań, potem skinął głową.

- Proszę bardzo, tylko nie mamy dodatkowego wyposażenia, śpiwora ani jedzenia.

- O, z tym dam sobie radę. Dziękuję za życzliwość.

- Nasza mała gromadka zaczyna się powiększać - zauważył Finn. - Jest nas już pięcioro.

Ciężarówka zahamowała, cofnęła się trochę, zawróciła, znowu się cofnęła i ostatecznie zatrzymała przy wielkim krzewie jałowca. Wyglądało na to, że końcowy przystanek jest właśnie tam. Jo zeskoczył pierwszy. Młoda turystka wyciągnęła ku niemu ramiona i poprosiła, by ją zszadził. Kiedy ją unosił, przywarła do niego całym ciałem, jakby groziło jej niebezpieczeństwo.

- Dam sobie radę sama - oznajmiła Liv i dzielnie skoczyła w przepaść. Poszło dobrze, choć może nie był to skok wykonany z największą gracją.

Młoda dama zapytała, czy zatrzymają się w hotelu, i była głęboko rozczarowana, kiedy powiedzieli, że natychmiast wyruszają w *góry*. Nie ulegało wątpliwości, że dałaby wiele, by móc się zamienić miejscami z Liv.

- Okropnie chce mi się pić - jęknęła Liv. - Wypiłabym ze trzy litry od razu.

- Nie wypiłabyś - poprawił ją Morten surowo. - Organizm ludzki nie przyjmie za jednym razem więcej niż litr.

- Z pewnością niebawem natrafimy na jakiś strumyk - pocieszył Jo.

Mała procesja ruszała powoli w drogę.

Przodem maszerował Finn z mocno wypakowanym plecakiem i radiem tranzystorowym w ręce. Za nim Liv, żeby nie wlokła się z tyłu i nie opóźniała marszu, następnie Harald, który wziął część instrumentów od chłopców, dalej Jo z jakimś ciężkim statywem na ramionach i na końcu Morten. Wkrótce opuścili uczęszczane drogi i wkroczyli do starego sosnowego boru.

- Idąc tą drogą oszczędzimy wiele godzin - powiedział Jo. - Dopiero jedenasta. Znajdziemy dzisiaj daleko.

W lesie pachniało mchem i igliwem, a podłoże było niczym dywan mieniący się zielenią, przetykany żółtymi plamami słonecznego światła.

Liv zatrzymała się i wpadła pod nogi Haraldowi, który o mało się nie przewrócił.

- Latem to tutaj na pewno kwitnie zimoziele i gruszczyki.

- Jak widzę, naprawdę jesteś specjalistką w dziedzinie botaniki - roześmiał się Harald.

- Nie, tylko po prostu bardzo lubię górskie kwiaty. W zeszłym roku w szkole mieliśmy robić zielniki, każdy miał zasuszyć czterdzieści roślin. Ja zebrałam sto czterdzieści pięć różnych gatunków, prawie wszystkie górskie, i były wśród nich naprawdę rzadkie okazy. Ale nic z tego nie wyszło, bo niestarannie zasuszyłam i pani powiedziała, że ten mój zielnik to sto czterdzieści pięć wiechci nieokreślonego koloru i formy, za to bardzo ładnie ponazywanych.

Jo zaciskał wargi, żeby ukryć śmiech, Morten natomiast zrobił bardzo surową minę.

- Niesamowite, jak wy się z Tullą od siebie różnicie - powiedział Finn. - Ja chodziłem z nią do jednej klasy i mogę cię zapewnić, że ona dostałaby najlepszy stopień za dokładnie czterdzieści bardzo pospolitych, ale za to starannie zasuszonych roślin.

- No i słusznie, że dostałaby piątkę, skoro zrobiła wszystko, jak należało - oświadczył Morten. - Najważniejszy jest właściwy rezultat.

- Nie jestem tego taki pewien - rzekł Jo z wolna. - Liv mogła się podczas swojej pracy nauczyć o wiele więcej. Myślę poza tym, że jej zapał i radość, kiedy zbierała te wszystkie wspaniałe rośliny, są warte co najmniej tyle samo, ile obowiązkowość i perfekcjonizm Tulli.

- Dziękuję - szepnęła Liv wzruszona.

Szli przez jakiś czas w milczeniu. W lesie panowała cisza tak wielka, że Liv zareagowała, gdy usłyszała jakieś szmery, które jej zdaniem nie były tutaj naturalne. Nie

zdołała ich dokładniej rozpoznać, bo Harald w tym samym momencie zaczął gadać jak najęty o czymś zupełnie nie mającym znaczenia. Liv zaczęła na Jo.

- Zatrzymajmy się tu na chwilę - poprosiła cicho.

Przepuścili Mortena.

- Co się stało?

Liv patrzyła na niego zaniepokojona.

- Nic nie słyszałeś? Mnie się wydaje, że ktoś nas śledzi.

- Głupstwa!

Dlaczego Jo musi mieć takie sugestywne spojrzenie? Dlaczego musi być tak nieprawdopodobnie przystojny, a jednocześnie taki niedostępny? Słoneczny blask mienił się w jego włosach i rozjaśniał szczupłą twarz. Liv uznała, że Jo przypomina młodego fauna. Silne dłonie trzymające statyw dotykały jej już wielokrotnie, lecz nigdy nie wyrażały czułości. W jego oczach Liv była upartym i kłopotliwym dzieckiem. I pewnie była taka, ale tylko w części. Miała już przecież w sobie bardzo wiele z dorosłej kobiety, czego z pewnością on nigdy nie zechce zauważyć, nigdy też nie przyjdzie mu do głowy, by postarać się to odkryć.

- Ale ja jestem tego pewna, Jo. Mogłabym przysiąc, że słyszałam czyjeś kroki w lesie obok nas, tylko Harald akurat zaczął mi coś opowiadać i wszystko zagłuszył.

Jo spoglądał na nią sceptycznie.

- W takim razie określ dokładniej, co słyszałaś?

- Najpierw tylko szelesty, jakby ktoś szedł równoległe z nami. Początkowo było to dosyć słabe, jakby ptak mościł się wygodniej na gałęzi, ale później słyszałam wyraźne człapanie, zdawało mi się, że jakaś zła istota przemyka za nami od drzewa do drzewa i śledzi nas. Nagle trzasnęła jakaś gałązka, a później już nic nie słyszałam z powodu Harald.

Jo widział, jak bardzo Liv stara się go przekonać. Żeby ją uspokoić, powiedział:

- No dobrze, pójdę teraz na końcu i rozejrzę się, ty natomiast przypilnuj, żeby Harald tyle nie gadał. I nie tak głośno.

Liv uśmiechnęła się do niego rozpromieniona. Tak niewiele trzeba, żeby sprawić jej radość, pomyślał Jo Barheim. I rzeczywiście ona jest trochę dziwna. Gdyby tylko odzwyczała się od opowiadania tych fantastycznych historii, na pewno byłoby jej w życiu łatwiej. Złe istoty! Kto to słyszał!

Dziesięć minut później wyszli z lasu. Przed nimi rozciągało się górskie pustkowie.

- O rany, ale kolory! - jęknął Finn. - Jak na pocztówce!

- Poznacie? - zawołała Liv. - Kwitnące wrzosi. Cudowny słodki zapach! Kocham to!

Szafirowoniebieskie niebo wznosiło się ponad białymi, okrytymi śniegiem szczytami i przeglądało się w niezliczonych górskich jeziorach. Brzozowy las mienił się wszystkimi odcieniami żółci i oranżu, przecinanymi od czasu do czasu smugą czerwieni. Pośród jałowcowych zarośli i na wrzosowiskach połyskiwały gdzieniegdzie leśne strumyki.

- Popatrzcie tam - powiedziała Liv. - Nawet skała mieni się kolorami, od jednego odcienia fioletu do drugiego. A spójrzcie naprzeciwko, tam skała jest szarozielona, jak to się pięknie łączy z ciemnofioletową górą nieco dalej w tle! Tamta od wschodniej strony jest kobaltowo niebieska, a ta obok niej antracytowa. A ta najdalsza, czarna niczym węgiel, ta mnie przeraża!

- Czy ty zawsze wynajdujesz tyle wszystkiego? - zapytał Morten z irytacją w głosie. - Dla mnie góry są ciemnoszare, wszystkie co do jednej.

- Powinieneś sobie zapamiętać, Morten - powiedział Finn - że nasza Liv patrzy na świat innymi oczyma niż my.

Liv odwróciła się do niego z wdzięcznością, ale kiedy spostrzegła ironiczny uśmiezek na jego wargach, domyśliła się, że to było szyderstwo, i radość zgasła.

- Chyba włożę sweter! - zawołała wesołym głosem, który zwiódł wszystkich z wyjątkiem Jo. - Okropnie tu wieje.

- Wzięłaś bardzo odpowiednie rzeczy - pochwalił ją Jo, gdy już wciągnęła sweter przez głowę. - Choć teraz to bym pewnie wolał, żebyś miała na sobie tamto stare ubranie.

- Dlaczego?

- Nie podobają mi się spojrzenia, jakie posyłają ci Finn i Morten. Nie życzę sobie, żeby moi asystenci skakali sobie do oczu z powodu jakiejś smarkuli.

- Jeśli o mnie chodzi, to twoi niezastąpieni asystenci mogliby w ogóle nie istnieć - prychnęła Liv ze złością.. - Doprowadźcie mnie tylko do mojego ojca, a zejdę wam z oczu!

- Odetchnę wtedy z ulgą - rzekł Jo poważnie. - Nie chciałbym cię urazić, ale naprawdę stanowisz w naszej małej grupie ośrodek niepokoju. I nie rób takiej obrażonej miny! Sama jesteś sobie winna, nie zapominaj o tym!

Po tej wymianie zdań Liv przyłączyła się do Haralda, który był w tym towarzystwie najstarszy, a poza tym okazywał jej wyłącznie sympatię i życzliwość. Ostre słowa Jo wciąż jeszcze sprawiały jej ból, ale mimo to nie spuszczała z niego oczu, kiedy rozmawiał z Finnem i Mortenem.

Szli długo przez ciągnące się kilometrami tereny porośnięte jedynie wrzosem i jałowcami. Liv mogła gasić pragnienie w strumykach, które napotykali, a w których woda była krystalicznie czysta. Niekiedy ścieżka wiodła przez skały porośnięte niską, wypaloną na brązowo trawą, niekiedy przez okolice pokryte drobnymi kamyczkami, które usuwały się pod nogami idących. Słońce grzało przez cały czas i dopóki byli w ruchu, górski wiatr im nie przeszkadzał, ale kiedy nareszcie Jo ogłosił przerwę na posiłek, musieli szukać osłony pod skalnym nawisem, bo wiatr na tej wysokości wiał już całkiem jesienny.

Liv położyła się w niskiej trawie na brzuchu i podparła łokciami. Daleko przed sobą po drugiej stronie potoku widziała stado owiec, które schodziło w dół po zboczu jak rój białych punkcików. Kilka krów pasło się nad brzegiem wody, a ponad nimi szybował wielki ptak.

- Czy to orzeł? - zapytał Morten.

Liv nie była w stanie pojąć, jak ktoś może popełnić taki błąd.

- Nie, to jest żuraw - odparła. - Wygląda na to, jakby został spłoszony z tamtych mokradeł - dodała.

Harald i ona rozmawiali ze sobą przez całą drogę. To znaczy Liv mówiła, a on tylko zadawał pytania. Wypytywał na przykład, czy Liv dobrze zna okolice wokół Månedalen, czy są tam jakieś rzeczy godne obejrzenia i czy ona, która schodziła cały teren, nie widziała jakichś kamieni o ciekawych kształtach i w ogóle tak zwanych fenomenów natury. Liv opowiadała mu o wszystkim, co zbadała na własną rękę, a na koniec wspomniała też o niezwyklej dziurze w kamieniu. Harald bardzo się tym zainteresował, zapytał, czy gdyby się nadarzyła okazja, to Liv by go tam mogła zaprowadzić. Ona, oczywiście, obiecała, nie zapomniawszy jednak o innej złożonej przedtem obietnicy, że mianowicie nikomu nie powie o zawartości jamy, dopóki papiery nie zostaną stamtąd usunięte. Nie dodała więc, że nie zabierze tam Harald, dopóki nie wyniesie papierów.

Harald był miły. Zdawał się rozumieć jej problemy, a ostatnie słowa, jakie wypowiedział, zanim rozsiedli się na odpoczynek, brzmiały:

- Uważam, że ten Barheim jest niepotrzebnie taki surowy wobec ciebie. Gdybyś miała jakieś kłopoty, Liv, z nim albo z innymi, to natychmiast przyjdź z tym do mnie. Powinnaś wiedzieć, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Bardzo to poprawiło samopoczucie Liv. Jedyne, czego by sobie jeszcze życzyła, to żeby te słowa wypowiedział Jo Barheim. Ale mimo wszystko miło było wiedzieć, że przynajmniej w Haraldzie ma przyjaciela.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Jo.

- Liv, bądź tak dobra i nazbieraj chrustu i drewna na opał!

- Oczywiście! - zerwała się chętna wypełnić każde jego polecenie.

Niełatwo było tu znaleźć odpowiednie drewno. Jedyne, co leżało w pobliżu, to kilka zbutwiałych konarów brzozy i jakieś wyschnięte gałęzie jałowca, Liv oddaliła się więc nieco od miejsca postoju. Po drugiej stronie wzgórza, tam gdzie złożyli plecaki, zanim zdążyli się zorientować, że w tym nie osłoniętym miejscu za bardzo wieje, dokonała pewnego odkrycia.

- Ha! - zawołała dramatycznym głosem w stronę swoich towarzyszy podróży. - Nie jesteśmy tutaj pierwszymi ludźmi! Znalazłam całkiem niedawno wyrzucony słoik po dżemie. Okropnie wygląda w tym miejscu. Ludzie nie mają jednak poczucia przyzwoitości!

- Z pewnością kręci się ich tu niemało - odpowiedział Jo. - Pasterze owiec, nie mówiąc już o turystach.

Liv z dumą przyniosła całe naręczcie suchych brzozowych gałęzi. Jo pochwalił ją, co prawda bez wylewności, ale na tyle szczerze, że wszystkie przykre słowa, które wypowiedział przedtem, przestały mieć znaczenie.

W chwilę później wszyscy siedzieli w największym skupieniu i czekali, aż Morten rozpakuje prowiant, który dostali na drogę w pensjonacie. Oczy Liv stawały się coraz większe i większe, w miarę jak kolejne kanapki pojawiały się na plastikowym obrusie. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie była taka głodna. Kiedy więc Morten nareszcie powiedział „proszę bardzo”, bez skrupułów skorzystała z przysługującego jej jako kobiecie pierwszeństwa. Wyciągnęła swój kubek w stronę Jo i miała nadzieję, że on, nalewając kawę, nie zauważy, jak drżą jej ręce dlatego, że siedzi tak blisko niego. Za nic by też nie powiedziała, że w gruncie rzeczy nie lubi kawy.

Zaległa kompletna cisza, wszyscy rozkoszowali się jedzeniem, odpoczynkiem i wspaniałym krajobrazem. Cienie były krótkie, po niebie przepływały delikatne obłoki, zdawały się na chwilę zatrzymywać nad szczytem góry, a potem odsuwały się w stronę potoku.

Liv zjadała kanapkę z pieczenia cielęcą, obłożoną plasterkami ogórka.

- Tej zieleniny nie musisz w siebie wpychać - powiedział Finn. - Po prostu wyrzucić. I sałatę też.

Liv popatrzyła na niego ze łzami w oczach.

- Co się stało? - zawołał Jo.

- Finn, ty naprawdę uważasz, że tę biedną sałatę należy wyrzucić? Że rosła po nic i teraz może zwiędnąć na pustkowiu? A ja ci powiem, że zjem wszystko i na dodatek bardzo lubię sałatę.

Finn wybuchnął śmiechem.

- Od dawna to powtarzam. Młodsza siostra Tulli nie ma całkiem dobrze w głowie.

Jo natomiast rzekł w zamyśleniu:

- Jak łatwo ludziom mówić o tych, którzy myślą inaczej, że „nie mają dobrze w głowie”. To najprostsze, wtedy nie trzeba się wysilać, żeby zrozumieć punkt widzenia innych. Liv, dlaczego ty właściwie nie masz psa? Myślę, że to by było dla ciebie ważne.

Liv doznała zawrotu głowy ze szczęścia. Teraz była pewna, że Jo rozumie, skąd się biorą jej kłopoty.

- Rodzina mi nie pozwala, chociaż proszę o to od dawna. Oni mówią, że pies wszystko niszczy.

- No tak, problem polega na tym, co się uważa za najbardziej wartościowe - westchnął Jo i tym razem Liv nie do końca zrozumiała, co miał na myśli.

Wyjęła z kieszeni mały szkicownik i zaczęła rysować portrecik Mortena, leżącego na trawie i odpoczywającego z zamkniętymi oczyma. Pracowała szybko, spod jej ołówka wyłaniała się złośliwa karykatura, gładka twarz bez wyrazu, w której jedynie niechętnie wydęte wargi mówiły cokolwiek o osobowości.

Jo poprosił, by mu pozwoliła obejrzeć, i mimo starań nie zdołał ukryć uśmiechu. Bez słowa wskazał palcem na Finna. Liv natychmiast podjęła wyzwanie, narysowała tłuste, trochę za długie włosy, które potargał górski wiatr, ładną, ale dość pospolitą twarz, zdradzającą nonszalancję i pewność siebie, oraz wydłużoną, ale zgrabną sylwetkę.

Kiedy Jo oglądał portret Finna, dziewczyna zaczęła rysować Haralda. Wizerunek był groteskowy, ale bez trudu dało się doszukać podobieństwa: szerokie wargi i małe, osadzone blisko siebie, przenikliwe oczka w nie wyróżniającej się niczym twarzy.

Finn chciał obejrzeć rysunki i zaśmiewał się z karykatury Mortena, nieco mniej z własnej, a o Haraldzie powiedział, że wygląda jak prawdziwy gangster.

- Nie miałam takiego zamiaru, Haraldzie - rzekła Liv przepraszająco. - Po prostu brak mi doświadczenia, a w ogóle wszystko to tylko taka zabawa.

Harald jednak śmiał się szczerze.

- Nie narysowałaś karykatury Jo - zauważył Finn. - Zaczynaj natychmiast. Niech nie myśli, że mu się upieczę.

Spojrzała uważnie na Jo.

- Nie mogę - odparła stanowczo i schowała szkicownik. - On ma trudną fizjonomię. Gdybym wydobyla w karykaturze tę kanciastą twarz i te jego skośne oczy, rezultat byłby, moim zdaniem, okropny. Szkoda mi wykoślawiać taki oryginał...

- Nie wiedziałem, że masz talent do rysunków - powiedział Finn. - Wiesz, chyba zjadłbym jabłko. Zostało ci jeszcze trochę?

- Zostało. Ale tak mi się tu wygodnie siedzi. Nie mógłbyś sobie sam wziąć? A zresztą przynieś dla wszystkich.

- Dla mnie nie, dziękuję - oświadczył Morten. - Ja myję owoce przed jedzeniem.

Finn podszedł do plecaków, które już dawno zostały przeniesione w pobliże obozowiska. Jo zapytał Liv, jakie stopnie dostawała w szkole z rysunków, a ona odpowiedziała, że w ogóle najlepsze stopnie miała zawsze z norweskiego i właśnie z rysunków.

Nagle Finn wrzasnął jak oparzony i wszyscy drgnęli.

- Żmija! Ukąsiła mnie! Na pomoc, szybko! W plecaku jest żmija!

Jo pobiegł na ratunek.

- Opuść rękę swobodnie, nie napinaj mięśni! - rozkazywał. - W napiętych mięśniach jad rozchodzi się szybciej.

Finn dygotał na całym ciele. Nieduża żmija wypełzła z plecaka Liv i zniknęła w jałowcowych zaroślach. Morten rzucił się, by ją złapać.

- Nie, przestań! - zawołał Jo. - Co ci z tego przyjdzie? Pomóż lepiej mnie!

Wyjął ze swojego bagażu żyłkę i ujął rękę Finna. Morten oznajmił poblady, że nie znosi widoku krwi, i jego miejsce zajęła Liv. Trzymała mocno rękę Finna, a Jo zrobił kilka nacięć, poczynając od dwóch kropek, które zostały po ukąszeniu, potem wyssał z nich krew i wypluł. Harald przyglądał się temu stropiony, ale nie zrobił nic, by im pomóc.

- W zewnętrznej kieszeni plecaka Mortena są bandaże, Liv. Bądź tak dobra i przynieś je.

Zrobiła, jak kazał, i otrzymała w nagrodę pełen uznania uśmiech. Finn został opatrzony i wrócił na swoje miejsce przy ognisku. Wszyscy siedzieli w milczeniu, jakby chcieli się oswoić z tym, co się stało.

- Boli cię, Finn? - zapytał Jo.

- Nie bardziej niż zwyczajne skaleczenie. Dzięki za pomoc.

- O, drobiazg.

Znowu zaległa cisza. Liv wiedziała bardzo dobrze, o czym wszyscy myślą. W końcu powiedziała, udając swobodę:

- Wygląda na to, że i ja, i mój plecak przynosimy pecha.

Morten natychmiast wykorzystał okazję.

- Oczywiście, tylko dlatego, na Boga, położyłaś go tak blisko zarośli? Czy nie wiesz, że w górach aż się roi od żmij?

- Nawet tak wysoko jak tutaj? - zapytał Finn trochę drżącym głosem. - A właściwie to jak wysoko my jesteśmy?

- O, nie tak znowu strasznie - oświadczył Jo. - Chyba jakieś tysiąc metrów.

- Skąd możesz wiedzieć? - zdziwiła się Liv, której to bardzo zaimponowało.

- Moje dziecko - odparł ze śmiechem. - Jeśli jest ktoś, kto może ci powiedzieć, jak wysoko się znajdujesz, to właśnie geodeta.

- A nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego macie wykonywać te wszystkie pomiary w Månedalen.

- Będzie przeprowadzana regulacja wód, musimy pomierzyć wysokość niektórych wodospadów, długość ciągów wodnych i takie tam...

- Regulacja wód? W górach? to okropne! - jęknęła Liv.

- Też tak uważam. Ponieważ jednak mój szef zachorował, ja musiałem przejąć nadzór nad całością. Miałem tylko dwa dni, żeby się do tego przygotować. Więc musisz mi wybaczyć, jeśli czasami jestem trochę nerwowo lub ponuro. Wszyscy musicie mi to wybaczyć. Nie czuję się kompetentny, mam zbyt małe doświadczenie do takiej pracy.

- Ech - wtrącił Morten. - Jeśli ktoś da sobie z tym radę, to przede wszystkim ty.

Jo uśmiechnął się.

- A ty powinienesz wiedzieć, że bardzo polegam na twojej skrupulatności i pedanterii. Jeśli przyuczymy Finna, to możemy stworzyć bardzo zgrany zespół.

Chciałabym, żeby dla mnie też znaleźli jakieś zajęcie, pomyślała Liv. Ale takiego pechowca, to oni pewnie omijają z daleka jak zarazę! Chociaż nijak nie mogę zrozumieć, jakim sposobem ta żmija wlaźła do mojego plecaka.

Kopnęła mimo woli słoik od dżemu, który leżał obok jej stopy. Do czego, na miłość boską, ktoś potrzebował słoika tak wysoko w górach? Liv zdążyła już zapomnieć, że zbierając chrust znalazła też metalową przykrywkę do słoika, w której ktoś gwoździem porobił dziury...

Morten wstał i uważnie oglądał linię horyzontu.

- Finn, czy mógłbyś mi wyjaśnić, dokąd my właściwie idziemy?

Reszta towarzystwa wstała również. Z tyłu za nimi, na wschodzie, znajdowało się górskie pustkowie, łagodne zbocza ze spływającymi potokami ciągnęły się w nieskończoność, jedna góra za drugą, zlewały się w oddali i wyglądały jak mglista niebieskoszara zasłona. Na północy, gdzie cienie i obłoki przypominały pasące się na hali owce, widniał łańcuch

niższych szczytów. Góry od południa nie przedstawiały się zbyt imponująco, raczej były to pagórki, ale widok zamykały szczelnie.

Od zachodu jednak, daleko poza doliną, która rozciągała się przed oczyma wędrowców, leżał mroczny masyw górski, o wysokich, pokrytych śniegiem szczytach, poprzecinany głębokimi rozpadlinami i żlebami. Liv wiedziała, że muszą iść właśnie w tamtą stronę, i nie mogła opanować drżenia. Månedalen to bardzo piękna okolica, dolina w otoczeniu łagodnych stoków, z oddali jednak sprawiała straszne wrażenie.

- Szedłem tędy kilka lat temu - powiedział Finn. - Jeśli dobrze pamiętam, to wkrótce będziemy musieli przejść przez sporą rzekę, a potem pójdziemy jej brzegiem aż do urwiska z wodospadem. Tam trzeba się będzie zacząć wspinać po zboczu urwiska, aż znajdziemy się na tamtym grzbiecie. Skierujemy się ku zachodowi, do rozpadliny, która prowadzi do niewielkiej ciasnej dolinki ze wspaniałym rybnym potokiem, w którym można łowić szczupaki. Dają się chwycić gołymi rękami. Tam czeka nas najtrudniejsza wspinaczka. Musimy wejść na szczyt wysokości prawie dwóch tysięcy metrów. Jeśli nie zna się szlaku, to wspinaczka tędy może być naprawdę niebezpieczna. Ale potem to już droga prosta, najgorsze za nami. Schodzi się tylko po długich łagodnych zboczach.

- Oj, daleko nam jeszcze do tego - jęknął Morten. - Zaczyna mnie męczyć ten monotony krajobraz.

Pozostali spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

- Monotonny? - spytał zdumiony Jo. - A co ty byś uważał za zróżnicowane?

- Ja nie mówię o zróżnicowaniu - powiedział Morten wciąż tym samym żalonym tonem. - Ja lubię ładne wille w zadbanych ogródkach. Równe, proste uliczki, elegancko ubranych ludzi, którzy spokojnie idą do pracy lub wracają do domu. A nie takie pozbawione wszelkiej, powiedziałbym, dyscypliny, poszarpane szczyty, które zostały rozrzucone bez ładu i składu w tym wymarłym krajobrazie.

- Nie, przestań już! - syknęła Liv. - Czy ty jesteś człowiek, czy jakaś maszyna? Czy ty naprawdę nie jesteś w stanie dostrzec w tym piękna? Żal mi tej dziewczyny, która kiedyś zdecyduje się wyjść za ciebie za mąż. Nie wybaczysz jej ani jednego pyłka kurzu w domu. Gotowa jestem się założyć, że będziesz spoglądał na zegar co sobota za pięć ósma, żeby przygotować się do spełnienia małżeńskich obowiązków punktualnie o ósmej.

Jo chichotał tak, że musiał odejść na bok, aby nie robić przykrości Mortenowi. Liv płonęła gniewem, a Morten spoglądał na nią urażony, dopóki Harald nie załagodził sytuacji i w końcu jako tako uspokojeni mogli ruszać w dalszą drogę.

Po godzinie dotarli do rzeki. Wzburzona i wroga toczyła się po kamienistym dnie, wymijając bloki skalne i zarośla. W pewnym miejscu kilka wielkich płaskich kamieni, ułożonych rzędem, pozwalało przedostać się na drugą stronę.

- Uff - jęknęła Liv. - Zdaje mi się, że odległość pomiędzy kamieniami jest okropnie duża.

Jakiś mały ptaszek pojawił się nad powierzchnią wody, machając skrzydełkami i piszcząc żałośnie. Jo szedł pierwszy po kamieniach, pokonał całą szerokość rzeki z łatwością, po czym przysła kolej na Liv. Zanim zdążyła sobie to uświadomić, stała pośrodku tego „mostu”, ale kiedy zobaczyła ostry prąd wody w dole, ogarnęła ją panika. Krok do następnego kamienia wydawał się niemożliwy. Finn dotarł już do miejsca, w którym stała Liv, i ponaglał.

- Idź przede mną - zaproponowała uprzejmie.

- A ty co? Tchórzysz? - zachichotał.

- Tchórzę? Ja? - Liv obrażona przeskoczyła na następny kamień. Poczula łaskotanie w żołądku, ale przeskoczyła, a potem Jo podał jej rękę i wyciągnął na brzeg.

Finn chichotał nadal.

- W stosunku do ciebie wystarczy bardzo prosta psychologia - powiedział wreszcie. - Każda psychologiczna zasada na tobie sprawdza się co do joty.

- A ty taki znowu specjalista! - burknęła ze złością.

Szeroka górską rzeką znajdowała się poza nimi, przed nimi wznosiły się niezbyt wysokie zbocza. Daleko w dole majaczyły jakieś zabudowania, malutkie jak pudełka od zapalek. Finn objaśnił, że to szałas pasterskie.

- Pójdziemy tamtędy? - zapytał Harald.

- Nie. Nawet się do nich nie zbliżymy - odparł Finn.

Szli teraz przez gęste brzozowe zagajniki, drzewa były na przemian młode i starsze, niektóre powykrzywiane zwisały nad skalnymi uskokami, inne znów tronowały majestatycznie na rozległych zboczach porośniętych trawą.

Finn włączył swoje tranzystorowe radio. W górskiej ciszy skrzekliwa muzyka była dla wszystkich jak szok.

- Wyłącz to! - zdenerwował się Jo. - Czy już naprawdę nigdzie nie można uniknąć tych hałasów?

- O co chodzi? - obraził się Finn. - Chciałem wam tylko dostarczyć trochę rozrywki.

- Tego rodzaju aparaty nie wszędzie pasują - odparł Jo.

Finn wyłączył radio. Las pogrążył się znowu w całkowitym spokoju i ludzie wędrowali dalej w milczeniu.

W jakiś czas potem Liv wydało się, że słyszy daleki warkot.

- Czy to samolot? - zapytał Morten.

- Nie, nie, to wodospad - wyjaśnił Finn. - Wkrótce do niego dojdziemy.

Szum narastał aż do grzmotu, który bez reszty wypełniał powietrze. I nagle ich oczom ukazał się wodospad, który jakby wybuchał w górze jakimś dziwnie tanecznym ruchem, a potem masy wody opadały wzdłuż skalnej ściany i znikwały wiele metrów niżej w rozpadlinie.

- O! - zachwyciła się Liv.

- Fantastyczne! - zawołał Jo tuż za nią, bardzo głośno, by przekrzyczeć huk wodospadu. - To właśnie takie zjawiska przekonują, że warto żyć.

- Można mówić o turystycznej atrakcji - uznał Harald. - Tutaj pewnie niewielu turystów przychodzi, a wielka szkoda.

Liv o mało nie skrzyła karku, starając się tak przechylić głowę, by zobaczyć najwyższy punkt wodospadu. Ogromne masy wody spadały z wielkiej wysokości, mieniły się, pieniały wzburzonymi kaskadami i ginęły u ich stóp niczym w okropnym kotle czarownicy. Ponad wszystkim unosił się gęsty obłok rozpadającej się na miliony kropelek wody i zraszał delikatnym deszczem najbliższe otoczenie.

Ciężko było tutaj się wspinać. Pochylone, na pół leżące brzoźki zagradzały co chwila drogę, od czasu do czasu pojawiały się na ścieżce małe lemingi i parszając wściekle, dzielnie domagały się, by intruzi opuścili ich teren.

To jakiś zaczarowany las, myślała Liv. Liście brzoź wyglądają jak złote pieniążki na aksamitnym kobiercu trawy, a jak pięknie mieniają się głazy i kamienie!

- Jo! - zawołała. - Szlachetne kamienie! Znalazłam szlachetne kamienie!

Pokazywała mu wielki głaz, na którego powierzchni lśniły tysiące diamentów.

- To górski kryształ - wyjaśnił Finn. - Jest ich tu wszędzie mnóstwo. Jeśli macie czas i ochotę, to mogę wam pokazać całe skupisko takich kamieni.

- No, byle tylko nie za daleko - powiedział Jo.

- Nie, tylko kawałeczek stąd.

Odeszli od wodospadu i mogli teraz rozmawiać normalnymi głosami. Finn prowadził ich drogą pod górę.

- To jest tam, pomiędzy tymi wielkimi kamieniami. Ale idźcie ostrożnie, żeby nie skrzyć nogi.

Złożyli plecaki na ziemi i z zapalem wspinali się pomiędzy skalnymi odłamkami. Z początku nie widzieli nic, ale potem Finn pokazał im dolną część sporego głazu i wszyscy stanęli niemal porażeni tajemniczym szlachetnym blaskiem, który płynął z maleńkich,

sprawiających wrażenie oszlifowanych, sześcianów. Głazy były jak pokryte makatami górskich kryształów, tu i tam maleńkich, gdzie indziej znacznie większych, czasami zdarzały się nawet bardzo duże okazy, ale te nie były na ogół całkiem przezroczyste i nie mieniły się tak pięknie jak te najmniejsze.

Kilka drapieżnych ptaków krążyło nad głowami wędrowców i krzychało ze złością.

- Co to za ptaki? - zapytała Liv Jo.

- To jastrzębie górskie - powiedział. - Wygląda na to, że mają tu gniazdo. Mam nadzieję, że nie przestraszyliśmy ich za bardzo.

Oglądali kryształy jeszcze przez chwilę, a potem Jo i Harald zaczęli schodzić w dół. Harald zdenerwowany machał rękami, jakby chciał odpędzić ptaki.

- Nie mamy już czasu - ponaglał Jo. - Chodźcie, trzeba ruszać dalej.

Morten i Finn poszli za nim, a Liv, która znajdowała się najwyżej, zaczęła ostrożnie zsuwać się na dół.

Nagle zamarła. Ponad jej głową z góry zaczęły spadać kamienie, coraz więcej i więcej.

- Szybko, Liv! Uciekaj! - wołał Morten. - To kamienna lawina!

Liv spojrzała w górę. Ptaki wrzeszczały histerycznie i rzucały się do ataku na coś, co musiało się znajdować na niewielkim płaskowyżu, którego nie mogła stąd widzieć. Zdawało się, że atakują żywego wroga. I chyba tak naprawdę było, bo w pewnym momencie Liv zobaczyła, że sunie na nią tak wielka masa kamieni, iż mogło je zepchnąć tylko jakieś duże, żywe stworzenie. Jakiś potwór? Finn i Morten pędzili w dół, by uniknąć zasypania, ale zauważyła, że Jo biegnie do niej.

- Wpełnij pod tamtą wystającą skałę! - krzychał.

Do tej chwili Liv stała jak sparaliżowana. Teraz rozejrzała się pospiesznie. Niedaleko niej znajdowała się duża wisząca skała czy też głęboka jama pod nawisem. Rzuciła się tam i zdążyła dosłownie w ostatniej chwili, bo zaraz potem pierwsze kamienie upadły u jej stóp, a wkrótce stoczyła się cała lawina. Jakiś wielki blok zleciał z hukiem, a za nim setki mniejszych głazów i skalnych odłamków. Tony kamieni rozpryskiwały się na wszystkie strony, wpadały także pod skałę, gdzie schroniła się Liv. Zasłaniała twarz rękami i modliła się w duchu, by wszystko jak najprędzej i dobrze się skończyło. Miała szczerą nadzieję, że czterech jej towarzyszy znajduje się w bezpiecznym miejscu na dole. W powietrzu pełno było białego pyłu i wkrótce dziewczyna zanosła się strasznym kaszlem, z trudem łapiąc oddech. Jo! myślała zrozpaczona. Chciała wierzyć, że nic mu się nie stało, że zdołał umknąć przed lawiną.

W końcu szalony hałas ustał, powietrze stawało się powoli coraz bardziej przejrzyste i zrobiło się cicho, od czasu do czasu tylko mniejsze kamienie osuwały się z łoskotem.

Wszystko trwało nie dłużej niż pół minuty.

- Liv! - odezwał się głos z dołu.

- W mojej prochowni wszystko dobrze! - zawołała. - Jak tam z wami?

- Dobrze, dziękujemy - powiedział Jo. - Zaczekaj tam, gdzie jesteś. Idę po ciebie. Nie ruszaj się!

Siedziała bez ruchu, dopóki nie przyszedł i nie wziął jej za rękę.

- Chodź, Liv - powiedział łagodnie. - Pomogę ci zejść na dół. Tylko stąpaj ostrożnie!

Liv szła na chwiejnych nogach. Ocierała ręką zakurzoną twarz.

- Jak ja wyglądam? - zapytała z niepewnym uśmiechem.

Jo nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko do niej i z czułością pogłaskał ją po policzku.

- Pechowiec - szepnął.

Z wolna cała grupa podjęła dalszą wspinaczkę przez zasypaną teraz kamieniami okolicę.

- Ja tego naprawdę nie rozumiem - mówiła Liv w zamyśleniu. - Nigdy przedtem nie byłam do tego stopnia pechowa, w każdym razie nie przyciągałam aż tak nieszczęść. Przynajmniej nie w ten sposób. To znaczy bez mojej winy.

- Czy to było całkiem bez twojej winy? - zapytał Jo trzeźwo. - Weszłaś przecież najwyżej z nas wszystkich. Po prostu poruszyłaś jakiś kamień, który pociągnął za sobą lawinę.

Liv potrząsnęła głową.

- To nie ja poruszyłam ten kamień. Lawina przyszła z góry nade mną. Myślę, że spod szczytu.

- Możliwe, ale tak czy inaczej to my musieliśmy poluzować jakiś kamień niżej, który wywołał taką reakcję.

Liv nie była co do tego przekonana.

Ptaki, myślała gorączkowo. Górskie jastrzębie kogoś tam atakowały...

- No cóż - rzekła w końcu starając się, bez wielkiego powodzenia zresztą, obrócić wszystko w żart. - Tym razem przynajmniej mój plecak nie był w to zamieszany.

- Masz rację - roześmiał się Jo. - I możemy chyba powiedzieć, że skoro wszystkie dobre rzeczy występują po trzy, to złe też powinny chodzić trójkami. Czyli do trzech razy

sztuka. Już trzy razy przytrafiło nam się nieszczęście, więc możemy spokojnie patrzeć w przyszłość.

Liv z wdzięcznością uścisnęła mu rękę.

ROZDZIAŁ V

Głodni i zmęczeni pokonywali dzielnie płaskowyż otoczony połyskującymi w słońcu szczytami. Liv wydawało się, że idą od wielu godzin, że cała wieczność minęła od czasu, kiedy wyszli z brzozowych zarośli, a przed nimi piętrzyło się jeszcze jedno strome wzniesienie porośnięte tym razem niższym brzozowym zagajnikiem. Miała jednak wrażenie, jakby nigdy nie mieli dojść do tego lasu. Płożące zarośla po prostu ich uwięziły, a pod krzakami sączyły się zdradliwe potoki, niekiedy wąskie o grząskich brzegach, kiedy indziej znowu szerokie i głębokie. Wędrowcy musieli w nich brodzić i wszyscy byli zamoczeni prawie do pasa, spodnie lepiły się do ciała.

Słońce schowało się za górski masyw na zachodzie i wysyłało stamtąd ku chmurom wiązki światła przypominające kształtem piszczalki potężnych organów. Na górze wiał zimny, przejmujący wiatr, gromadka miała przed sobą, od południowej strony, łańcuch nagich szczytów, ponurych i niepokojąco bliskich z błękitnymi plamami śniegu w żlebach i zagłębieniach. Nie chcę iść dalej, jeszcze nie tego wieczora, myślała Liv. Ja wiem, że musimy podejść do tamtego płaskowyżu, ale dzisiaj przeraża mnie to ponad wszelkie wyobrażenie. To nie są moje góry. Te tutaj są czarne i wysokie, złowieszcze.

Uświadomiła sobie, że musi być naprawdę głodna, bowiem piętrzące się przed nią trudności uznawała za niemożliwe do pokonania.

Morten i Finn narzekali na najrozmaitsze dolegliwości od chwili, gdy opuścili rozpadlinę z górkimi kryształami, a Harald był zlany potem i czerwony. Tylko Jo sprawiał wrażenie, jakby się dopiero co wybrał na niedzielną przechadzkę.

Teraz odwrócił się do reszty towarzystwa.

- Myślę, że możemy rozbić obóz na skraju tamtego lasu. Czas już chyba coś zjeść, nie wydaje mi się, że moglibyśmy jeszcze dzisiaj iść dalej.

- No, nareszcie coś mądrego - powiedział Finn z przekąsem.

Jo zczekał na Liv.

- Radziłaś sobie dzisiaj świetnie - rzekł z uznaniem. - Szczerze mówiąc, najlepiej ze wszystkich. Nie jesteś zmęczona?

- Jeśli tylko zbliżysz się do mnie na wyciągnięcie ręki, to się rozpadnę w pył - oświadczyła zbolalym głosem. - Chociaż to był wspaniały dzień. Twarz mi płonie od słońca.

- Rzeczywiście, jutro będziesz całkiem brązowa. Wiesz co? Ja myślę, że ta wycieczka najlepiej zrobi Mortenowi. On prawie nie wychodzi na powietrze, całymi dniami przesiaduje

nad swoją statystyką. Powinien się nauczyć, że w życiu najciekawsze jest to, co niespodziewane i zaskakujące. Ale... Ty najwięcej rozmawiasz z Haraldem, jaki on jest?

- Bardzo miły! Chociaż niespecjalnie rozmowny i chyba myślący też nie za bardzo, ale interesuje się moim życiem, tym, co robię, co lubię. Uważam, że to bardzo miła cecha.

Uśmiechnęli się do siebie i Liv odczuła jakby powiew, leciutkie wspomnienie tamtego wspaniałego porozumienia z pierwszego dnia ich znajomości.

Ale to wrażenie szybko zniknęło, Jo bowiem stwierdził:

- Oddanie cię całej i zdrowej ojcu będzie dla mnie wielką ulgą, Liv. Jakbym się pozbył kolosalnej odpowiedzialności. Bardziej wyczerpującej nerwowo wędrówki nie odbyłem chyba nigdy w życiu. Żeby tylko ta noc minęła spokojnie!

- Dlaczego miałaby nie być spokojna? - zdziwiła się Liv urażona. - Czy rzeczywiście byłam dotychczas aż taka kłopotliwa?

- No, w każdym razie niełatwo jest się tobą opiekować - westchnął. - Spadasz z samochodu, trzymasz żmije w plecaku i spuszczasz kamienne lawiny. Uważasz, że to drobiazgi?

- Nie - bąknęła zgnębiona. - Oczywiście, że nie.

Nareszcie doszli do lasu. Chłopcy bez słowa rzucili się na trawę, jakby już nigdy nie mieli wstać.

- Jeść - jęknął Finn. - A potem spać.

Zjedli bardzo obfity obiad - gotowe dania z puszek, a potem urządzili sobie legowisko. Jo i Harald zbudowali szałas z brzozowych gałęzi w czasie, gdy reszta przygotowywała posiłek. Śpiwory leżały w rzędzie, gotowe do spania.

- Hurra! - zawołał Finn. - Wspanialszego postłania chyba nigdy nie miałem!

- Chwileczkę, Finn! - zatrzymał go Jo. - Czy pozmywaliście i posprzątaлиście po obiedzie?

- Tak - zapewniała Liv. - Tylko ja nie mogę znaleźć mojego fińskiego noża. Tak ciemno, że już nic nie widać.

- Poszukamy rano - pocieszył ją Jo. Kieszonkową latarką oświetlił wnętrze szałasu. - Liv, ty wejdź pierwsza i połóż się przy samej ścianie. Jak już będziesz w śpiworze, zawołaj nas i odwróć się grzecznie. Jesteś gotowa?

- Oczywiście! - Liv przebrała się szybko w dres i wślizgnęła do śpiwora. Uważała, że to wszystko jest nadzwyczajne, podniecające. - W porządku! - zawołała. - Ja już śpię!

Słyszała, jak tamci się rozbierają w ciemnościach. Deptali sobie nawzajem po nogach, pokrzykiwali na siebie i poszturchiwali się, w końcu jednak zaległa cisza.

- Czy mogę włączyć tranzystor? - zapytał Finn.

- No, skoro koniecznie musisz, to na pięć minut. W przeciwnym razie umrzesz nam tu z braku duchowej stawy - roześmiał się Jo. - Liv, możesz się już odwrócić.

- Nie mogę - jęknęła. - Ja nie umiem się obracać w śpiworze. I zawsze rano budzę się z zamkiem na plecach i twarzą w poduszce.

Jo wsparł się na łokciu i obrócił ją jak na pół usmażonego śledzia na patelni.

- Musisz leżeć właśnie tak, bo za mało miejsca.

Jo ułożył się znowu, tyłem do niej, a Liv wpatrywała się przez jakiś czas w jego ciemniejące w mroku plecy. Finn wyłączył radio, oczy Liv zamykały się same, ogarniało ją przemożne zmęczenie.

Najpierw uświadamiała sobie jakiś nieokreślony ból w plecach. Po chwili, kiedy już się rozbudziła, ból wydał się silniejszy, ale też wyraźniej umiejscowiony. W końcu zdała sobie sprawę, że coś piecze ją okropnie pod prawą łopatką. Jęknęła cicho.

- Jo! - zawołała półgłosem, przestraszona.

Odwrócił się w jej stronę.

- Co się stało?

Szary brzask przedzierał się już przez liście drzew ponad nimi.

- Nie mogę się ruszyć. Próbowалам, ale zdaje mi się, jakby mi coś tkwiło w plecach. To okropnie boli! Czy nie mógłbyś zobaczyć, co to?

Jo pochylił się nad nią i jęknął ze zgrozą.

- Nie ruszaj się, Liv. Leż spokojnie!

Przyciągnął ją ostrożnie bliżej siebie i rozpiął zamek jej śpiwora.

- Jo, to mnie okropnie boli - powtarzała.

Finn obudził się także.

- Co się dzieje? Dlaczego tak hałasujecie?

- Ciii - syknął Jo, ale Morten i Harald też już nie spali. Zaciekawieni dopytywali się, co się stało.

- Znaleźliśmy finkę Liv - wyjaśnił Jo. - Była tu wbita trzonkiem w ziemię, a ostrze skaleczyło Liv w plecy.

- Co ty mówisz? - zawołał Harald. - Ależ to mogło...

- Tak jest. Gdyby Liv przewróciła się na plecy, to ostrze wbiłoby się jej w płuco - rzekł Jo sucho. - Poświeć mi, Morten!

Morten wyjął latarkę.

- Ona ma skaleczone plecy! - zawołał przestraszony.

- Owszem, ale niezbyt głęboko. Przynieś mi środki opatrunkowe! Rzeczywiście nie niesiemy ich bez potrzeby. Co chwila kogoś trzeba opatrywać.

Morten trzymał dresową bluzę Liv mocno podciągniętą w górę, a Jo opatrywał ranę, oczyścił ją, założył sterylną gazę i umocnił ją przylepcem. Sama Liv była zbyt wstrząśnięta, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Kiedy po raz ostatni widziałaś ten nóż, Liv? - zapytał Jo.

- Ja... nie pamiętam. Chyba kiedy przygotowaliśmy obiad.

- A nie bawiliście się czasem nożem? - zainteresował się Harald. - Jakieś rzucanie do celu czy coś w tym rodzaju?

- Owszem - przyznał Finn. - Ale to było przed...

- Pamiętam, że was stąd przegoniłem - powiedział Harald. - Bo mieliśmy z Jo budować szałas. Musiałaś go wtedy zgubić albo po prostu zapomniałaś...

- Możliwe - rzekła Liv z wahaniem. - Chyba tak właśnie było.

Ale wciąż wyglądała na zamyśloną. Czy naprawdę zostawiła ten nóż? I czy nóż sam z siebie mógłby się ustawić akurat w taki sposób?

- Że też ona nie zauważyła tego wcześniej - zastanawiał się Finn.

- To akurat nic dziwnego. My wszyscy mimo woli przesunęliśmy się w jej stronę. Liv leżała prawie całkiem na ścianie.

- No, wszystko w porządku, Liv - oznajmił Jo. - Schowaj nóż do futerału, żebyśmy mogli spokojnie jeszcze trochę pospać. Dobranoc albo dzień dobry, jak kto woli.

Liv nie mogła zasnąć. Była głęboko wstrząśnięta tym, co się stało. To musiało oznaczać, że jakiś wróg czyha na jej życie. Zaczęła się całkiem po prostu bać swoich towarzyszy podróży... Ale który? Nie, to nie mógł być żaden z nich. Jakiś niewidzialny prześladowca? Dlaczego, na Boga, miałby się za nią skradać?

Leżała tak z pół godziny i wpatrywała się w sufit z liści, który stawał się coraz wyraźniej widoczny w świetle poranka. W końcu usiadła, wydostała się ze śpiwora, znalazła buty i wyszła na dwór.

Było szaro i chłodno, ale powietrze czyste. Tylko na wschodzie zbierały się ciemne chmury. Na trawie i na gęstych zaroślach wysokogórskich krzewów leżała rosa, lży nocy, a kiedy Liv doszła do brzegu niewielkiego jeziora, miała już buty całkiem mokre. Woda była nieruchoma, prastare brzozy stały kręgiem wokół górskiego jeziora pogrążonego jeszcze w półmroku. Po chwili zobaczyła przepływającego przy brzegu szczupaka.

Osuszyła spory kamień i usiadła, wpatrzona w srebrzystoszarą taflę wody. Drżała z lęku i przygnębienia, czuła się taka samotna. Gdyby znalazł się choć jeden człowiek, który chciałby ją wysłuchać... Ale nikt nie zechce jej słuchać, ponieważ Liv Larsen miała brzydki zwyczaj, nigdy nie mówiła prawdy, nie ma się czym przejmować...

Pozwoliła łzom płynąć. W gruncie rzeczy to było nawet przyjemnie tak się wyplakać w samotności, kiedy nikt nie słyszy.

Nie zauważyła, że Jo Barheim podszedł i usiadł obok, nie zdawała sobie sprawy z jego obecności, dopóki nie pogłaskał jej delikatnie po włosach. Wtedy skuliła się, przywarła do jego ramienia i rozszlochała się rozpaczliwie.

- No, no, moje dziecko - szeptał pocieszająco. - Wiem, wiem, jestem pozbawiony uczuć drań i powinno się mnie zastrzelić za moje zachowanie wobec ciebie. Zajmowały mnie tylko moje własne kłopoty i nie zwracałem uwagi na twoje. A poza tym musisz wiedzieć, że ja bywam niekiedy trudny w kontaktach. Łatwo wpadam w irytację, denerwuję się. Wybaczysz mi?

Liv kiwała głową pochlipując.

- Co ja mam zrobić, Jo, żeby skończyć z tymi kłamstwami? Ja za to nie odpowiadam, to przychodzi samo z siebie.

- Minie ci to z wiekiem, nie przejmuj się. Byłem wobec ciebie okropnie niesprawiedliwy, oceniałem cię tą samą miarą co wszystkie inne spragnione przygód dziewczyny, z jakimi dotychczas miałem kontakt. Wtedy, na brzegu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, bardzo mi się spodobałaś, ale kiedy usłyszałem, że masz iść z nami w góry i o tej twojej szalonej historii z morderstwem, pomyślałem sobie: Aha, toś ty taka! To dlatego zachowywałem się po drodze jak brutal. A ty i tak byłaś sympatyczna, starałaś się nam pomagać, gotowa wszystko wybaczyć. Wstyd mi, Liv. Jesteś bardzo miłą dziewczyną o dobrym sercu i pięknej duszy i znalazłaś się w bardzo trudnej sytuacji, masz kłopoty z sobą samą, z rodziną, z całym światem.

Liv była tak wzruszona tymi pięknymi słowami, że dostała nowego ataku płaczu, choć tym razem, przynajmniej częściowo, z radości.

Jo wyjął chusteczkę, otarł jej twarz i śmiał się, patrząc w jej zapłakane oczy.

- Już dobrze?

Skinęła głową.

- To głupio z mojej strony tak siedzieć tu i beczeć. Ale główny powód depresji jest ten, że dzisiaj są moje urodziny.

- Naprawdę? - wykrzyknął zdumiony. - W takim razie pozwól, że złożę ci najlepsze życzenia. Kończysz szesnaście lat?

- Nie. Siedemnaście.

Patrzył na nią zaskoczony.

- Tak, tak, to prawda - śmiała się. - Rzeczywiście mam siedemnaście lat i, jak widzisz, postanowiłam to uczcić wielkim seansem użalania się nad sobą.

Przyjrzał jej się raz jeszcze bardzo uważnie.

- Co ja mam z tobą zrobić, Liv? Co zrobić, by dodać ci trochę pewności siebie? Skoro wbiłaś sobie do głowy, że nikt na świecie się tobą nie przejmuje...

- Nie, nie, Jo, źle mnie zrozumiałeś. Mój problem nie na tym polega. Myślałam, że pojąłeś to wczoraj, kiedy zapytałeś, czy mam psa. Spróbuję ci to wytłumaczyć. Po pierwsze, moje narodziny zostały w domu przyjęte z umiarkowanym entuzjazmem. Oni mieli już jedną córeczkę, cudowną Tullę, która była taka śliczna i taka słodka. Widziałam jej zdjęcia z dzieciństwa. Istny aniołeczek. Nie planowali więcej dzieci, ale skoro już do tego doszło, to chcieliby przynajmniej synka. Ale ja nie byłam chłopcem i wcale też nie byłam słodka. Niezgrabna i niezdarne, w ogóle jakaś kanciasta. Tymczasem, widzisz, ja ubóstwiałam moich rodziców. Mogłabym im ofiarować cały świat. W miarę jednak jak lata mijały, a ja do-rastałam, zaczynałam pojmować, że oni nie chcą mojej miłości. Nie byłam im do niczego potrzebna. Zawsze było czymś oczywistym, że wszystko dzielę z Tullą, że na przykład nowe ubrania kupuje się tylko jej, a ja donoszę stare. Ja bym, oczywiście, bez protestu dała jej to prawo, pierwszeństwo do wszystkiego, ale oni uważali, że ja muszę jej ustępować. Kiedy zbierałyśmy kwiatki dla mamy, to moje były odsuwane na bok i nikt na nie nie patrzył, bo ważny był bukiet Tulli i ona otrzymywała wszystkie podziękowania i uściski. Oszczędzałam przez wiele miesięcy swoje kieszonkowe, żeby kupić tacie prezent na imieniny, a spotykała mnie reprimenda, że nierozsądnie wydałam pieniądze. Ja nie zabiegałam o ich miłość, ale o to, żeby oni chcieli przyjąć moją. Tak było zawsze i tak jest do tej pory, nikt niczego ode mnie nie chce przyjąć. Wczoraj Morten nie chciał wziąć ode mnie jabłka, bo powiedział, że najpierw trzeba je umyć. Ja wiem, że pies rozwiązałby wiele moich problemów. Pies by mnie potrzebował.

Jo ponownie przyciągnął ją do siebie, przytulił policzek do jej włosów.

- I wtedy ty zaczęłaś zmyślać te swoje historie - powiedział łagodnie. - Po to, żeby zwrócili na ciebie uwagę. Żeby słuchali, co mówisz, żeby się bali. Tak było?

- Nie wiem. Może. A teraz nie umiem się z tego wyplątać.

- Chętnie bym porozmawiał z twoimi rodzicami. Miałbym ochotę nimi potrząsnąć. Nie, nie, nie bój się, nic takiego nie zrobię. Oni by chcieli, żebyś była Tullą numer dwa, ale Bogu dzięki im się nie udało. Uznali więc, że jesteś beznadziejna, wciąż stwarzasz jakieś problemy. Ale mimo wszystko, Liv, oni ciebie kochają. Tyle tylko, że nie bardzo pasujesz do ich ciasnego świata konwenansów i ambicji.

- Ty powinieneś spotkać Tullę, Jo. Ona jest bardzo ładna. Jestem pewna, że byś się w niej od razu zakochała.

- Próbujesz wydać za mąż swoją siostrę? - zapytał ze śmiechem. - Bardzo ładnie z twojej strony, że chciałabyś mieć takiego szwagra jak ja, ale pozwolisz, że sam będę wybierał.

- Oczywiście - bąknęła zarumieniona. - Nie to chciałam powiedzieć. Jo, ja się boję.

- Czego?

- Tyle się wydarzyło w ostatnich dniach. I ja myślę, że to się wszystko ze sobą w jakiś sposób łączy.

- Nie, znowu fantazjujesz. Przy mnie nie musisz tego robić. Lubię cię i tak.

- Naprawdę? - Liv pokraśniała z radości.

- Naprawdę. Uważam, że takiej świetnej dziewczyny jak ty nigdy jeszcze nie spotkałem. Bo w ogóle raczej się nie zachwycam nastolatkami, ale ty masz w sobie coś specjalnego. Nikt by nie uwierzył, że masz siedemnaście lat. Wyglądasz tak naturalnie i dziecinnie, jakbyś miała dopiero nie więcej niż dziesięć. I chciałbym, żebyś potraktowała to wszystko jako komplement.

Liv zaczęła się śmiać. Najpierw cicho, a potem zerwała się z kamienia i wyciągnęła rękę do coraz bardziej jaśniejącego nieba.

- Oczywiście, że traktuję to jako komplement! - zawołała. - I czynię to z największą radością, dlatego, że uważam cię za przyjaciela. Może spróbowalibyśmy jeszcze trochę pospać?

Kiedy wsunęła się do śpiwora, po raz trzeci tej nocy, nad głową Liv, w liściach, coś zaszeleściło. Deszcz zaczął padać cicho i delikatnie. Wzięła plastikową folię, w którą zawinięte były śpiwory, i rozpięła ją nad sobą i nad Jo. Na więcej nie starczyło. Ułożyła się ponownie i odwróciła do ściany. Poczowała ramię Jo, które objęło ją i przyciągnęło bliżej. Było jej ciepło. Cichy głos szepnął:

- Dziękuję ci, przyjaciółko.

Westchnęła zadowolona i zasnęła. Czowała się bezpieczna.

ROZDZIAŁ VI

Rano trzeba było włożyć płaszcze przeciwdeszczowe i kalosze, a mięśnie bolały wszystkich po wczorajszym wysiłku. Kiedy weszli na najwyższe wzniesienie pod szczytami, nad górskim pustkowiem pojawiły się wielkie chmury. Wiatr gwizdał w niskiej zbrązowiałej trawie, deszcz wciskał się za kołnierze i w rękawy. Postrzępione chmury snuły się wokół nóg idących i nad bagnistymi brzegami górskiej rzeczki, choć teraz była ona już tak niewielka, że właściwie trudno by mówić o rzeczce, po prostu strużka toczącej się po kamieniach wody, rozdzielającej się na wiele mniejszych potoczków, które ginęły gdzieś pod skałami.

- Aha, więc źródło rzeki wygląda tak niepozornie - powiedział Morten najwyraźniej rozczarowany. - Zawsze sobie wyobrażałem, że źródło to silny strumień wody bijącej wprost ze skały.

- Czy myślisz, że nie zejdziemy ze szlaku w tej mgle? - zapytał Harald.

- Nie możemy zabłądzić, skoro doszliśmy tak daleko - powiedział Finn. - Czy słyszysz, że po twojej lewej stronie glos odbija się jakoś głucho? To są skalne nawisy pod szczytami. Wystarczy, że pójdziemy wzdłuż nich.

- Nie czuję się tutaj zbyt pewnie - westchnął Morten. - To, te nawisy, których nie widzimy, mam wrażenie, że błędę po omacku.

Nagle omal nie wpadli na gromadkę owiec. Przestraszone zwierzęta rozbiegły się na wszystkie strony, ale potem stanęły i zaczęły się przyglądać dziwnej ekspedycji. Finn starał się je przywołać, ale jedynym zwierzęciem w gromadzie, które zareagowało, był duży czarny baran.

- Wrona szuka gawrona - powiedziała Liv ze śmiechem i nieoczekiwanie stwierdziła, że ów baran zwrócił na nią uwagę, jakby ją sobie wybrał i postanowił się do niej zbliżyć. Za nim podeszły owce. Podrapali je trochę za uszami i ruszyli w dalszą drogę. Owce długo patrzyły w ślad za ludźmi, ale nie sprawiały wrażenia, że miałyby ochotę im towarzyszyć.

Liv stwierdziła, że nastrój w grupie jest dużo lepszy niż wczoraj. Było tak, oczywiście, dlatego, że nie czuła się już taka samotna, odkąd dowiedziała się, że Jo Barheim jest przyjaźnie do niej usposobiony, chociaż uważa ją jeszcze za dziecko. Wszystko wydawało jej się wspaniałe i radosne w tym szarym, mglistym dniu.

Nagle Finn zawołał:

- Śnieg!

Przed nimi ukazała się duża brudnobiała zaspą, która niemal łączyła się z niskimi chmurami. Troje najmłodszych członków ekspedycji pobiegło do niej z radosnymi okrzykami i zaczęło bombardować śnieżnymi kulami dwóch pozostałych. Przez dłuższą chwilę trwała szalona walka, w końcu Liv była kompletnie mokra i wytapiana w tym rozkiszłym brudnym śniegu. Uznała, że na razie wystarczy bójkę, i pobiegła w górę zaspą.

- Chodź, Finn! Zjedziemy w dół na płaszcach przeciwdeszczowych!

- Świetnie! - ucieszył się Finn. - Morten, chodź z nami!

Rozważny Morten wahał się przez chwilę, w końcu jednak ruszył za obojgiem.

Zbocze pod śnieżną zaspą okazało się bardziej strome, niż przypuszczali, więc dyszeli ciężko wszyscy, kiedy się nareszcie znaleźli na górze. Finn rozłożył płaszc.

- Z drogi! Ruszam! - zawołał wysokim, dziecinnym głosem. Potem odepchnął się rękami i zniknął we mgle. - Poszło wspaniale! - krzyknął do kolegów na górze, wobec czego Morten ruszył jego śladem.

Kiedy Liv usłyszała, że i on szczęśliwie wylądował, usiadła na rozpostartym płaszczu i pomknęła w dół.

Śnieg był gładki niczym lód i trudno było kierować płaszczem ze śliskiego plastiku. Stwierdziła, że zbacza z kursu, ale nic nie mogła na to poradzić. Zacinający deszczem wiatr gwizdał jej w uszach, rozkoszowała się pędem i śmiała się głośno.

W dole ukazała się jakaś ciemna sylwetka.

- Czy to ty, Jo? - spytała zdziwiona. - Skąd się tutaj wziąłeś? Uciekaj! Pędzę prosto na ciebie!

Tamten bez słowa uskoczył w bok. Liv nie zdążyła zbyt wiele zobaczyć, stwierdziła jednak, że nie był to ani Jo, ani żaden z jej towarzyszy. Odwróciła się w nadziei, że zobaczy, kto to, ale jedyne, co widziała, to że nieznajomy biegnie za nią z rękami uniesionymi w górę, jakby chciał ją złapać i udusić. W tym momencie przeciwdeszczowy płaszc zatrzymał się na trawie, Liv przekoziółkowała i potoczyła się w dół po zboczu.

- Jo! - wrzeszczała. - Na pomoc! Ratunku!

Słyszała, że kroki na śniegu zwolniły i zatrzymały się, a potem ruszyły w odwrotnym kierunku. Nadbiegli inni członkowie ekspedycji.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał Jo ze śmiechem. - Bardzo się potłukłaś?

Wstała rozdygotana i mocno chwyciła go za ramię.

- Jo - wykrztusiła z drzeniem. - Tu był jakiś człowiek. On chciał mnie złapać.

Jo spojrzał na nią surowo.

- Liv, nie pamiętasz już, co mówiłem... - zaczął, ale kiedy zobaczył jej bladą twarz, przerwał. - Czy tym razem to prawda?

- Prawda. Tam na śniegu, w górze... Uciekł, zanim przyszlście.

Jo puścił rękę Liv i pobiegł.

- Gdzie on się skierował? - zapytał.

- Trochę bardziej w prawo.

Jo zniknął w deszczu. Nie było go przez jakiś czas, potem wrócił zatroskany.

- Są dosyć niewyraźne ślady na śniegu, ale powierzchnia jest zamrożona i mało co widać. Ktoś tam mógł być, chociaż pewny nie jestem. Jak on wyglądał?

- Nie wiem. W ciemnym przeciwdeszczowym płaszczu. Mignęła mi tylko niewyraźna sylwetka, a twarz miał ukrytą pod kapturem.

Jo zmarszczył brwi.

- Naprawdę nie wiem, co myśleć...

- Może to był pasterz tych owiec, które spotkaliśmy - podsunął Harald niepewnie. - I może się wystraszył, kiedy Liv zaczęła wzywać pomocy. On pewnie nie chciał ci zrobić nic złego, Liv, ale wrzeszczałaś tak przeraźliwie...

- Cała jego postać wyglądała groźnie.

- Tak, w tej mgle wszystko wydaje się straszniejsze niż w rzeczywistości. Myślę, że Harald ma rację. To mógł być ktoś całkiem niewinny, biedak pewnie przestraszył się jeszcze bardziej niż ty. Jeśli w ogóle ktoś tu był.

On mi nie wierzy, pomyślała Liv zrozpaczona. A ja przecież niczego nie zmyślam. I nie chcę tego robić, odkąd on jest moim przyjacielem, nie mam powodu. Tylko że muszę sobie jeszcze zapracować na jego zaufanie, bo na razie on mi po prostu nie wierzy.

Wlekli się dalej w milczeniu. Sympatyczny nastrój ulotnił się bezpowrotnie i nic nie pomogło nawet to, że gęsta powłoka chmur tu i ówdzie zaczynała się przecierać i koło południa widoczność była już całkiem niezła.

Doszli tymczasem do mrocznej, jakby wymarłej okolicy, gdzie pełno było ogromnych głazów, które tu spadły spod szczytów. Niektóre zatrzymały się na krawędziach skał, groźne, jakby gotowe w każdej chwili kontynuować swój niebezpieczny lot. Wędrowcy czuli się tutaj jak w katedrze. Liv miała wrażenie, że słyszy mroczną muzykę organową, która odbija się echem od górskich ścian. Posuwali się naprzód ostrożnie, jakby bali się urazić uśpione wśród skał olbrzymy, które zostały przemienione w kamień dawno, jeszcze w pogańskich czasach, przez górskie trolle.

- Strasznie tu - powiedział Finn półgłosem, jakby się bał nawet rozmawiać głośno.

- Tak. Ciarki przechodzą mi po plecach. A poza tym, Finn, zdajesz sobie sprawę, że dzisiaj w ogóle nie słuchasz radia?

- Wiem - odparł z niewyraźnym uśmiechem. - Jo miał rację, hałaśliwa muzyka tutaj nie pasuje. To jakby bluźnierstwo... w pewnym sensie.

Liv skinęła głową.

- Jakie to dziwne, Liv - szepnął Finn, kiedy obchodzili w kółko ogromny blok kamienny. - Ja przedtem cię właściwie nie zauważałem. Wiesz, chłopaki to się trochę boją takich dziewczyn jak ty. Takich, co to zmuszają, żeby myśleć o poważnych sprawach i takie tam. I chłopaki myślą, że wy jesteście bystrzejsze od nas, więcej wiecie, a tego się nie lubi. Ale teraz to ja cię okropnie polubiłem. Jesteś taka niezależna, fajna jesteś, wiesz? A jak wyładniałaś! Chociaż to może tak mi się zdaje, bo nie ma tu twojej siostry i nie można porównać. Nie, co ja plotę, myślę, że jesteś od niej dużo ładniejsza. Masz w sobie więcej życia, nie jesteś taka lala jak inne.

Gdyby powiedział jej coś takiego tydzień temu, to Liv z pewnością zaniemówiłaby ze szczęścia. Ale teraz, kiedy znała Jo Barheima, Finn nie znaczył dla niej nic a nic. Stał się po prostu pozycją w długim szeregu jej dawniejszych nieodwzajemnionych fascynacji.

Mimo to słowa Finna sprawiły jej radość. Wiedziała, że Jo idzie za nimi i musi słyszeć rozmowę, a to również ją ucieszyło. Ucisnęła więc serdecznie rękę Finna i powiedziała:

- Dzięki.

W tym momencie wyszli zza kamienia, który okrążali, i stanęli jak wryci.

- O rany - jęknął Morten.

- Mój Boże - westchnęła Liv i mimo woli przysunęła się do chłopców. W takim otoczeniu człowiek nie czuje się specjalnie wielki.

Przed nimi wznosiła się wysoka, niebieskoczarna górską ściana, ponura, poprzecinana rozpadlinami. Ledwie dostrzegali, że skała zwęża się ku górze, szczyt krył się w chmurach. Wiedzieli, że do wierzchołka jest jeszcze kilkaset metrów, mieli jednak wrażenie, jakby góra nie kończyła się nigdzie.

- Aha, więc jesteśmy aż tu! - zawołał Finn zaskoczony. - W takim razie muszę wam powiedzieć, że mamy niezłe tempo. Już wkrótce zaczniemy schodzić w dół.

- To może byśmy się tu zatrzymali i coś zjedli? - zaproponował Jo.

- Tutaj? - jęknęła Liv. - Pod tą monstrualną górą? Nigdy w życiu! Wydaje mi się, że wpatruje się tu we mnie jakieś potwornie wielkie oko.

- I z zazdrością spogląda na nasze jedzenie - dodał Finn. - Zgadzam się z Liv. Uciekajmy stąd jak najprędzej!

- Tak jest - poparł go Morten. - Ja też mam ochotę uciekać.

- Cóż, jeśli wolicie iść dalej, to mnie jest wszystko jedno - roześmiał się Jo. - Czy daleko jeszcze do tego rybnego potoku, o którym opowiadałeś, Finn?

- Nie, to jest po drugiej stronie urwiska, w niewielkiej, ciasnej dolinie.

- Świetnie! Wobec tego idziemy tam i może uda nam się złowić trochę ryb. Moglibyśmy zrobić sobie rybę na obiad, ja mam wędkę i wszystko, co potrzeba. Co ty na to, Liv? Zobaczmy, kto pierwszy złowi szczupaka.

- Ha! - wykrzyknęła Liv. - Jako wędkarz jestem całkowicie bezużyteczna. Najpierw rozpaczam nad robakiem, którego trzeba nadziać na haczyk, a potem płaczę nad złowioną rybą. Na mnie nie liczcie.

- Ja założę dla ciebie robaka - uśmiechnął się Jo. - I rybę też zdejmę, gdyby przypadkiem udało ci się coś złowić. No dobrze, ruszajmy już.

Szli ostrożnie, jakby chcieli się obronić przed ciemnym olbrzymem obok.

Morten powiedział w zamyśleniu:

- Wiecie co, zastanawiałem się nad tym facetem, którego spotkała Liv na śniegu. Wczoraj, już o zmroku, kiedy przedzieraliśmy się przez te przekłete zarośla, w pewnym momencie odwróciłem się za siebie i wtedy wydawało mi się, że ktoś skrada się naszym śladem. Przyjrzałem się uważnie, ale nic konkretnego ani nikogo nie zobaczyłem. Myślałem, że to może jakieś zwierzę. Ale może to jednak człowiek, który za nami idzie, chociaż chce pozostać w ukryciu?

Serce Liv zabiło mocno. Poczła jakiś niewyjaśniony lęk. Przypomniała sobie szelesty w lesie na początku wyprawy, a potem ptaki, które nie zwracały na nich uwagi w dolinie pełnej górskich kryształów, ale najwyraźniej zaatakowały kogoś na płaskowyżu ponad nimi...

- Tajemnicza sprawa - powiedział Finn.

- Ja tam niczego nie zauważyłem - oznajmił Harald.

Jo milczał pogrążony w myślach.

Zostawili groźny masyw za sobą i odetchnęli z ulgą. Pokrywa chmur nie była już taka gęsta i ukazało się więcej gór, dalekich i bliższych, a szczyty wszystkich tonęły w ciemnych obłokach. Teren znowu zaczynał się wznosić. Wokół w niskiej trawie pełno było rozrzuconych kamieni i nagle po obu stronach szlaku, którym szli, zobaczyli wysokie ściany. Droga stawała się coraz węższa i coraz trudniej było coś przed sobą rozróżnić, wkrótce trawa się skończyła i znaleźli się w ciasnej skalnej rozpadlinie.

Głosy idących dźwięczały głucho pomiędzy stromymi skałami.

- Na jakiej wysokości teraz jesteśmy? - chciała wiedzieć Liv.

- Jakieś tysiąc sześćset metrów - odparł Jo.

- To tak, jakbyśmy weszli na prawdziwy, i to dosyć wysoki szczyt?

- No, można tak powiedzieć. Szkoda, że trafiła nam się taka marna widoczność. Ale, niestety, w górach często tak bywa. Kiedy pierwszy raz przedzierałem się przez Jotunheim, to potem musiałem kupić sobie widokówki, żeby zobaczyć, jak wyglądają tereny, przez które jechałem.

- Masz terenowy samochód?

- Oczywiście. Teraz też miałem go wziąć, ale pożyczyłem rodzicom na zagraniczną wycieczkę. A poza tym chciałem wykorzystać szansę odbycia prawdziwej górskiej wyprawy. I wcale nie żałuję. No, tutaj zaczniemy chyba nareszcie schodzić w dół.

Skalny tunel się skończył, mieli przed sobą niewielką ciemną dolinę ze wszystkich stron otoczoną wysokimi górami o białych ośnieżonych szczytach. Przez dolinę płynęła nieduża rzeczka, kierowała się w dół ku jednemu wyjściu z tej ukrytej twierdzy, stworzonej przez naturę.

Finn zbiegł na brzeg.

- Chodźcie tu z wędkami! Jo, ja chcę złowić pierwszą rybę!

- To chyba najpierw powinieneś znaleźć jakiegoś robaka!

Podczas gdy chłopcy szukali w ziemi robaków, a Jo przygotowywał prymitywne wędziska z gałęzi, Liv i Harald spacerowali nad brzegiem wody.

- Chyba nie zapomniałaś o danej mi obietnicy, Liv? - zapytał Harald. - Ze pokażesz mi w Månedalen miejsca, o których mi tyle opowiadałaś. To miała być jakaś dziwna dziura w kamieniu czy coś w tym rodzaju, tak?

- Oczywiście, że ci pokażę, ale nie zaraz pierwszego dnia. Muszę się najpierw wypaść. I przecież nie mogę tylko przywitać się z tatą i natychmiast znowu go zostawić.

- Ale ja w gruncie rzeczy nie powinienem się zatrzymywać u was. Muszę zaraz ruszać dalej. A może pójdziemy tam, zanim spotkasz się z tatą? Myślę, że tak zrobimy, tak będzie najlepiej!

Liv zwlekała z odpowiedzią.

- Nie, Harald. Jestem za bardzo zmęczona. A poza tym to by chyba jakoś dziwnie wyglądało, nie sądzisz? Bo widzisz, te miejsca leżą dosyć daleko od naszego domku, a skoro już teraz jestem taka zmęczona, to jaka będę wieczorem. Nie, najpierw muszę odpocząć. A do tego kamienia to pójdziemy, jak już będziesz wracał przez Månedalen. Obiecuję ci, że wtedy wszystko ci dokładnie pokażę. Zgadzasz się?

- No jasne - burknął Harald i więcej już o tym nie rozmawiali.

Liv wróciła do Jo i usiadła obok niego.

- Narzędzia mordy - powiedziała z ponurą miną na widok wędek.

- Nie musisz łowić - odrzekł Jo, obrabiając wędzisko nożem. - Czy mam w takim razie przygotować tylko cztery wędkę?

- Nnno, mogłabym chyba spróbować...

- Naprawdę?

Podał jej gotową wędkę.

- Weź tę. Ale poczekaj na resztę. To byłoby nie w porządku zaczynać po kryjomu, przed innymi.

- Jo - zaczęła w zamyśleniu.

- Tak?

- Nigdy mi nie mówiłeś nic o sobie. Czym się zajmujesz, kiedy nie jesteś tutaj?

- Wędruję tu i tam i dokonuję podobnych pomiarów.

Liv stuknęła wędziskiem w ziemię.

- Powiedziałeś kiedyś, że masz niedobre doświadczenia z dziewczynami. Co miałeś na myśli?

Spojrzał na nią i potargał jej ręką włosy.

- Cholernie cię lubię, Liv - rzucił nieoczekiwanie ciepłym głosem. - Ty naprawdę jesteś inna.

Serce Liv zaczęło bić pospiesznie.

- Dlaczego inna?

- Bo przyjmujesz mnie bez jakichkolwiek zastrzeżeń. Dziewczyny na ogół są ze mną nienaturalne, jakieś spięte. Byłoby nieszczerze, gdybym powiedział, że nie wiem, dlaczego tak jest. Wiesz, ja bym chciał, żeby mnie ludzie lubili nie za mój wygląd, ale mimo mojego wyglądu. Czy jestem teraz zbyt zarozumiały?

Liv była zaskoczona, że Jo jest taki skrupowany swoim wyznaniem.

- Nic podobnego i znakomicie rozumiem, co masz na myśli. Ale czy nie mogłabym cię lubić i za twój wygląd, i mimo twojego wyglądu?

Roześmiał się serdecznie.

- Nic nie stoi na przeszkodzie. Wiesz, kiedy byłem w wieku Finna, zachowywałem się dokładnie tak jak on. Sprawiało mi przyjemność, że podobam się dziewczynom. Rozkoszowałem się tym. Byłem okropnie zarozumiały, aż nagle zacząłem odczuwać obrzydzenie do siebie. I do ludzi wokół mnie. Ty naprawdę nie wiesz, jakie straszne typy

można spotkać. Na przykład zapraszają mnie na przyjęcia, bo potrzebują wolnego faceta dla jakiejś samotnej przyjaciółki. Bóg jeden wie, ile nieszczęsnych dziewczyn „bez pary” zbałamuciłem z tego powodu.

Jo mówił i gorączkowo naciągał żyłkę, jakby w ogóle nie dostrzegał, co robi.

- A poza tym te wszystkie nowoczesne dziewczyny, które wykazują inicjatywę. Albo takie, które demonstracyjnie nie zwracają na mnie uwagi, by tym sposobem wzbudzić moje zainteresowanie, nie mówiąc już o takich, które od pierwszej chwili zaczynają mi wymyślać, nazywają mnie zarozumiałcem. Mówi taka na przykład: „Nie wyobrażaj sobie, że możesz mieć wszystko, co zechcesz, tylko dlatego, że ktoś kiedyś powiedział ci, że jesteś przystojny. Przystojni mężczyźni to najgorsze, co znam”. W takich wypadkach zawsze czuję się beznadziejny, nawet wtedy, gdy w ogóle nie zamierzałem mieć z taką dziewczyną do czynienia. A jednego stwierdzenia nienawidzę szczególnie, ponieważ nasłuchiwałem się go do znudzenia: „Ty powinieneś grać w filmach!” Niech cię Bóg błogosławi, Liv, za to, że nigdy niczego takiego nie powiedziałaś!

Liv przyglądała mu się ze współczuciem.

- To musi być okropne, spotykać się z takim uwielbieniem - roześmiała się złośliwie.

Jo sprawiał wrażenie, że zaraz wybuchnie gniewem, ale dostrzegł zyczliwość w jej oczach i sam się roześmiał skrępowany.

- Znowu okazałem się zarozumiały. Wybacz mi, Liv.

- Nie, nie jesteś zarozumiały. Jesteś szczery, a to wielka różnica.

- Wiesz, nigdy przedtem nie rozmawiałem z nikim w ten sposób. Jak powiedziałem, pod niektórymi względami jesteś strasznie naiwna, ale za to pod innymi zdumiewająco dojrzała. Kiedy się z tobą rozmawia, ma się wrażenie, że cię naprawdę interesuje to, co człowiek mówi.

- Bo tak jest - szepnęła Liv. - Wiesz, muszę ci teraz coś wyjawić. Pamiętasz ten dzień, kiedy ja widziałam coś... no, to morderstwo na brzegu. Widzisz, ja tam wtedy poszłam, bo bardzo chciałam spotkać ciebie, miałam ci coś powiedzieć... i coś ci dać...

Przerwała. Jo patrzył na nią wyczekująco.

- Ja wiem, że lubisz dawać ludziom różne rzeczy - uśmiechnął się. - Co takiego miałaś dla mnie?

- Nie wiem, boję się, że mógłbyś to źle zrozumieć. Teraz moje zachowanie wydaje mi się takie natrętne, ale to nie było tak, i w ogóle nic takiego. Może motywy mojego postępowania były trochę niejasne, ale właściwie to chciałam cię tylko ucieszyć, a przy okazji także siebie.

Poczuła, że zarumieniła się okropnie, i nie miała odwagi spojrzeć na niego. Bez słowa podała mu bilet na szkolną zabawę.

- Dziękuję - rzekł z uśmiechem. - Ale nie bardzo rozumiem...

- W ogóle to ja nie mam zwyczaju chodzić na takie imprezy - wyjaśniła pospiesznie. - Ale zdawało mi się, że zaprzyjaźniłam się z tobą, polubiłam cię tak bardzo od pierwszej chwili, chciałam więc cię zapytać, czy byś ze mną na tę zabawę nie poszedł. Teraz to już nie ma znaczenia i zresztą tak jest pewnie lepiej, ale gdybyś chciał zachować ten bilet na pamiątkę...

Przerwała, by zaczerpnąć powietrza. Poczuła się głęboko nieszczęśliwa i pożałowała, że zaczęła tę rozmowę. I wtedy poczuła jego dłoń na swojej ręce.

- Dziękuję, Liv - powiedział z powagą. - Wiem, że to nie był żaden wygłup z twojej strony.

Starannie schował bilet do kieszeni.

- A jeśli wrócisz do osady na czas, to myślę, że nie bacząc na nic powinnaś pójść na tę zabawę. Towarzystwo rówieśników bardzo dobrze na ciebie wpływa i na pewno nie zabraknie ci partnerów do tańca. W przeciwnym razie z chłopakami w Ulvodden musiałyby być coś nie w porządku.

- Jo, ile ty masz lat?

- Dwadzieścia cztery. Siedem lat więcej niż ty. Czy wydają ci się bardzo stary?

- Owszem - westchnęła Liv. - Wolalabym, żebyśmy należeli do jednego pokolenia.

Nie mogła pojąć, dlaczego na jego twarzy nagle pojawił się wyraz wesołości.

Finn miał rację. W rzece aż się roiło od ryb, z żalem musieli przerwać połów, kiedy mieli już dość na obiad. Liv z wielkim wrzaskiem wyciągnęła z wody szczupaka. Wylała mnóstwo łez nad nieszczęsnym losem biednej ryby i stanowczo odmówiła podjęcia jeszcze jednej próby. Nawet zrównoważony i pedantyczny Morten uległ gorączce rybnej i łowił jak szalony.

Zjedli wspólnie obiad. Chmury też ostatecznie odsłoniły słońce i ukazały się monumentalne szczyty na tle błękitnego nieba. Ognisko nad rzeczką dymiło z początku nieznośnie, bo drewno okazało się wilgotne, ale i tak można się było przy nim ogrzać. Płaszcz przeciwdeszczowe zostały zapakowane do plecaków.

- Czy pójdziemy teraz w dół brzegiem rzeczki? - zapytała Liv.

- Ha, ha - zaśmiał się Finn szyderczo. - Chciałabyś najłatwiejszą drogą, bez wysiłku? O, nie, nie, moja kochana, przeprawimy się przez tę straszną górę, tam dalej. Ale za to, kiedy już ją pokonamy, będziemy na miejscu.

- O, to ja już wiem, gdzie my jesteśmy! - zawołała Liv. - Jesteśmy po drugiej stronie największej góry w Månedalen! Nigdy nie miałam odwagi pokonać tej drogi sama. Ale czy to nie jest trochę niebezpieczne?

- Trzeba znać szlak - powiedział Finn. - W przeciwnym razie można wpaść do rozpadliny. A gdzie się podział Harald?

- Spaceruje po okolicy - wyjaśnił Morten. - Kiedy jedliśmy, widziałem go wysoko przy rozpadlinie. Stał uważnie nad czymś pochylony. Pewnie studiował jakieś kamienne formacje.

- Pewnie tak, ale teraz idzie brzegiem rzeczki.

Zagasili ogień i Liv po raz ostatni rozejrzała się jeszcze po obozowisku. Należała do tych ludzi, którzy zawsze opuszczają ze smutkiem miejsce, do którego nie mają nigdy wrócić. Potem poszła za Finnem, najpierw brzegiem rzeki, a potem wprost ku wysokiej, groźnej górze przed sobą.

Mimo że odpoczywali dosyć długo, wspinaczka po kamienistym zboczu okazała się bardzo męcząca. Niekiedy trzeba było iść na czworakach, przeciskać się pomiędzy skałami. Co chwila musieli przystawać.

Krajobraz był wspaniały w swojej dzikości, a widoki porażające. Co prawda szczyty gór po zachodniej stronie nadal były dla nich niewidoczne, ale od wschodu nic nie przesłaniało perspektywy. Ciężkie, czarne góry, które minęli zaledwie parę godzin temu, piętrzyły się teraz groźnie za nimi i Liv nie mogła się pozbyć uczucia, że są to żywe istoty, złe, które uważnie śledzą każdy krok ludzi.

Droga do szczytu wydawała się nieskończona. Liv za każdym razem, gdy spoglądała w górę, myślała: tylko jeszcze ten kawałeczek! Po czym zza wzniesienia wyłaniała się nowa stromizna. Mimo że starała się jak mogła dotrzymać kroku innym, to i tak wlokła się na końcu - była rozczarowana i wściekła na siebie.

Ale Jo zaczekał na nią.

- No i jak ci się idzie? - zapytał przyjaźnie. - Gdybyś wzięła mnie za rękę, byłoby ci lżej.

Zdyszana potrząsnęła głową.

- Zatrzymaj się na chwilę i posłuchaj, Jo!

Stanęli oboje. Otaczała ich kamienna pustynia, daleko przed nimi wspinali się ich trzej towarzysze, wyglądali jak kozice pośród skał.

- Słyszysz coś? - zapytała Liv.

- Nie, nic, najmniejszego dźwięku.

- No właśnie. Słyszałeś kiedyś taką ciszę? Znajdujemy się ponad rzekami, ponad wszystkim, co szumi, góry jakby pochłoneły wiatr, tutaj panuje kompletna cisza. Cisza gór.

- Nirwana - powiedział Jo.

- Dlaczego tak to nazywasz?

- Ponieważ „nirwana” znaczy tyle co „bezwietrzny”, stan, gdy „żaden wiatr nie wieje”. Może jesteśmy martwi, a może znajdujemy się w wiecznej pustce.

- Jeśli tak, to nirwana jest czymś bardzo pięknym - stwierdziła Liv.

- Hallo! - wołał Morten z daleka. - Czy macie zamiar stać tam cały dzień?

- No tak, to akurat ktoś, kto pozostaje niewrażliwy na piękno natury - westchnął Jo i ruszył dalej.

- To prawda, ale i tak myślę, że dzisiaj dociera do niego znacznie więcej niż wczoraj - rzekła Liv. - I nie jest już taki dokuczliwy w sprawie byle głupstwa.

- Może powoli zrobimy z niego człowieka. Spójrz, tamci doszli do szczytu. Ale co się tam dzieje? Wygląda, jakby się coś stało.

Przyspieszyli kroku i wkrótce zbliżyli się do chłopców, którzy machali do nich rękami. Na wierzchołku góry znajdował się kamień oznaczający najwyższy punkt, a przy nim stał jakiś człowiek.

Liv poczuła dziwne ssanie w żołądku. Coś jej mówiło, że to spotkanie nie zwiastuje niczego dobrego. Postać na górze miała w sobie coś niepokojącego, coś, co wydawało jej się groźne. To, oczywiście, mógł być turysta. Chyba jednak ów człowiek czekał właśnie na nich.

ROZDZIAŁ VII

Wyglądało na to, że mężczyzna nie ma żadnego bagażu. Ubrany był w szarozieloną sportową kurtkę z kapturem, ciemne spodnie i wysokie gumowe buty. Kiedy podeszli bliżej, Liv stwierdziła, że jest to niewysoki, ciemnowłosy, mniej więcej czterdziestoletni człowiek. Na ich widok zaczął coś krzyczeć, ale słowa ulatywały z wiatrem.

- Czy panienka nazywa się Liv Larsen?

- Tak - odpowiedział Jo.

Mężczyzna podszedł jeszcze kilka kroków, Liv kurczowo ścisnęła rękę Jo.

- Jestem z górskiego hotelu Bjørnemyr - oznajmił. - Mam wiadomość dla Liv Larsen.

- Dla mnie? - zapytała Liv z niedowierzaniem.

- Telefonowano do nas - wyjaśnił mężczyzna. - To siostra panienki, powiedziała, że powinna pani natychmiast wracać do domu, bo mama jest ciężko chora. Odprowadzę panią do hotelu, a stamtąd odwiezie panią samochód, panno Larsen.

Liv była jak sparaliżowana.

- Mama... chora? Ale... - Niepokój o matkę spadł na nią jak ciężkie brzemie. Dochodziło do tego rozczarowanie, że będzie musiała wracać, że trzeba będzie opuścić Jo.

- Gdzie znajduje się ten hotel Bjørnemyr? - zapytał Jo.

- Dokładnie na północ stąd, u podnóża tamtej góry.

- A jak jest położony w stosunku do Månedalen?

- Na zachód od doliny.

- W takim razie nasze drogi tutaj muszą się rozejść, Liv - stwierdził Jo. - Bardzo mi przykro, że spadło na ciebie takie zmartwienie. Mam nadzieję, że z mamą wszystko będzie dobrze.

- Ale, Jo... - szepnęła. - Pomyśl, to może być zasadzka.

- Dlaczego? Masz przecież towarzystwo aż do samego hotelu, a stamtąd odjedziesz samochodem prosto do domu. Nie powinnaś więc się bać! Wszystko ułoży się dobrze, zobaczysz. I chociaż jest mi przykro, że musisz zawrócić i przerwać wycieczkę tak blisko celu, przecież niedługo znowu zobaczysz Finna, kiedy on również wróci do Ulvodden.

- Finna? - syknęła Liv. Nie miała odwagi mówić głośno. - Jak możesz być taki głupi, by sądzić, że będzie mi brakowało akurat jego?

- Czy to nie w nim jesteś zakochana?

- Nigdy nie byłam! - parsknęła ze złością. - W każdym razie nie na poważnie. A teraz się po prostu boję! Z tobą czułam się bezpieczna, ty jednak pójdziesz inną drogą. Boję się tego człowieka, Jo!

- Opanuj się! Do widzenia, Liv, i wszystkiego najlepszego. Miło było cię poznać.

Nie miała wyjścia. Pożegnała się z resztą grupy i poszła za nieznanym w dół zbocza. Raz jeszcze odwróciła się i zobaczyła, że jej niedawni towarzysze zeszli już dość nisko po swojej stronie. Wkrótce zniknęli jej z pola widzenia i została sama w górach z obcym człowiekiem, który ją przerażał.

Nie była w stanie wzbudzić w sobie sympatii dla niego. Wymuszona bliskość kogoś takiego męczyła ją, starała się więc trzymać od niego z daleka, na ile tylko sytuacja pozwalała.

Schodzili w dół w milczeniu. Wkrótce opuścili szare kamieniste zbocze i weszli na porośniętą trawą łąkę. Kolejny wodospad, potężny i dziki, wyłonił się z pobliskiej góry, długo słyszeli jego grzmot. Znajdowali się teraz w zagajniku górskich brzoź, przypominających raczej szare, na pół zbutwiałe pieńki niż drzewa. Stały niczym groźne upiory i starały się chwytać idących rozczapierzonymi palcami. Liv czuła się coraz gorzej, opuszczały ją resztki odwagi.

- Jak daleko mamy do hotelu? - zapytała.

- Do jakiego hotelu? - zaśmiał się obcy niemądrze.

Serce Liv zaczęło bić jak młotem.

- Do hotelu Bjørnemyr. Tam przecież miał mnie pan odprowadzić.

- Tak? A kto to powiedział?

Nie! Nie, to nie może być prawda! Liv zawróciła i zaczęła uciekać.

Obcy jednak schwytał ją natychmiast i zacisnął rękę na jej ramieniu niczym żelazne kleszcze.

- No, no, panienko, zaczekaj! Będziesz łaskawa pójść ze mną do wodospadu. Taki nieszczęśliwy wypadek każdemu może się tu przydarzyć...

- Ratunku! - wrzasnęła Liv w panice.

Mężczyzna zasłonił jej usta dłonią.

- Zamknij pysk! Już dosyć mamy z tobą korowodów. Ale dam ci szansę. Powiedz mi tylko, gdzie są te cholerne papiery? Gdzie jest ta dziura w kamieniu?

- Nie wolno mi nikomu tego powiedzieć - wyjąkała Liv. - To niemożliwe... Czy...
Moja mama jest zdrowa?

- Co mnie, do cholery, obchodzi twoja mamuśka? Musiałem cię tylko wyrwać spod opieki tego gagatka. Ale tym razem on ci już nie pomoże, teraz pokażesz mi drogę do kamienia!

- Nie! Nie mogę tego zrobić i nie chcę!

- W takim razie nie będę miał wyboru. Jak nie dowiem się po dobroci, to może zmięknie, kiedy się z tobą trochę pobawimy...

Liv zrobiło się gorąco, a potem zimno z obrzydzenia.

- Nie, nie, nie!

Wyrwała się i udało jej się odbiec kawałek, ale natychmiast ją dogonił i przewrócił na ziemię. Liv drapała, gryzła, kopała, a napastnik klął siarczyście.

Poprzez swoje własne wrzaski i przekleństwa mężczyzny Liv słyszała dudniący łoskot wodospadu. Wiedziała, że nie ma żadnych szans. Jej zwłoki zostaną wrzucone właśnie tam i znikną pod huczącymi masami wody.

Jo Barheim odczuwał niepokój. Wszystko było niby jak należy. Liv co prawda musiała zawrócić, ale miała przecież bezpieczne towarzystwo. Mimo wszystko coś go dręczyło. Wciąż widział jej błagalne, przestraszone spojrzenie, które prosiło o pomoc. Ale on ją odesłał. Postąpił właściwie, jak inaczej mógłby się zachować, a mimo to nie był z siebie zadowolony. W gruncie rzeczy to wspinała dziewczyna. Szczególnie cenił sobie jej wrzuszająco dziecinne reakcje, a zwłaszcza ufność, z jaką odnosiła się do niego. Tak łatwo się z nią rozmawiało. Rozmawiał też z nią więcej niż z jakąkolwiek dziewczyną od wielu lat, co tam, niż z jakąkolwiek dziewczyną kiedykolwiek. Niech to diabli!

Morten wyrwał go z zamyślenia.

- Jak pusto zrobiło się bez Liv - powiedział jakby zaskoczony. - Uważałem, że to szalona głowa i fantastka, ale teraz naprawdę mi jej brakuje!

- Mnie też - przyznał Finn. - Wygląda na to, że dzisiaj w górach większy ruch niż zazwyczaj.

Znaleźli się na samym dole, na pustkowiu zasypnym kamieniami. Zejście nie trwało długo, z daleka widzieli już te zbocza, które, zdaniem Finna, prowadziły wprost do Månedalen. Zawsze szybciej się idzie, kiedy widać cel. Doliną zmierzał ku nim jakiś wysoki mężczyzna i przywoływał ich, machając rękami. Ruszyli mu na spotkanie.

- Zdaje się, że jesteśmy tu bardzo popularni - zauważył Morten niechętnie.

- O co chodzi tym razem? - zastanawiał się Harald.

Obcy biegł przez ostatni odcinek drogi.

- Jo Barheim? - spytał zdyszany.

- Tak, to ja - odparł Jo.

- O, Bogu dzięki - wykrztusił mężczyzna. - Biegłem prawie przez całą drogę z hotelu.

Mam dla pana telegram. Proszę bardzo.

- Jeszcze jeden telegram? - zapytał Finn. - No nieźle. Czy ty też masz chorą matkę, Jo? Nie, przepraszam, to głupie z mojej strony.

Jo otworzył telegram. Poczuł skurcz w sercu, kiedy przeczytał: *Berger znaleziony. Liv mówiła prawdę. Idę do Månedalen. Lensman Lian*. Potworne podejrzenie zrodziło się w jego umyśle.

- Proszę mi powiedzieć - rzekł poblady. - Czy wy w hotelu dostaliście niedawno inny telegram? Do Liv Larsen.

- Inny telegram? Nie, żadnego.

- Ani przekazanej telefonicznie wiadomości?

- O ile wiem, to nie!

- Nic na temat, że mama Liv Larsen zachorowała? Czy pan jest z hotelu Bjørnemyr?

- Oczywiście. Nie, nie dostaliśmy żadnej takiej wiadomości, mogę pana zapewnić.

Jo zacisnął pięści. Poczuł się zdruzgotany i po prostu chory.

- Zdradziłem Liv - szepnął. - A ona mi ufała. Słuchajcie, zaopiekujcie się moim bagażem i czekajcie tutaj. Tam niedaleko jest opuszczony szałas pasterski, przenocujcie w nim. Dziękuję panu za wiadomość - zwrócił się do człowieka z hotelu. - Ja muszę biec za Liv. Żeby tylko nie było za późno!

Zanim pozostali zdążyli się zorientować, o co chodzi, pomknął niczym wiatr w kierunku, gdzie zniknęła Liv ze swoim budzącym grozę przewodnikiem.

Teraz bardzo mu się przydała jego znakomita forma fizyczna. Kalosze były ciężkie i w pewnym stopniu hamowały tempo, ale mimo to nawet długodystansowiec nie biegłby szybciej niż on. Jo pędził przez najwyższe płaskie wzniesienie, a nad nim wznosiły się szczyty gór, widział, że większość szlaków wiedzie wzdłuż rzek lub wodospadów. I rzeczywiście, wkrótce odkrył wąską, lecz głęboko wydeptaną dróżkę, wijącą się przez jałowcowe zarośla.

Jo wbiegł do brzozowego, jakby wymarłego zagajnika, który niedawno tak bardzo przeraził Liv.

Albo ich dogonię, albo nie, myślał, ale wydaje mi się najbardziej prawdopodobne, że poszli właśnie tą drogą. Biedne dziecko, przemknęło mu przez głowę. I to ja sam ją oddałem w ręce jakiegoś drania! A ona od początku mówiła prawdę! Przedemną nigdy nie skłamała, a

ja szydziłem sobie z niej, wyśmiewałem ją. Jak ona się bała! Dzisiejszej nocy płakała rozpaczliwie, bo czuła się strasznie samotna... Ale w ciągu dnia nie płakała ani razu, mimo że wplątała się w taką okropną sprawę...

Wplątała się w taką okropną sprawę, tak jest. Teraz Jo widział wydarzenia w całkiem innym świetle, tak jak musiała na nie patrzeć Liv, chociaż nikt nie chciał jej uwierzyć. A ona prosiła, by ją ze sobą zabrał, bo z nim czuła się bezpieczna... O mój Boże, żebym ją tylko znalazł!

Pnie brzoź migały mu przed oczyma, gałęzie czepiały się jego krótko obciętych włosów i tłukły po twarzy. Huk wodospadu narastał w miarę, jak zbrocze stawało się coraz bardziej strome.

Jeśli jej się coś stało, nigdy sobie tego nie daruję, myślał. Ona mi zaufała, a ja zawiodłem ją na całej linii. Dlaczego nie byłem w stanie jej uwierzyć? Kłamała wobec innych, ale przecież przede mną nigdy. Wymyślała jakieś historie na plaży o gaju ofiarnym i pogańskich krwawych rytuałach, ale przecież zaraz potem sama przyznała, że ma bujną wyobraźnię. Opowiadała mi szczerze i otwarcie o swojej rodzinie, wybrała właśnie mnie, mnie się zwierzyła, a ja... Co ja zrobiłem?

Nagle stanął jak wryty. Poprzez huk wodospadu doszło do niego słabe wołanie. Przyspieszył kroku, zmuszał płuca do niewiarygodnego wysiłku w biegu po stromym zboczu. Dotarł do czegoś w rodzaju spłaszczonego szczytu, tam przystanął i nasłuchiwał.

Wydało mu się, że słyszy jakieś głosy, podniecone i groźne, po czym rozległ się przejmujący wrzask.

Liv, pomyślał. To była Liv. Nikt nie potrafi krzyczeć tak wściekle jak Liv, kiedy zechce, tego jestem pewien.

Niemal się do siebie uśmiechnął, ale pomknął w dół po drugiej stronie wzniesienia. Liv nie należy do osób, które poddają się bez oporu. Jej przeciwnik z pewnością nie miał łatwego zadania.

Potem jednak nastąpiła seria na pół zdławionych okrzyków i wreszcie przeciągły jęk. Przerazenie ponownie ogarnęło Jo, teraz niemal płynął ponad porośniętym mchem skalistym podłożem, coraz bliżej i bliżej wodospadu. Jeszcze tylko kawałek i...

Zobaczył ich!

- Liv! - wrzasnął wstrząśnięty.

Widział szarpiącą się, kopiącą i bijącą rękami dziewczynę, mocującą się ze swoim wrogiem, szamoczącą się z nim na ziemi, coraz bliżej i bliżej wodospadu, i widział ręce tamtego typu zaciskające się na jej gardle.

Kiedy Jo krzyknął, złoczyńca puścił dziewczynę, z całej siły uderzył ją jeszcze w twarz, żeby się zemścić, że mu się nie udało, i w popłochu umknął w las.

Jo wahał się przez moment, zdał sobie jednak sprawę, że jest zbyt zmęczony pościgiem, by teraz jeszcze gonić uciekającego, zajął się więc Liv. Leżała na ziemi i jęcząc ciężko, z trudem łapała powietrze.

Ukląkł przy niej, potwornie zziębnięty, ale też szczęśliwy, że zdążył na czas. Zarzucili sobie nawzajem ramiona na szyję i leżeli tak bardzo długo, nie mogąc się ani ruszyć, ani wypowiedzieć słowa. Dyszeli oboje ciężko, starając się uspokoić udręczone płuca. Liv drżała niczym osikowy liść w jego objęciach, ale on nawet nie był w stanie unieść ręki, żeby ją pogłodzić.

Liv pierwsza wypowiedziała jakieś rozsądne słowo.

- A jednak przyszedłeś, Jo! Ja tak strasznie krzyczałam, wołałam cię i ty przyszedłeś!

Jo nie miał sumienia wyznać, jak było naprawdę, że to telegram, tym razem prawdziwy, skłonił go do powrotu. Pozwolił dziewczynie cieszyć się tym, że sam z własnej woli pobiegł za nią, wiedziony przeczuciem czy telepatyczną zdolnością.

- Czy myślisz, że jeszcze wróci? - zapytała spłoszona.

Potrząsnął głową przecząco.

- Jesteś całkiem mokra od potu - rzekł zaniepokojony i otarł jej czoło. - Nie, nie, leż na ziemi, dopóki nie odpoczniesz. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Zostań przy mnie - szepnęła Liv sennie. - I powiedz, że żyjesz, że oboje żyjemy!

Położyła się znowu, ale głowę oparła na jego kolanach.

- Dziękuję, Jo - szepnęła. - Nigdy nie przestanę ci za to dziękować.

- Nie ma za co dziękować, bo to wszystko moja wina... Ale powiedz mi teraz, co tu zaszło?

Cicho, ale spokojnie opowiedziała mu o strasznej, na szczęście krótkiej, wędrownicy z tym obrzydliwym człowiekiem i o jego pogróżkach, że się z nią zabawi.

Jo oparł się na łokciu.

- Zabawi się z tobą? Liv, co się właściwie stało? - zawołał, zaciskając palce na jej ręce.

- On... on przewrócił mnie na ziemię. I potem... potem...

Jo potrząsnął nią z całych sił.

- Co potem?

Ukryła twarz w dłoniach.

- To było obrzydliwe, Jo. On był ohydny, śmierdział brudem i papierosami...

Jo przez co najmniej pół minuty nie oddychał. Był sztywny ze strachu. I z gniewu.

- Ja zrobiłam coś strasznego - powiedziała Liv zdławionym głosem, wciąż ukrywając twarz w dłoniach. - Coś tchórzliwego. Nie zniósłabym, gdyby on... się do mnie zbliżył... no wiesz... - szlochała Liv. - Więc ja...

Jo zaciskał wargi tak mocno, że zrobiły się białe, a mięśnie twarzy drgały pod skórą.

- Mów dalej!

- Gdyby on chciał mnie zabić, to bym pewnie nic nie powiedziała. Ale to... Nie byłam w stanie, Jo! Ja mu powiedziałam, gdzie jest ten kamień z dziurą i papierami! Potem myślałam sobie, że powinnam była skłamać, powiedzieć, że to gdzie indziej, potrafię przecież zmyślać, ale akurat wtedy miałam kompletną pustkę w głowie. Tak mi okropnie wstyd, Jo.

Patrzył na nią uważnie.

- Chcesz powiedzieć... Chcesz powiedzieć, że on nie zdążył ci nic zrobić?

Liv opuściła rękę.

- Mówiłam ci przecież, że stchórzyłam. Zdradziłam Bergera. Ale nie byłam w stanie znieść myśli, że ten obrzydliwy facet mógłby...

Jo wydał z siebie jęk, coś pomiędzy śmiechem a szlochem, przygarnął Liv do siebie i ścisnął tak mocno, że aż pisnęła. Głaskał ją po włosach i całował w policzki.

- Tak się bałam, Liv - wyznał. - Czy ty naprawdę musisz mnie tak okropnie straszyć? To oczywiste, że nikt nie może mieć do ciebie pretensji, iż wyjaśniłaś, gdzie jest kryjówka. W takich okolicznościach każdy by powiedział. Ale co było potem?

- Nie myśl sobie, że wypaplałam wszystko tak od razu - rzekła zaczepnie. - Najpierw walczyłam jak dzika, ale potem stwierdziłam, że dłużej nie dam rady, że to na nic. Kiedy wyjawiałam tę tajemnicę, on mnie puścił i myślałam, że już jestem uratowana. Ale on mimo to chciał mnie wrzucić do wodospadu, dusił mnie i pchał w tamtą stronę. Wtedy przybiegłeś... Jak to się stało, że nagle zacząłeś wierzyć w to, co mówiłam?

Wtedy Jo powiedział jej o wiadomości od lensmana. Liv położyła się na plecach i wpatrywała się w niebo. Pod głową miała rękę Jo, a obok siebie jego twarz.

- Czy teraz rozumiesz, że wszystkie ostatnie wydarzenia łączą się ze sobą? - zapytała.

- Nie jestem żadnym wyjątkowym pechowcem, jak mi wmawiałeś.

Skinął głową.

- O tym właśnie myślałem, kiedy biegłem ci na ratunek. Teraz nareszcie wiele zrozumiałem. Ci dwaj mężczyźni... Ale o tym porozmawiamy po drodze. Teraz, Liv, czas nagli naprawdę.

- Co masz na myśli?

- Chyba nie masz zamiaru się poddać, Liv? Teraz wszystko zależy od tego, kto pierwszy dojdzie do kryjówki. Ale tym razem oni będą mieli trudniej. Bo teraz mają przeciwko sobie nie tylko samotną dziewczynkę. - Jo miał bardzo groźną minę. - Teraz będą musieli walczyć również z Jo Barheimem!

Kiedy ponownie wyszli na wymarły płaskowyż, słońce opuściło się już bardzo nisko i cienie stawały się coraz dłuższe. Podczas wspinaczki nie zamienili prawie ani słowa, byli zmęczeni i wstrząśnięci, Liv podczas walki z napastnikiem skaleczyła się w kolano i musiała bardzo uważać, by nie pokazać Jo, że ją to boli. W górze jednak łatwiej się było poruszać i wtedy mogli rozmawiać.

Liv gnębiły wyrzuty sumienia.

- Człowiekowi się wydaje, że w sytuacjach krytycznych będzie się zachowywał po bohatersku - rzekła ponuro. - A tymczasem gdy mu coś zagraża, wrzeszczy histerycznie i za wszelką cenę stara się ratować przede wszystkim własną skórę.

- Nie myśl już o tym więcej! - powiedział Jo gorączkowo. - Jeszcze by tylko tego brakowało, żeby ci byle drań robił krzywdę z powodu jakichś idiotycznych papierów. Zachowałeś się, tak jak należało, Liv.

- To nie o papiery chodzi, to moja obietnica złożona umierającemu człowiekowi.

- Rozumiem, co masz na myśli. Właśnie dlatego musimy zrobić, co tylko się da, żeby odzyskać dokumenty, zanim wpadną w łapy tamtych. Liv, ciebie coś boli! Poznaję to po minie. Zaraz dojdziemy do obozowiska, to będziesz mogła odpocząć. A później sprawami zajmie się pewnie też twój ojciec. I przyjedzie lensman. Ale dotrze do nas chyba nie wcześniej niż jutro koło południa, mimo że pojedzie samochodem.

W oddali ukazał się opuszczony szałas i to im dodało sił, chociaż trzeba było iść jeszcze spory kawałek. Liv spojrzała na Jo i doznała ukłucia w sercu na widok jego twarzy, ciemnej twarzy urodziwego fauna o lekko wystających kościach policzkowych, o oczach... Zdarza mi się, niestety, zapominać, jak on wygląda, pomyślała z żalem. A przecież kocham go dlatego, że jest właśnie takim człowiekiem, jakim jest. Ale potem spoglądam na jego twarz i ledwo mam siłę utrzymać się na nogach. I jego wygląd, i osobowość, każde z osobna by wystarczyło, żeby stracić dla niego głowę. A w połączeniu są po prostu zabójcze! Mimo wszystko i tak nie jest on, na szczęście, doskonały. Ma dosyć trudny charakter i chyba jest przewrażliwiony...

Jo zauważył, że Liv przygląda mu się ukradkiem, i uśmiechnął się do niej.

- O czym myślisz?

- O, nic ważnego - odparła zakłopotana. - A o czym ty myślałeś?

- O tym facecie. On musiał nas przez cały czas śledzić. To jego dostrzegłaś w lesie, to on spuścił na ciebie kamienną lawinę, to jego widział Morten i na niego natknęłaś się przy śnieżnej zaspie, chociaż wtedy miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Później musiał go wyrzucić albo gdzieś ukryć.

Liv skinęła głową.

- A ja myślę, że wiem, kto mu pomagał.

- Tak... Co do tego nie może chyba być wątpliwości. Zastanawiałem się nad tym. To, że omal nie spadałaś z ciężarówki, nie było żadnym nieszczęśliwym wypadkiem. To Harald cię popchnął. I ten słoik po dżemie, który znalazłaś w lesie, zanim żmija ukryta w twoim plecaku ukąsiła Finna, czy nie sądzisz, że to Harald miał żmiję w słoiku i wypuścił ją do twojego plecaka? I, oczywiście, żmija była przeznaczona dla ciebie.

- Tak jest! Zwłaszcza że znalazłam w lesie zakrętkę do słoika, podziurawioną gwoździem dla dopływu powietrza. A czy pamiętasz, jak machał rękami na ptaki tuż przed zejściem kamiennej lawiny? To był z pewnością sygnał. A jaki Harald był przez cały czas zainteresowany tą dziurą w kamieniu, wciąż nalegał, że muszę mu pokazać to miejsce!

- Ten nóż w nocy w szałasie, to pewnie też sprawa Harald'a, prawdopodobnie podłożył ci go, kiedy już wszyscy zasnęliśmy. Powinniśmy byli zwrócić większą uwagę na jego karykaturę, którą narysowałaś. Wydobyłaś wszystkie paskudne cechy tego zbira.

- Wiesz, przypomina mi się jeszcze jedna rzecz. Dzisiaj nad rzeką, kiedy łowiliśmy ryby, on starał się mnie przekonać, żebym zaprowadziła go do kamienia jak najszybciej. Ja odmówiłam, a wtedy on poszedł, niby to na spacer, do urwiska, prawdopodobnie po to, by przekazać kamratowi wiadomość, że mu się nie powiodło i że teraz kolej na tamtego.

Szli właśnie po hali koło szałasów. Stajnia się zawaliła, na przegniłych belkach wspierała się tylko połowa dachu, ale dom mieszkalny zachował się niezłe. Morten wyszedł i czekał na nich przy drzwiach.

- A teraz - powiedział Jo cicho - teraz trzeba się zająć Haraldem.

- Bądź ostrożny, Jo! Oni są niebezpieczni. Berger też tak mówił.

Morten uśmiechał się.

- A więc wróciłaś, Liv? Miło cię znowu widzieć, ale powiedzcie mi, co to wszystko znaczy?

Finn również wyszedł na dwór.

- Wygląda na to, że dom bywa wykorzystywany jako miejsce noclegowe przez pasterzy owiec. W środku jest fajnie, chociaż może niezbyt luksusowo.

- Harald jest tutaj? - zapytał Jo krótko.

- Harald? Nie, on sobie poszedł. Nie miał czasu dłużej czekać. A skoro już jesteśmy tak blisko Månedalen, to sam znajdzie drogę.

Jo nie skomentował tej wiadomości.

- Chodźcie, chłopcy - powiedział. - Musimy porozmawiać.

Wnętrze było mroczne, sufit niski. Jo uderzył głową o grubą belkę. Liv dość sceptycznie spoglądała na dwie prycze zasłane bardzo zniszczonymi skórami reniferów. Mały stół i dwa taborety pod oknem stanowiły całe umeblowanie. Niskie drzwi prowadziły do komórki.

Chłopcy zdążyli już przygotować posiłek i teraz zapraszali do stołu. Jo wyjaśnił krótko, co się stało. Patrzyli na niego wstrząśnięci, nie byli w stanie przyjąć do wiadomości, że coś takiego mogło się wydarzyć tuż obok nich.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Finn, kiedy Jo skończył opowiadanie.

- Przede wszystkim powinniśmy się wszyscy przespać, przynajmniej kilka godzin. Liv jest poobijana i zmęczona, boli ją kolano, ale później musimy ruszać dalej, jeszcze w nocy. Do Månedalen, do ojca Liv. Musimy dojść pierwsi!

- Mam pewien pomysł - rzekł Finn z wolna. - Niezbyt daleko stąd znajduje się pasterskie gospodarstwo. O ile dobrze pamiętam, mają tam również konia. Może mogliby go nam pożyczyć, wtedy Liv nie musiałyby iść.

- Świetnie! - wykrzyknął Jo. - Bardzo się niepokoję tym jej kolaniem.

- Koń? - zapytała Liv przerażona. - Ja się śmiertelnie boję koni! One są takie ogromne.

- Tylko nie opowiadaj takich rzeczy jakiemuś domoroślemu psychologowi - roześmiał się Jo. - I nie bój się, wszystko będzie dobrze, tylko najpierw musimy się trochę przespać.

Liv miała spać na jednej prycy, obaj chłopcy na drugiej, Jo chciał zrobić sobie posłanie na podłodze, najpierw jednak musiał przejrzeć jakieś notatki dotyczące pomiarów.

Chłopcy przepychali się przez chwilę, walcząc o miejsce, ale wkrótce umilkli i w pomieszczeniu zaległa cisza. Liv leżała i patrzyła na Jo, który siedział przy oknie w nastrojowym blasku stearynowej świecy i przeglądał swoje papiery. Poczwała dojmującą tęsknotę. Gdyby tak była choć trochę starsza, to może zwróciłby na nią uwagę...

Nagle, jakby czytając w jej myślach, Jo podniósł wzrok.

- Wiecie co, chłopcy? Liv ma dzisiaj urodziny. Myślałem, że zorganizujemy małą uroczystość, ale te okropne wydarzenia nam przeszkodziły. Liv skończyła dzisiaj siedemnaście lat.

Obaj składali jej gratulacje i żartowali.

- Mój Boże, znowu rok starsza - wzdychał Morten współczująco.
- Siedemnaście lat i nikt jej nie całował - wykrzywił się Finn. - A może się mylę?
- To cię nic nie obchodzi - odparła Liv ze złością.

Finn zachichotał.

- Coś ci powiem, Liv. Nie ma dziewczyny, która skończyła szesnaście lat i nie całowała się z chłopakiem. Może zgodzisz się, żebym cię pocałował z powinszowaniem siedemnastych urodzin, co?

- Nie, dziękuję!

- Naprawdę? O ile pamiętam, to Tulla dawała mi do zrozumienia, że masz do mnie słabość.

W tym momencie Liv nienawidziła siostry.

- To nieprawda - bąknęła niepewnie. - I możesz być przekonany, że i tak nie byłbyś pierwszym!

- Aha! - zawołał Finn triumfująco. - Więc jednak się całowałaś! Zaraz sprawdzimy.

Jo spojrzał na niego spod oka.

- Nie robiłbym tego, gdybym był tobą, Finn - rzekł groźnie. - Chyba widzisz, że Liv, jeżeli chodzi o wrażliwość, to ma dziesięć, najwyżej dwanaście lat...

- Ha! Ha! - roześmiał się Finn ironicznie. - Niezwykle dobrze rozwinięta dwunastolatka!

- Tak! I nie wolno tego wykorzystywać. Zwłaszcza że i tak dzisiaj przeżyła szok. Zostaw ją w spokoju!

- No nie, istnieje różnica. Nie jestem przecież jakimś draniem. Pocałunek na dobranoc nie czyni nikomu krzywdy. Jak myślisz, Liv? Ale wydaje mi się, że rozumiem. Ty na pewno chcesz, żeby Jo Barheim był pierwszym.

Finn, dlaczego ty musisz być takim idiotą? myślała Liv urażona. Jo odłożył długopis.

- Myślę, że to była bardzo głupia uwaga, Finn - powiedział surowo. - Liv traktuje mnie prawie jak ojca, ponieważ wygląda na to, że ma kiepski kontakt z rodzonym ojcem. Ona potrzebuje kogoś starszego, na kim mogłaby się w życiu wesprzeć, a ja bardzo Liv cenię, tak jak się ceni ufne i oddane dziecko...

To przemówienie załamało Liv. Bez słowa odwróciła się do ściany. Czy on jest całkiem ślepy? myślała. Co on sobie właściwie wyobraża na temat siedemnastoletnich dziewcząt? Mogę cię zapewnić, że wszystkie moje reakcje uczuciowe są w najlepszym porządku. Moje zmysły funkcjonują znakomicie, a moim największym pragnieniem jest,

żebyś mnie kiedyś pocałował. Naprawdę, nie tylko w policzek. Ale do tego nigdy nie dojdzie. Nigdy!

Nawet Finn słuchał oniemiały przemówienia Jo i w końcu zaczął zasypiać. Liv rzucała się na twardej pryczy.

Wielkie kosmate owady tłukły o szybę zwabione światłem. W coraz bardziej klejących się do snu oczach Liv wyglądały niczym złe duchy próbujące dostać się do niej. Gapiły się na nią wylupiastymi ślepiami i szukały jakiejś szpary, przez którą mogłyby przejść. W tej sytuacji obecność Jo dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Siedział przy oknie spokojny i silny. Ojciec czy nie ojciec, czuła się przy nim bardzo dobrze, pasowali do siebie. To była jej ostatnia myśl, a potem zasnęła z tajemniczym uśmiechem na wargach.

Musiało minąć wiele godzin, zanim Jo zaczął potrząsać Liv za ramię, szepcząc:

- Pora ruszać dalej!

Na dworze wciąż jeszcze było ciemno. Finn i Morten stali już ubrani i gotowi do drogi.

- Czy ty w ogóle nie spałeś, Jo?

- Owszem, kilka godzin. Pośpiesz się!

Liv ogarnęła się szybko i wyszła za chłopcami.

Owionął ją nocny wiatr i dziewczyna zadrzała. Góry po tamtej stronie rozległej doliny, która między innymi obejmowała Månedalen, stały mroczne i milczące, tylko płaty śniegu na zboczach białły w ciemnościach. Gdzieś niedaleko szumiał potok, a nieliczne brzozy na hali chwiały się lekko w powiewach wiatru.

Morten podał jej parę kanapek.

- To wszystko, co możesz teraz dostać - powiedział, a jego głos brzmiał jakoś dziwnie obco w nocnym powietrzu. - Nie mamy czasu.

- Jak tam twoje kolano, Liv? - zapytał Jo.

- Trochę sztywne i obolałe, ale wody w nim chyba nie mam...

- Będziemy cię oszczędzać. Może uda nam się wypożyczyć konia.

Liv głośno przełknęła ślinę. Naprawdę wolała iść piechotą mimo bólu w kolanie.

- Mamy przewagę - rzekła, żeby zmienić temat. - Ci bandyci nie wiedzą przecież dokładnie, gdzie znajduje się kamień z dziurą. Wiecie, że nie jest łatwo opisać drogę w górach komuś, kto nigdy w nich nie był. Orientują się tyle o ile i będą musieli długo szukać, zanim wreszcie trafią we właściwe miejsce.

- Tak jest. I mamy przewagę z jeszcze jednego powodu - uśmiechnął się Jo. - Oni najpierw muszą się odszukać nawzajem. Bo na pewno będą chcieli iść tam razem. I właśnie dlatego uznałem, że powinniśmy wyruszyć jeszcze w nocy, bo pod osłoną ciemności możemy dotrzeć bardzo daleko. W każdym razie do ojca Liv. A potem wy wszyscy troje zostaniecie w Månedalen, a my z twoim tatą, Liv, pójdziemy do kamienia.

W odpowiedzi usłyszał trzy stanowczo protestujące głosy.

- Cicho ma być! - uciął ostro. - Czy zapomnieliście, że jesteśmy tu po to, by pracować? Będziecie się przygotowywać sami do rozpoczęcia pomiarów, a jak tylko wrócę, natychmiast zaczynamy.

Oni jednak myśleli swoje, kiedy naburmuszeni zaczęli schodzić w dół ku Månedalen. Każde przyrzekało sobie w duchu: A ja i tak pójdę! Jo z pewnością przeczuwał, co im się roi, bo nie wracał już więcej do tego tematu.

Wędrówka w ciemnościach była dość straszna, ale pełna niepowtarzalnego nastroju. W zaroślach wokół nich coś szeleściło, a w którymś momencie Liv była przekonana, że słyszy niedźwiedzia, ale chłopcy ją po prostu wyśmiali. Finn próbował ją nastraszyć opowieściami o duchach i dzikich zwierzętach, aż w końcu Jo go skrzyczał. Wszyscy byli zgodni co do tego, że jest im znacznie weselej razem, kiedy nie ma Haralda.

W jakiś czas potem odkryli w trawie ślady szerokiego konnego wozu i Jo wziął Liv za rękę.

- Teraz musimy pomyśleć o tym człowieku z Ulvodden, o którym wspomniał Berger - powiedział półgłosem, by nie zakłócać ciszy. - Wiesz, o tym szanowanym i wysoko postawionym, który miał dokonać przestępstwa przeciwko wielu ludziom. Czy nie przychodzi ci do głowy, kto by to mógł być?

- Nie. My mieszkamy tutaj dopiero od czterech lat, ale, oczywiście, znamy różnych ludzi, wiemy o różnych sprawach, o jakichś rodzinnych kłótniach i zazdrościach, ale od tego do takiego strasznego czynu jak to... nie, to chyba zbyt daleko, tak myślę.

- Ja sędzę - rzeki Jo - że Harald i jego kompan są pomocnikami tego nieznanego gentlemana. Zastanów się, czy znasz kogoś wysoko postawionego, kto mógłby mieć podwójną naturę?

- No nie wiem... - Liv zastanawiała się. - Wszyscy, których znam, są mili, sympatyczni i w ogóle, jednym słowem przyzwoici chrześcijanie.

- O, jeśli chodzi o tych chrześcijan, to traktowałbym ich ostrożnie. Bo jak to mawiał pewien znany szwedzki pastor: Być chrześcijaninem to dla większości ludzi znaczy być dobrym dla własnej teściowej i dla kota.

- No dobrze - roześmiała się Liv. - To powiedzmy, że wszyscy, których znam, są sympatyczni. Ale zastanowię się jeszcze, może mi coś przyjdzie do głowy.

W pobliżu migotała jakaś woda. Na drugim brzegu krzyknął żałośnie ptak. Okolica zdawała się wymarła i ponura, ziąb panował przejmujący, jak to nad ranem. Liv dygotała, a górski wiatr przenikał jej ubranie. Ręka Jo była twarda, ale ciepła, a kiedy się do niej uśmiechnął, w ciemności błysnęły białe zęby.

- Nigdy nie zapomnę tej nocnej wędrówki - oświadczyła Liv. - Tych zarysów drzew i kamieni, zwalistych gór przed nami i tej monotonicznie szumiącej wody ani poczucia wspólnoty z wami trzema. Tak nam ze sobą dobrze, a przecież spotkaliśmy się właściwie przypadkiem. Nie zapomnę też, że kolano boli mnie okropnie.

- Zaraz temu zaradzimy - powiedział Finn i odwrócił się do niej. - Bo już zbliżamy się do gospodarstwa, gdzie mają konia. Jestem pewien, że nam pożyczą.

Jo okazał się prawdziwym dyplomata, kiedy budził gospodarza i zaspanemu tłumaczył, że koniecznie musi pożyczyć sobie jego konia, a chłop mimo wszystko nie poszczuł ich psami. Wprost przeciwnie, kiedy już sobie poszli, chłop miał poczucie, że zrobił bardzo dobry uczynek, którym zasłużył sobie na najwyższe uznanie. Chociaż tak całkiem gratis Jo tego konia nie dostał.

Liv za nic nie chciała dosiąść wierzchowca, broniła się i zapierała, kiedy stanęła obok tej brązowej żywej góry. Ale Jo się nie cackał. Stanowczo wziął ją na ręce i posadził na końskim grzbiecie, ona zaś wczepiła się w grzywę zwierzęcia i ze strachu nie była w stanie się ruszyć. Finn tymczasem żałował, że to nie on ma bolące kolano. Morten z uroczystą miną prowadził konia za uzdę, a Jo szedł obok i uspokajał Liv.

To był bardzo łagodny koń i powoli, powoli Liv przyzwyczajała się do jazdy. Kiedy dotarli do Månedalen, zachowywała się już niemal jak doświadczony kowboj i śmiała się radośnie z wysokości końskiego grzbietu.

- Gdzie leży domek twojego taty? - zapytał Jo.

- Tam na prawo, na tym wysokim zboczu. Od nas licząc, drugi.

Przystanęli wszyscy. Żadne nie powiedziało ani słowa. W bladym rozświcie drzewa i budynki rysowały się już dość wyraźnie na tle nieba. Domek Larsenów trwał pogrążony w nocnej ciszy, a białe okiennice były starannie pozamykane.

ROZDZIAŁ VIII

- Taty nie ma - powiedziała Liv zaskoczona.

- Ciekawe, gdzie się mógł podziać? - zastanawiał się Finn.

- Wygląda na to, że oni za wszelką cenę nie chcą dopuścić do tego, żeby Liv spotkała się ze swoim ojcem - rzekł Morten ponuro.

Liv się przestraszyła.

- Myślisz, że oni...

Jo przerwał jej pospiesznie:

- Niezależnie od tego, gdzie jest, nic mu się z pewnością nie stało. Nie mogli jednocześnie urządzać polowania na ciebie w górach i na twojego tatę w Månedalen.

- No tak, masz rację - westchnęła z ulgą. - Uff, zrobiło mi się zimno, kiedy pomyślałam...

- Sama widzisz, że twoje przywiązanie do rodziny trwa tak samo jak w dzieciństwie.

- Chyba tak. Ale co teraz zrobimy?

- Najpierw pójdziemy do gospodarzy, u których my, geodeci, mamy mieszkać. Nazywają się Skarbu. Wiesz, gdzie to jest?

- Należy do nich tamto duże gospodarstwo, znam ich bardzo dobrze.

Cała rodzina Skarbu została obudzona i przybysze wypytywali ich o inspektora Larsena. Owszem, Larsen był w domu jeszcze do wczoraj, ale dostał wiadomość, że żona mu się rozchorowała, i natychmiast wyjechał.

Czwórka nowo przybyłych zarządziła wojenną naradę.

- Wiemy przynajmniej jedno, że mama Liv chora nie jest, że to wszystko wymyśliły te dranie, żeby usunąć z drogi i ją, i jej tatę. W tej sytuacji jednak to Liv musi nas zaprowadzić do kryjówki. Panie Skarbu, mógłby nam pan pożyczyć konia?

- Trzy konie! - zawołał Finn, ale natychmiast zamilkł, widząc surowe spojrzenie Jo.

Niestety, Skarbu nie miał konia i w ogóle wszystkie konie były zajęte daleko w lasach przy zwózce drewna.

- W takim razie mamy tylko jedno wyjście - powiedział Jo. - Czas bardzo już teraz nagli, a poza tym Liv boli kolano. Do kryjówki możemy iść tylko my dwoje, Liv i ja. Ona jest lekka, więc jeden koń uniesie nas bez kłopotu.

Obaj chłopcy protestowali gwałtownie, ale nie potrafili znaleźć dostatecznego powodu, dla którego ich obecność byłaby również niezbędna.

- Finn, gdybyś ty poszedł z Liv, to czy zdołałbyś ją obronić przed tymi dwoma mordercami? - zapytał Jo.

Finn zmarkotniał.

- Chyba nie, masz rację. Te przeklęte konie, czy nie mogłyby trzymać się bliżej domu?

Jo wydał Mortenowi instrukcje co do pracy, potem dosiadł konia, a chłopcy pomogli Liv usadowić się przed nim.

I przy wciąż jeszcze bladym świetle poranka wyruszyli z Månedalen.

Liv była wdzięczna, że tym razem nie musi siedzieć na koniu okrakiem. Jazda bez siodła na szerokim w zadzie chłopskim koniu jest nie tylko wyczerpująca, daje się ponadto we znaki skórze, zwłaszcza na udach. Dziewczyna była obolała już po poprzedniej jeździe. Jo prowadził konia pewnie, nie forsował go, ale posuwali się dość szybko naprzód. Jedną ręką Jo obejmował mocno talię Liv, a jej sprawiało to wielką przyjemność. Wiatr rozwiewał krótkie czarne włosy dziewczyny, które łaskotały Jo po twarzy. Za każdym razem, kiedy znajdowali się na wzniesieniu, widzieli przed sobą jaśniejący horyzont, a drzewa i krzewy powoli odzyskiwały swój normalny, dzienny wygląd. Poranna mgiełka unosiła się nad rzeką, budziły się ptaki, a szczyty gór nabierały mocno czerwonego odcienia.

- Zapowiada się piękny dzień - stwierdził Jo. - Nie zimno ci?

- Trochę, ale to podskakiwanie na koniu mnie rozgrzewa.

Przygarnął ją mocniej do siebie.

- Mimo makabrycznych okoliczności ta jazda to chyba moje najpiękniejsze przeżycie, wiesz.

- Moje także.

Chociaż dla mnie znaczy ono dużo więcej niż dla ciebie, pomyślała. Ponieważ ja jestem w tobie zakochana, a ty tylko mnie trochę lubisz. Ale to już i tak wiele, że w ogóle coś do mnie czujesz. A głośno powiedziała:

- Cała ta atmosfera poranka w górach jest niczym wyjęta z Sibeliusa „Konna jazda o wschodzie słońca”. - Zanuciła kilka tonów, oddających rytm końskich kroków.

Posuwali się teraz pod górę i Jo zwolnił.

- Czy można będzie podjechać do samej kryjówki?

- Nie, dla konia byłoby to zbyt trudne. Skręć w lewo!

Skręcili w wąską ścieżynkę przez gęsty zagajnik niskich górskich brzoź. Liv zamykała oczy, kiedy najwyższe gałęzie drzew uderzały ją po twarzy, i starała się odsuwać gałązki od twarzy Jo. Wciąż panowało to niezwykle, jasne, ale jakby wciąż szare światło poranka. Słońce nie objęło jeszcze pełnej władzy nad górami i szczyty rzucały na ziemię długie,

mroczne cienie, a dolina, którą zostawili za sobą, spowita była niebieskawą mgiełką. Koń szedł dróżką wydeptaną przez owce i krowy, gniótł niemiłosiernie rosnące po obu bokach karłowate wierzby i brzoźki. Las stawał się teraz taki gęsty, że Liv musiała obiema rękami odgarniać gałęzie, by nie smagały Jo po głowie. Zdawało jej się, że zostali zamknięci w jakimś baśniowym borze, że są całkiem sami na świecie, a w pewnej chwili, kiedy odwróciła się gwałtownie, by uniknąć uderzenia jakiejś wyjątkowo rosochatej gałęzi, musnęła przypadkiem ustami policzek Jo i musiała zmobilizować wszystkie siły, by nie zarzucić mu rąk na szyję i nie zdradzić się ze swoimi uczuciami.

Ścieżka doprowadziła ich do otwartej polanki w lesie.

- Myślę, że tutaj powinniśmy zostawić konia - powiedziała Liv. - Przywiążemy go do drzewa.

Zeskoczyli i poszukali odpowiednio grubego pnia, przy którym mogli zostawić swojego wierzchowca, po czym ruszyli piechotą przez gęsty las. Po jakimś czasie zeszli w dół, nad strumień płynący w niewielkiej dolince. Wędrowali teraz jego brzegiem, a niekiedy całkiem po prostu środkiem strumienia w płytkiej wodzie, kiedy brzeg był zbyt zarośnięty lub niedostępny. Woda opłukiwała ich gumki, rozpryskiwała się na boki, niekiedy napotykali leżące w zacienionych miejscach płaty śniegu. Kamienne ściany wznosiły się nad nimi po obu stronach, chwilami prawie w ogóle nie było widać nieba. W końcu koryto potoku zaczęło się poszerzać i wkrótce zobaczyli ogromny kamienny blok na jego brzegu. Liv przystanąła.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła.

- No tak, ale gdzie jest ta dziura?

- Poszukaj!

Okrażył kolosa, ale niczego nie zauważył. Kiedy wrócił na miejsce, Liv nie było.

- Liv! - zawołał przyciszonym głosem.

- Ahoj! - rozległo się z głębi kamienia.

Pochylił się i uważnie zajrzał pod głaz. Woda spływała na porowatą powierzchnię przez tysiące lat i pod spodem wypłukała głęboką jamę z rozległą półką ponad powierzchnią potoku. Liv siedziała w środku na tej kamiennej półce.

- Świetna kryjówka - zapewniała. - A tutaj znalazłam niewielką przesyłkę... - Podpełzła do wyjścia i podała mu kopertę. Zapieczętowaną, ale bez adresu. Jo włożył ją do portfela.

- Później obejrzymy to dokładniej albo w ogóle oddamy lensmanowi nie oglądając. Teraz powinniśmy stąd wiać.

Wrócili tą samą drogą wzdłuż potoku i znowu znaleźli się w lesie.

Nagle gdzieś niedaleko za sobą usłyszeli jakieś burkliwe głosy. Jo dosłownie wpełznął Liv w zarośla przy drodze i sam ukucnął obok. Położył jej rękę na ustach, ale ją odsunęła. Jakby miała zamiar krzyknąć.

Głosy dochodziły nie z tej strony, z której oni sami przyszli.

- Zabłądzili - szepnęła Liv. - Takich potoków jak ten jest tutaj mnóstwo...

Było oczywiste, że bandyci zgubili drogę. Raz głosy się zbliżyły i wtedy Jo przycisnął Liv do ziemi. Rozpoznali gniewny głos Haralda:

- Ta cholerna dziewczucha cię oszukała, Stein. Kręcimy się tu z godzinę i niczego nie znaleźliśmy. Jestem wykończony!

- Zamknij się! Myślisz może, że mnie to bawi? Nie, teraz poszliśmy za daleko w prawo. Zawracamy!

Głosy oddalały się powoli i wkrótce w lesie znowu zapanowała cisza. Liv spojrzała w twarz Jo, która znajdowała się teraz tak bliźniutko niej.

- Świetnie! A już się bałam, że znajdą konia.

- Ja też. Chwała Bogu odeszli i na chwilę mamy spokój.

Liście ponad ich głowami mieniły się jak ze złota, kiedy padały na nie promienie słońca. Serce Liv biło mocno.

- Jo - szepnęła i nigdy potem nie była w stanie zrozumieć, skąd jej się wzięło tyle odwagi. - Jo, czy to prawda, co Finn mówi? Że wszystkie szesnastoletnie dziewczyny już się całowały z chłopakami?

- Nie, to takie gadanie.

- Ale, Jo, ja bym chciała być taka sama jak inne dziewczyny. Czy nie mógłbyś mi wyświadczyć tej przysługi? Teraz.

Jo zmarszczył brwi. Jego urodziwa twarz niczym magnes przyciągała jej wzrok. Ciemne włosy ostro kontrastowały z kolorem żółtych liści i błękitnego nieba.

- Czemu by to miało służyć, Liv?

Wargi jej drżały.

- Jesteś moim jedynym przyjacielem. Czy jestem taka beznadziejna, że nawet ty nie chcesz mnie pocałować? Nie prosiłam cię, żebyś to robił z uczuciem. Bo dla ciebie to nic nie znaczy, a ja bym tak chciała wiedzieć, jak to jest, kiedy chłopak całuje. Wszystkie dziewczyny wciąż gadają tylko o tym, a ja słucham i uśmiecham się głupkowato, bo nawet pojęcia nie mam, o czym jest mowa! A poza tym chciałabym, żebyś to właśnie ty pocałował mnie pierwszy, nikt inny nie jest mi bliższy od ciebie. Możesz to zrobić dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi, z żadnego innego powodu.

O rany boskie! Co ja wyprawiam, pomyślała przerażona. Żeby tak zebrać. To pewnie dlatego, że on siedzi tak oszalamiająco blisko, to sprawiło, że przychodzą mi do głowy szalone pomysły...

Odwróciła głowę.

- Rozumiem, oczywiście, że to idiotyczne z mojej strony - bąknęła. - Wyglupiłam się jak jeszcze nigdy. Czy mógłbyś być tak dobry i zapomnieć o wszystkim?

Delikatnie ujął jej twarz i odwrócił ku sobie, po czym spojrzał w jej zawstydzone oczy. Przesunął wzrok na jej włosy, a potem na usta i na brodę, która drżała leciutko.

- Dziecinko droga - powiedział czule. - Mała dziewczynko, w której budzą się prawdziwe kobiece tęsknoty.

Oczy Liv stawały się coraz większe w miarę, jak twarz Jo przybliżała się do jej twarzy. Zesztywniała z wrażenia, palce obu rąk wbijała w trawę, na której siedzieli. On to zrobi, myślała w panice. Zrobi to!

Delikatnie musnął palcami jej policzek.

- Nie bój się, Liv - powiedział cicho. - To nie takie straszne. A może już nie chcesz?

Skinęła głową, wciąż wytrzeszczając oczy. Serce tłukło się w piersi, jakby miało pęknąć. Zielonożółte oczy Jo znalazły się tuż przy jej oczach i nagle poczuła dotyk jego warg. Przeniknął ją gwałtowny gorący dreszcz i zarzuciła mu ręce na szyję. Zapomniała, że są jedynie przyjaciółmi, pragnęła, żeby nigdy nie przestał, nieoczekiwanie stwierdziła, że pocałunek zmienił charakter. Z delikatnego, przyjacielskiego dotyku warg przeradzał się w pełne namiętności całowanie. Jo, nie uwalniając jej ust, przechylił głowę w bok, palce wbił mocno w barki Liv.

Nagle puścił ją gwałtownie, niemal odepchnął. Czuła, że drży, oddychał ciężko.

- To był bardzo niemądry eksperyment, Liv - stwierdził krótko. - Nigdy więcej tego nie rób.

- Nie - szepnęła wstrząśnięta i nieszczęśliwa. - Wybacz.

- To moja wina - westchnął. - Po prostu nie przypuszczałem...

Ale czego nie przypuszczał, Liv się nie dowiedziała. Przez chwilę siedzieli obok siebie bez ruchu, on ciągle odwrócony, a ona wpatrzona w niebo.

W końcu Jo wstał.

- Chodź - powiedział, podając jej rękę.

Szła przed nim do miejsca, gdzie zostawili konia. Odwiązali go w milczeniu i usadowili się oboje na jego grzbiecie. Przez co najmniej kilkanaście minut żadne nie wypowiedziało ani słowa. Ale kiedy wyjechali z lasu i zobaczyli przed sobą Månedalen, Liv

odwróciła się. W jej oczach pojawiły się wesołe ogniki i wybuchnęła śmiechem. Wargi Jo drgały podejrzenie.

- Widziałeś kiedyś ludzi tak śmiertelnie poważnych jak my? - spytała.

- Nie, ale musieliśmy wyglądać co najmniej idiotycznie - odparł i roześmiał się także.

Wszystko między nimi wróciło do normy.

- Nie powinnaś tego, co się stało, przyjmować z taką egzaltacją, Liv - rzucił. - Ja jestem mężczyzną, a ty, mimo że wciąż taka dziecinna, masz jednak w sobie sporo kobiecości. To wszystko. I nie ma to większego znaczenia.

- Myślisz, że sprawiam wrażenie egzaltowanej i specjalnie przejętej? - zapytała z uśmiechem, ale czuła ukłucie w sercu. To nie ma znaczenia, powiedział. Nie, dla niego nie ma...

Nagle Jo zatrzymał konia tak gwałtownie, że Liv o mało nie spadła na ziemię. Okrążyli właśnie duży występ skalny. Tuż przed nimi stało dwóch mężczyzn. Jeden trzymał w ręce myśliwską strzelbę.

I celował wprost w nadjeżdżających.

- Sam myślałem, że za łatwo nam to wszystko poszło - mruknął Jo potwornie spokojnym głosem. Liv natomiast była sztywna z przerażenia.

- Powinniśmy byli otworzyć ten list - szepnęła.

- Powinniśmy. Ale nie bój się, Liv. Obiecałem, że cię obronię, i zrobię to!

Jo wprost nie mógł powstrzymać śmiechu, kiedy zobaczył twarz tego, który miał na imię Stein i który napadł w górach na Liv. Jedno oko miał tak zapuchnięte, że nic na nie nie widział, a na twarzy mnóstwo głębokich zadrapań. Liv sprawiła się dzielnie, pomyślał z dumą.

- Oddaj nam papiery, Barheim - powiedział Harald lodowatym głosem.

- Co mam wam oddać? - zdziwił się Jo.

- Nie zgrywaj się! Dawaj papiery, ale już!

- Nic nie wiem o żadnych papierach. Czy nie wolno mi urządzić sobie malej przejażdżki po lesie z moją dziewczyną? Tego mi chyba nie zabronicie!

Liv serce podskoczyło do gardła z radości, kiedy usłyszała, że Jo powiedział „z moją dziewczyną”. Brzmiało to w jej uszach niczym najpiękniejsza muzyka.

Harald podszedł do konia i schwycił but Jo. Liv, nie posiadając się z wściekłości, kopnęła go z całej siły w brodę, aż się zatoczył.

- Nie dotykaj Jo! - wrzasnęła.

- No, no, uspokój się, Liv - szepnął Jo. - Tym sposobem wiele nie uzyskamy.

Stein skierował lufę strzelby w Liv.

- Oddawaj papiery, Barheim, bo jak nie, to dziewczyna zaraz padnie martwa!

ROZDZIAŁ IX

Jo zaciskając mocno zęby wolno wyjmował z kieszeni portfel. Uważnie przeglądał jego zawartość, po czym wyjął kopertę i rzucił ją przed siebie, wołając:

- No to weźcie to sobie, przeklęte dranie!

W tej samej chwili dźgnął konia piętami i pomknęli przed siebie tak szybko, że Liv ledwo zdążyła się go przytrzymać.

- Teraz chodzi tylko o to, by uciec stąd, zanim oni się zorientują, że dostali rachunek za narzędzia geodezyjne - rzeki Jo, nieustannie popędzając konia.

Wściekły wrzask rozległ się za ich plecami, potem nastąpił strzał. Jo przycisnął głowę Liv do swojej piersi.

- Myślę, że znajdujemy się już poza zasięgiem strzału - powiedział spokojnie. - Ale trzeba zachować ostrożność.

- Mam nadzieję, że nie zranią konia - szepnęła Liv. - Taki jest dzielny i tak wiernie nam służy.

Galopować bez siodła i jeszcze na dodatek siedzieć na koniu bokiem to prawdziwa sztuka. Najpotworniejsze przeżycie, jakie Liv mogła sobie wyobrazić. Kiedy nareszcie dopadli do pierwszych zabudowań, a Jo pozwolił koniowi przejść w kłus, kręciło jej się w głowie, była kompletnie oślepiała. Więcej strzałów nie padło, mordercy najwyraźniej uznali, że i tak nie trafią.

Jo odetchnął z ulgą.

- Ty jesteś cała, ja jestem cały, koń jest cały, a w dodatku mamy papiery. Nieźle, powinniśmy być zadowoleni.

- Lensman również - dodała Liv. - Jeśli się nie mylę, to jego samochód stoi koło zabudowań Skarbu. O, i nasz samochód! Tata wrócił! Nic mu się nie stało!

- Wygląda na to, że mamy dzisiaj wyjątkowo szczęśliwy dzień, Liv.

- Bardzo nam to było potrzebne - bąknęła. - Ale zobacz, ilu to ludzi na nas czeka! Finn i Morten, lensman i mój tata, Skarbu, a tam... Moja mama i Tulla, i prawie wszyscy mieszkańcy Månedalen!

- Jednym słowem, triumfalny powrót - roześmiał się Jo skrzepowany.

Duży, sympatyczny koń wolno pokonywał ostatni odcinek drogi do domu. Jo spoważniał.

- Wygląda na to, że nasza przygoda dobiega końca, Liv - powiedział. - Chyba już nigdy nie spotkam takiej dziewczyny jak ty. Teraz muszę się zabrać do pracy, a przy tych wszystkich ludziach z pewnością nie będziemy już mieli okazji zamienić słowa. Ale wiesz, że życzę ci wszystkiego najlepszego. Myślę, niestety, że nie raz będzie ci w życiu dosyć trudno z twoim charakterem, los nie będzie ci szczędził ciosów, bo zawsze tak jest z ludźmi twojego pokroju. Ale też tacy ludzie jak ty otrzymują od życia więcej radości. I wiesz, Liv...

Zawahał się na moment.

- To, co stało się dzisiaj rano... Nie wdawaj się za często w takie przygody! Jest w tobie bardzo niebezpieczna mieszanina dziecka i kobiety. Twój czas jeszcze nie nadszedł, Liv. Poczekać jeszcze parę lat. A potem sama zobaczysz, na pewno spotkasz chłopca, który będzie cię wart...

- Jo, proszę cię... - jęknęła Liv z udawką w głosie.

- Nie chciałbym ci prawić kazań. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że bardzo, ale to naprawdę bardzo będzie mi cię brakowało. Jesteś najwspanialszą kumpelką, jaką można sobie wyobrazić. I przyjaciółką.

Liv nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Ujęła tylko jego ogorzałą dłoń i uściśnęła mocno, aż na skórze wystąpiły mu białe plamy.

- Drogie dziecko - rzekł z czułością. - Moja mała dziewczynka.

Tulla nie wierzyła własnym oczom. Oto jej nudna, męcząca, a przede wszystkim dziecinna młodsza siostra jedzie na ogromnym koniu, a za nią siedzi, obejmując ją ramionami, młody człowiek, urodziwy niczym zjawisko. I to z tym mężczyzną Liv wędrowała przez góry, przeżywała te fantastyczne przygody, o których dopiero co opowiadali Finn i Morten. A na dodatek do tego wszystkiego spędziła ponad połowę nocy sam na sam z tym mężczyzną na pustkowiach. Oczy Tulli zwięzły się, spoglądały przed siebie stanowczo. Przecież ten cały Jo Barheim nie może się interesować Liv. Już sama myśl o tym wydaje się śmieszna!

- Słyszeliśmy strzał - powiedział lensman.

- W pełni kontrolujemy sytuację - roześmiał się Jo i ostrożnie zszedł Liv na ziemię.

Tulla zauważyła, z jaką czułością on się odnosi do jej siostry, ale zauważyła też coś innego. Była na tyle doświadczona, by stwierdzić, że Jo traktuje Liv wyłącznie jak dziecko. Starsza siostra uśmiechnęła się pod nosem. To, że Liv była w nim zakochana, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, ale też nie miało żadnego znaczenia. Jo Barheim może przecież wybierać sam, kogo zechce, Liv nie ma na niego monopolu.

- Hej, Liv! - zawołała, a Liv zaskoczyły ciepłe tony w głosie siostry. - Mogłabyś mi przedstawić swojego przyjaciela? Czy to ten sam, który ma iść z tobą na szkolny bal?

- Miałam nadzieję, ale nic z tego nie będzie.

Liv poczuła dziwny ucisk w żołądku, kiedy przedstawiała Jo Tulli. Jacy oni są piękni, pomyślała. Jak świetnie do siebie pasują. On ciemny jak noc, ona jasna niczym letni dzień. Gdzie miejsce dla mnie w takim towarzystwie. Po prostu nie ma miejsca!

Jo oddał list lensmanowi Lianowi. Tulla obserwowała go z boku. Nareszcie mężczyzna dla mnie, myślała. On musi być na szkolnym balu! Ale pójdzie tam ze mną! Wszystkie dziewczyny padną z zazdrości!

W krótkich słowach Jo opowiedział lensmanowi, co się działo w ciągu ostatnich godzin. Lian natychmiast polecił swoim ludziom schwytać obu morderców, a sam otworzył kopertę i odszedł na bok, żeby w spokoju zapoznać się z jej zawartością.

Liv rozmawiała z mamą o tych dziwnych telegramach, ale mama na szczęście miała się znakomicie, była najzupełniej zdrowa. Telegramy wymyślili mordercy. Chcieli uprowadzić Liv, wyrwać ją spod opieki Jo i zmusić, by pokazała im kryjówkę.

- Liv - szepnęła pani Larsen wzruszona. - Tak się o ciebie baliśmy. Czy naprawdę nic ci się nie stało?

- Nie, naprawdę nic. Jo ochraniał mnie z wielkim oddaniem.

- Przyjechaliśmy, żeby cię stąd jak najprędzej zabrać. Ja odwiozę cię i Tullę do domu, a tata zostanie tutaj i będzie pomagał lensmanowi.

Liv zauważyła, że Tulla prowadzi kokieterijną rozmowę z Jo i chłopcami. Ona wie, jak należy postępować z chłopakami, pomyślała Liv. Wie, jak wzbudzić ich zainteresowanie.

Morten sprawiał wrażenie, że jest Tullą po prostu oczarowany. Gapił się na nią, jakby już nigdy nie miał przestać, ale ona ze swej strony wciąż rzucała spojrzenia na Jo.

- Czy nikt nigdy panu nie mówił, że powinien pan grywać w filmach? - szczebiotała.

Jo miał minę, jakby nadgryzł bardzo kwaśne jabłko, a kiedy napotkał *ironiczne* spojrzenie Liv, poczuł, że ciemnieje mu w oczach.

- W filmach? - powtórzył. - Nie, nigdy o tym nie myślałem.

Morten przestał się nareszcie gapić na Tullę i opuścił towarzystwo.

- Czy to naprawdę twoja siostra? - zwrócił się do Liv jak w transie. - Jaka fantastyczna dziewczyna!

Liv uznała, że nie była to najbardziej taktowna uwaga, ale nie powiedziała nic.

Morten ciągnął dalej swoje:

- Jaką ma piękną jasną cerę! A jaka musi być staranna i uważna, przyjechała tu w białej sukience i nie ma na niej ani jednej plamki!

- Tulla nigdy nie miewa plam - rzekła Liv krótko.

- O, tak, mogę to sobie wyobrazić - westchnął pedantyczny Morten z podziwem. - Wiesz co, Liv, był taki moment, że o mało się nie załamalem, kiedy szliśmy przez góry. Sta- wałem się coraz bardziej prymitywny i było mi wszystko jedno, czy jestem brudny, czy nie... Ale teraz zimno mi się robi na myśl, jak nisko mogłem upaść.

Straszny wpływ mojej siostry, pomyślała Liv ze złością.

- No ale czy nie uważasz, że to miło czasem się odprężyć, przestać się przejmować byle czym?

- Nigdy w życiu nie było mi tak miło - rzekł całkiem bez sensu, jakby myślami był gdzie indziej. - Co? Co ja przed chwilą powiedziałem?

Liv roześmiała się na widok jego zakłopotanej miny.

Jo podszedł i objął jej ramiona.

- Chodź, Liv, musimy porozmawiać z lensmanem.

Uśmiechnięta twarz Tulli ściągnęła się nieco, kiedy do wdzięcznej rozmowy pozostali jej tylko Morten i Finn.

- No i co o niej myślisz, Jo? - zapytała Liv niepewnie.

- O twojej siostrze? Owszem, miła buzia, ale na razie nic więcej nie mógłbym powiedzieć. Twoja rodzina jest dokładnie taka, jak sobie wyobrażałem. Sympatyczni, pospolici ludzie. Spróbuj ich zrozumieć, Liv! Trudno im pojąć ciebie i tę twoją niezwykłą fantazję, ale to właśnie ty masz fantazję, więc możesz postawić się na ich miejscu, możesz sobie wyobrazić, co oni myślą.

Liv skinęła głową.

- Bardzo wiele mnie nauczyłeś, Jo. Dziękuję ci!

- No, panie lensmanie - rzekł Jo. - Czy sądzi pan, że Liv i ja moglibyśmy zobaczyć zawartość koperty? Chyba mamy do tego jakieś prawo?

- Oczywiście... prawo z pewnością. To są kopie projektów technicznych wyrobów, które mają być produkowane w nowej fabryce w Ulvodden. Więcej nie mogę powiedzieć, ponieważ to wszystko tajemnica, wszystkie plany są ściśle tajne, to ma być unikatowa produkcja nawet w skali światowej. Bez obaw mogę wam natomiast powiedzieć, że to warte jest miliony koron i że ktoś, kto chciał te plany sprzedać, zamierzał zgarnąć niezłą sumkę. Nietrudno więc zrozumieć, że w sprawę wmieszanych jest tylu ludzi.

- A jakim sposobem Berger się w to wplątał?

- Był łącznikiem. Przejrzeliśmy zawartość jego komputera. On był zatrudniony w firmie o bardzo rozległych powiązaniach zagranicznych. Oczywiście, jeszcze dzisiaj przeszukamy też jego letni domek, ale nie sądzę, byśmy znaleźli w nim coś, co mogłoby nas naprowadzić na ślad nieznanego z Ulvodden.

- No tak, trzeba znaleźć tego człowieka - wtrąciła Liv. - Ale chyba niezbyt wielu mamy do wyboru? To znaczy, że chyba niewielu ludzi miało dostęp do takich tajnych dokumentów?

- Zbadam to, jak tylko wrócę do osady. Ale teraz trzeba przede wszystkim schwytać tych dwóch, którzy uciekli w góry. Czy moglibyście mi dokładnie opisać ich wygląd?

Jo i Liv bardzo szczegółowo opowiedzieli o wszystkim, co wydawało im się ważne.

- I oni musieli mieć jakąś kryjówkę tu w górach - dodała Liv. - Bo raz mieli strzelbę, innym razem nie. Ten, co na mnie napadł, miał deszczowy płaszcz, a potem go nie miał.

- Jak znaleźliście Bergera? - zapytał Jo.

- Całkiem przypadkowo. Zaplątał się w rybackie sieci. Został wrzucony do wody daleko od brzegu.

Pani Larsen zawołała do swego męża:

- Ernst, Tulla chciałaby zostać w letnim domku przez kilka dni. Pozwolisz jej?

- Mowy nie ma! Tulla musi chodzić do szkoły. A poza tym tu jest teraz zbyt niebezpiecznie.

Tulla zrobiła obrażoną minkę, ale posłusznie wróciła do samochodu. Dzięki ci, tato, pomyślała Liv. Ona sama dałaby wszystko za to, by móc tu jeszcze zostać, ale wiedziała, że i tak rodzice się nie zgodzą, więc nawet nie zamierzała prosić.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Liv rozumiała, że nadszedł koniec jej wspaniałej górskiej przygody w towarzystwie Jo. Żeby odsunąć niebezpieczny moment rozstania, pożegnała się najpierw z chłopcami i z sympatycznym koniem, z którym zdążyła się zaprzyjaźnić. W końcu został już tylko Jo.

Spojrzała w jego fascynującą twarz i poczuła, że ma w sercu głęboką ranę. Najchętniej rzuciłaby mu się w ramiona i tak już została. Ale ze względu na Jo opanowała się.

- Jo - szepnęła. - Nie mogę nic powiedzieć, bo się zaraz rozplaczę. Ale weź tę kartkę i przeczytaj ją, kiedy wyjadę.

W pośpiechu już wcześniej napisała na kartce kilka słów.

Jo, pozwoliłeś mi poznać świat, o którego istnieniu nie miałam pojęcia. Świat przyjaźni i ciepła, poczucia wspólnoty z drugim człowiekiem. Teraz jakaś część mnie umrze,

ale myśl, że ty jesteś i chodzisz po ziemi, będzie mnie przepętniać radością, kiedy zostanę sama. Kiedyś w przyszłości napiszę o tobie książkę.

Wsunęła mu liścik do ręki i pobiegła do samochodu. Jak to dobrze, że mogła mu choćby w ten sposób wyjawić, co czuje. Nie odważyła się napisać, że go kocha, ale miała nadzieję, że sam się domyśli, ile dla niej znaczy i czym jest konieczność rozstania.

Widziała przez okno samochodu, że Jo czyta list marszcząc brwi, i uśmiechnęła się. Wiedziała, że jej pismo niełatwo jest odczytać.

Potem Jo spojrzał w jej stronę z dziwnym wyrazem twarzy i ostatnie, co zobaczyła z samochodu, to jego uniesiona na pożegnanie dłoń. Twarz miał bardzo poważną, jakby go to rozstanie głęboko zasmucało. Ale ponieważ Tulla machała obu rękami jak szalona, Liv nie była pewna, z kim tak naprawdę żegna się Jo.

- Fantastyczny! - powtarzała Tulla, kiedy znalazły się już na drodze. - Myślisz, że on przyjdzie na zabawę do szkoły?

- Nie przyjdzie - odparła Liv.

Czuła się tak, jakby w sercu miała czarną, wymarłą pustkę.

- To chyba ty go wystraszyłaś - powiedziała Tulla. - Ale ja się nie martwię, zaprosiłam Finna i poprosiłam, by przyprowadził ze sobą obu swoich współpracowników. Chociaż on nie jest pewien, czy skończą te pomiary na czas. Powiedziałam też Jo, że mam nadzieję spotkać go na zabawie. Myślę, że to go przekonało.

Liv nie odpowiadała. Chciałaby nie siedzieć w tym samochodzie i nie słuchać paplania Tulli na temat Jo. Wynikało z tego, że kompletnie stracił dla Tulli głowę, chociaż znali się przecież co najwyżej godzinę.

Próbowała wyglądać przez okno, ale górską przyrodę przypominała jej boleśnie o wszystkim, co niedawno przeżyła z Jo...

Tulla rzekła z wyrzutem:

- Dlaczego nie mówiłaś, że to on będzie prowadził ekspedycję do Månedalen? Chętnie bym się z wami wybrała...

- Ja mówiłam, że to on - mruknęła Liv. - Ale mnie nie słuchałaś, a poza tym nie miałam prawa nikogo zabierać.

Tulla skrzywiła się gniewnie, że to nie ona uczestniczyła w tej fantastycznej wycieczce w góry razem z Jo. Że to nie ona nocowała w szałasie z gałęzi, że nie ją uratował... O ileż bardziej interesujące byłoby też dla Jo iść z Tullą, a nie z tą dziecinną Liv. Tulla roztoczyłaby przed nim cały swój czar i wdzięk, pozwoliłaby mu przenosić się przez potoki i strumienie, zaglądałaby uwodzicielsko w oczy, robiła tajemnicze miny.

Krótko mówiąc: robiłaby to wszystko, czego Jo u dziewcząt nie lubił najbardziej. Ale o tym ona nie wiedziała.

Wiedziała tylko, że spotkała mężczyznę, który nie uległ jej od pierwszego wejrzenia, nie reagował na sygnały, które przekazywała mu spojrzeniem, brzmieniem głosu. I to niebawem pobudzało jej zainteresowanie. Po raz pierwszy w życiu napotkała opór. Ale ona ten opór przełamie! To dopiero będzie prawdziwy triumf podbić tego młodego człowieka!

Liv skuliła się w swoim kącie. Chciałaby wyjść na drogę i iść. Po prostu iść, jak długo nogi zechcą ją nieść. Chciałaby płakać z tęsknoty i żalu, ale, niestety, musiała bardzo starannie ukrywać uczucia.

- No rzeczywiście, ten pan Barheim czyni bardzo przyjemne wrażenie - stwierdziła mama. - Jesteś pewna, Liv, że nie sprawiałaś mu kłopotu?

- A czy Liv kiedy nie sprawia kłopotu? - zapytała Tulla.

- Z początku istotnie uważał, że przeszkadzam, ale potem bardzo się zaprzyjaźniliśmy - powiedziała Liv spokojnie. - On jest taki...

Głos jej się załamał i znowu spojrzała w okno.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną - zauważyła mama, przyglądając się jej w lusterku samochodowym. - Myślę, że powinnaś spróbować zasnąć.

Liv przyjęła propozycję z wdzięcznością. Skuliła się na siedzeniu i pozwoliła, by dotkliwy ból utonął w pogrzipającym śnie.

ROZDZIAŁ X

Kiedy samochód odjechał, Jo podszedł do inspektora miejscowej fabryki, Larsena, siedzącego przy drodze na ławeczce, na której gospodarze wystawiali bańki z mlekiem, by mógł je stąd zabrać samochód z mleczarni.

- Ma pan wyjątkową córkę - powiedział krótko.

Larsen spojrzał na niego cokolwiek zaskoczony.

- Tak, to rzeczywiście kochane dziecko - przyznał. - Jesteśmy z niej bardzo dumni, muszę się pochwalić. Zawsze sprawiała nam wiele radości.

Jo zdumiał się jego słowami, jakoś to nie bardzo pasowało do tego, co Liv opowiadała o swojej rodzinie. Czyżby i tym razem wszystko zmyśliła? Po to, żeby się nad nią litował?

- Z tej dziewczyny może naprawdę wyrosnąć wspaniały człowiek - rzekł, jakby chciał sprawdzić. - Tylko że akurat teraz przeżywa trudny okres.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wyznał Larsen lekko zaniepokojony. - Wygląda raczej na bardzo zadowoloną z życia, tak mi się zdaje. Ładna i kochana w domu, zawsze otoczona rojem wielbicieli!

Jo wytrzeszczył oczy.

- Naprawdę? - wykrzyknął.

- Oczywiście! Widzi pan w tym coś dziwnego? Z jej wyglądem i z tymi złotymi włosami...

Twarz Jo znieruchomiła, stała się twarda jak z kamienia.

- Ja mówiłem o Liv.

- Liv? A, no tak, Liv! - bąkał Larsen przepraszająco. - Cóż, ta dziewczyna musiała być dla pana prawdziwą udręką. Jesteśmy panu szczerze wdzięczni, że odnosił się pan do niej z taką wyrozumiałością.

Jo zacisnął wargi tak, że została z nich tylko wąska kreska.

- To nie była wyrozumiałość, inspektorze Larsen. Nigdy jeszcze nie spotkałem młodej dziewczyny, którą mógłbym cenić bardziej niż Liv. A poza tym nikogo, kto byłby bardziej porzucony i błędnie oceniany niż ona. Ona was wszystkich ubóstwia, całą rodzinę. A co wy zrobiliście dla niej? Dajecie jej jedzenie i ubranie, ale to tylko sprawy materialne, natomiast jeśli chodzi o uczucia, to otaczacie ją chłodem, odsunęliście ją od swego idyllicznego tria i nikt nawet uwagi nie zwróci na to, jaka ona jest wrażliwa i co czuje. A czuje się zawiedziona i rozczarowana ludźmi, których kocha najbardziej na świecie. Dlatego, i tylko dlatego, jest taka

niemożliwa, jak to nazywacie. Czy ktoś w rodzinie okazał jej kiedykolwiek, że podoba wam się to, co ona chce wam dawać, że cenicie to, że jest wam to potrzebne? Dziecko musi też mieć prawo dawać, nie tylko brać. Czy wiecie, jakie ona ma talenty plastyczne i w ogóle artystyczne? Czy ktoś dostrzegł jej radość życia? Próbujecie urobić ją według własnego gustu na wzorową panienkę! A przecież Liv nie jest Tullą, Liv ma własną bardzo interesującą osobowość, którą brak miłości najbliższych może zniszczyć!

Jo był po prostu wściekły. Larsen spoglądał na niego chłodno.

- Czy Liv się panu skarżyła?

- Nie. Ona nie ma zwyczaju się skarżyć, ale pewnego ranka zastałem ją szlochającą na brzegu leśnej wody. I wtedy opowiedziała mi o wszystkim. Na rodzinę się zresztą i wtedy nie skarżyła. Ona was kocha.

Larsen zagryzał górną wargę. Sytuacja była w najwyższym stopniu nieprzyjemna. Miał po prostu ochotę odwrócić się i odejść od tego źle wychowanego młodego człowieka, który nie wie, jak daleko można się posunąć, i miesza się do spraw, które nie powinny go obchodzić. Ale inspektor Larsen wiedział, że tak się nie robi. I jak wszyscy pozbawieni wyobraźni ludzie, którym się wydaje, że ponieśli porażkę, najchętniej odpowiedziałby atakiem. Zaciśniętymi pięściami wbiłby temu człowiekowi do głowy, że Larsenowie dają swoim córkom wszystko, co im się należy, a przede wszystkim dobre wychowanie. Ale gdzieś w głębi inspektorskiego serca zrodził się jakiś dziwny niepokój, jakieś niejasne wspomnienia niesprawiedliwości popełnionych w stosunku do Liv, sprawy, o których nie myślał, kiedy się działy, a które teraz starały się wydostać na światło dzienne. Przeszłował z nogi na nogę i chrząkał.

- Nigdy nie myślałem o...

Ale nie mógł dokończyć zdania.

- Pomóżcie jej - prosił Jo. - Ona was potrzebuje. Żeby doświadczyć odrobiny więzi czy wspólnoty z innym człowiekiem, ona gotowa jest rzucić się w ramiona byle komu, najbardziej pozbawionemu sumienia człowiekowi. Jej rozwój emocjonalny jest trochę spóźniony i dziewczyna wymaga wsparcia. Dajcie jej to w rodzinnym domu!

- To były twarde słowa - powiedział Larsen z niepewnym uśmiechem. - Na ogół nie przyjmuję czegoś takiego bez odpowiedzi, ale tym razem poddaję się. Mimo że sądzę, iż my znamy naszą córkę lepiej niż pan, to... Zresztą sam się zastanawiałem, czy słusznie postąpiliśmy zabierając Liv ze szkoły. Tak, rzeczywiście myślałem o tym...

Larsen dobierał słowa i czuł, że mógłby jeszcze jakoś zachować swój prestiż.

- Tak, tak, porozmawiam z dyrektorem szkoły i zapytam, czy nie mogłaby zacząć w niższej klasie.

- Myślę, że to by było bardzo rozsądne - przyznał Jo. - Ona musi mieć do dyspozycji kilka lat na dokończenie nauki i wejście w dorosłe życie. I mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe tego, co powiedziałem. Uważałem, że powinienem to zrobić, bo przecież pewnie się już więcej nie spotkamy, a bardzo mi zależy na tym, żeby Liv było w życiu dobrze.

- Oczywiście, że nie biorę panu tego za złe - rzekł Larsen, ale rzecz jasna czuł w ustach cierpki smak po reprimendzie, jaką usłyszał od Jo. - Skoro jednak pan tak polubił Liv, to chyba spodobała się też panu nasza druga córka, Tulla. Ona to naprawdę jest wyjątkowa! Drugiej takiej córki chyba nie ma...

Jo westchnął, zrezygnowany, i pożegnał się z Larsenem, żeby w końcu wrócić do swoich zajęć.

Reakcja Liv po powrocie do domu była typowa dla niej. Nie zamknęła się w pokoju, żeby pograć się w tęsknocie i użalać nad sobą, ale też nie rzuciła się jak szalona w wir jakichś zajęć, nie zaczęła sprzątać ani biegać na spotkania z przyjaciółkami.

Liv stworzyła sobie fantastyczny świat, którego Jo nie opuścił i opuścić nie zamierzał. Gdziekolwiek poszła, gdziekolwiek się znalazła, cokolwiek robiła, Jo był przy niej i komentował wydarzenia, chwalił ją albo upominał, krytykował, kiedy trzeba. Puszczala dla niego wszystkie swoje najlepsze płyty. Pokazywała mu wszystkie swoje ulubione miejsca, przeglądała z nim książki na swoich półkach albo on leżał w ogrodowym hamaku, a ona siedziała w bujanym fotelu i rozmawiali o swoich myślach i marzeniach.

Była to być może dosyć niebezpieczna gra, lecz dla Liv stanowiła coś najzupełniej naturalnego. Dawniej marzyła o „Kimś”, teraz miała już kogoś konkretnego, z kim mogła w marzeniach rozmawiać.

Wiedziała, że już nigdy więcej nie spotka Jo. Ale najbardziej bolało ją to, że nie wspomniał nawet słowem, by do niego napisała, ani że on napisze. Było oczywiste, że nie pragnął kontynuować znajomości. I ona go w jakiś sposób rozumiała. Jo, rzecz jasna, bez trudu się domyślił, jak bardzo Liv jest w nim zakochana, musiałby być ślepy, żeby tego nie widzieć, więc żeby nie przedłużać jej udręki, złożył w ofierze ich piękną przyjaźń. Jakże słusznie postąpił, ale jak strasznie to boli!

Często myślała o tych złych wydarzeniach, w które się przypadkiem zaplątali, i w swoim fantastycznym świecie dyskutowała o tym z Jo.

Bo chociaż policja nadal poszukiwała morderców w okolicy Månedalen, to wciąż nie było wiadomo, kto za nimi stoi. Liv nieustannie się nad tym zastanawiała. Jakim sposobem Harald dowiedział się, że papiery leżą ukryte właśnie tam, skoro wiedziała o tym właściwie tylko ona? Skąd wiedział, że powinien iść właśnie z ekspedycją geodezyjną do Månedalen, żeby odzyskać te papiery?

Ktoś musiał go poinstruować.

Żeby nie wiem jak długo się nad tym zastanawiała, żeby nie wiem ile dyskutowała o tym z Jo - który leżał w ogrodowym hamaku, jak sobie wyobrażała - nie mogła dojść do innego wniosku niż ten, że informatorem musi być któryś z szacownych gości lensmana: inżynier Garden, adwokat Sundt albo dyrektor szkoły.

To niepojęte. Jak któryś z tych ludzi mógł ukraść tajne plany, a potem wynająć płatnych morderców?

Ale chwileczkę...

Coś się jej przypomniało! Decyzja, że Liv ma iść z geodetami, została podjęta długo po tym, gdy ci trzej panowie opuścili mieszkanie lensmana...

Czyżby sam lensman Lian był tym człowiekiem?

Nie, powiedział wymyślony Jo z hamaka. W takiej sytuacji zachowywałby się inaczej.

W takim razie ktoś musiał mieć kontakt z lensmanem po tym, jak Liv otrzymała już niechętną zgodę Jo na wyprawę z geodetami.

Skoro tak, to łatwo byłoby ustalić, kim był ten ktoś. Gid Lian był tamtego wieczora w domu, mogłaby go zapytać.

No i jeszcze ten jakiś Arvid, o którym mówił konający Berger. Kto to taki? Zastanówmy się... Inżynier Garden ma na imię Wilhelm. Adwokat Sundt - Karl R. Czyżby więc dyrektor? Nie, on ma na imię Nils.

Żadnego Arvida.

„Chodzi o Arvida An...” Tak powiedział Berger przed śmiercią.

„Znany człowiek - przeciwko wielu ludziom”. Co to znaczy? Wygląda na to, że sama kradzież rysunków nie była początkiem ani najważniejszym wydarzeniem. Kryło się za tym coś więcej, co dotyczyło tego tajemniczego Arvida.

Myśli kłębiły się w głowie Liv, a wymyślony Jo niewiele mógł jej pomóc, skoro był całkowicie uzależniony od jej inteligencji i pomysowości.

O, żeby tak mogła porozmawiać z prawdziwym Jo! Ale takie myśli były zakazane. Nie należy się niepotrzebnie dręczyć!

Kiedy nadszedł wieczór i na osadę spadły wrześnie ciemności, tęsknota zdawała się niemal nieznośna. Tym razem nic nie przypominało jej dawniejszych niewinnych zadurzeń, gdy wiedziała, że następnego dnia gdzieś mignie jej twarz wybranka i jej to w zupełności wystarczy. Teraz dręczyła ją bolesna tęsknota, której nie mógł ukoić nikt poza Jo.

Dlaczego musiała unicestwić ich przyjaźń tą swoją miłością? Ale to było przecież nieuniknione. Rzadko kiedy chłopak i dziewczyna mogą pozostać „tylko przyjaciółmi” przez czas dłuższy, bo zawsze któreś z nich i tak zapragnie czegoś więcej. A jeśli na dodatek tym młodym człowiekiem jest Jo, to dziewczyna jest od początku skazana. Zwłaszcza gdy jest to Liv Larsen, spragniona czułości romantyczka.

Tulla krążyła po domu z tajemniczym uśmieszkiem. A co gorsza, w szkole otwarcie opowiadała swoim koleżankom o nowym podboju, fantastycznym, fascynującym młodym człowieku, który być może zdoła się wyrwać na chwilę ze swojej wymagającej pracy naukowej w górach i wpadnie na szkolny bal. I ani słowa na temat, że tak naprawdę to ten fantastyczny młodzian jest przyjacielem Liv, nie, o takich drobiazgach Tulla nie miała zwyczaju wspominać.

Podstępem udało się Liv dowiedzieć, że Tulla napisała list do Finna, i jeśli znała swoją siostrę, to list pełen był słodkich obietnic pod adresem Finna, który być może zdoła sprowadzić ze sobą również Jo.

Liv cierpiała, ale cóż mogła poradzić? Jo jest wolnym człowiekiem i może robić co chce.

W dwa dni później lensman Lian i ojciec Liv, inspektor Larsen, wrócili do domu przygnębieni nieudanym pościgiem za mordercami. Nigdzie nie natrafili na najmniejszy nawet ślad obu poszukiwanych.

Rodzice Liv odbyli jakąś tajemniczą konferencję, a potem Liv została wezwana do jadalni.

- Wejdz, Liv - powiedział pan Larsen łagodnie. - Nie stój tak przy drzwiach. Mama i ja rozmawialiśmy trochę o twoich sprawach, a potem ja zadzwoniłem do dyrektora szkoły. Uważam bowiem, że nie ma sensu, żebyś kręciła się beczynn timer po domu, a pan dyrektor się ze mną zgodził i postanowiliśmy, że powinnaś powtarzać klasę. Co ty na to?

Pocciwy inspektor miał zwyczaj przyjmować cudze pomysły i traktować je jak własne.

Liv rozpromieniła się.

- Bardzo chętnie, dziękuję!

- Ale dyrektor prosi, żebyś najpierw przyszedła do niego. Chciałby z tobą porozmawiać. A poza tym chcielibyśmy ci z mamą sprawić jakąś przyjemność, miałaś przecież urodziny, ale byłaś wtedy w górach, więc planujemy jutro wieczorem urządzić małą uroczystość... Ja w ogóle trochę myślałem o pewnej sprawie, Liv. Myśmy ci chyba nigdy tak do końca nie okazali, jak bardzo cię kochamy i jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni za to, co ty nam dajesz. Chociaż twoje prezenty nie zawsze były dobrze przemyślane. A poza tym wiesz przecież, że gdybyś miała jakieś zmartwienia, to zawsze możesz do nas przyjść. Tak... No, tak sobie rozmyślałem tam w górach, bo sporo się ostatnio wydarzyło... Może byśmy już skończyli z tą rodzinną wojną, co ty na to?

Liv patrzyła na ich pełne życzliwości twarze i czuła, że jest w stanie ich kochać i lubić, chociaż tak bardzo się od nich różni. Nie domyślała się nawet, co sprawiło, że rodzice postanowili wyjąć z ukrycia fajkę pokoju, ale przyjęła ich inicjatywę z radością. Gdyby wiedziała, że to Jo bronił jej tak zaciekle w górach!

Ale nie wiedziała, więc kiwała głową wzruszona, nie była nawet w stanie podejść do nich, żeby ich uściskać. Oni jednak sprawiali wrażenie, że bardzo są z niej zadowoleni. I z siebie też, z siebie może nawet jeszcze bardziej.

- Tato - zapytała Liv niepewnie. - Widziałeś jeszcze potem Jo Barheima?

Twarz Larsena spochmurniała na myśl o tym człowieku, a zwłaszcza o rozmowie z nim, ale odpowiedział ze swobodą:

- Tak, widziałem go parę razy, ale tylko z daleka.

Otóż to. Żadnych pozdrowień od Jo. Liv poprosiła, by mogła wyjść na chwilę z domu, i poszła do domu lensmana.

Tam przedstawiła swoją teorię o „Wielkim Draniu”. O tym człowieku, który stoi za makabrycznymi wydarzeniami.

Lensman Lian przyglądał jej się w zamyśleniu.

- Nie ty jedna wpadłaś na ten pomysł, Liv. To, z kim rozmawiałem tamtego wieczora, kiedy już było wiadomo, że pójdziesz z geodetami, to sprawa prywatna, ale skoro już i tak zostałam tak zaplątana w tę historię... Tylko zachowaj to wyłącznie dla siebie! Zresztą wiem, że tak będzie. No więc dyrektor szkoły był wtedy u mnie jeszcze raz i wiedział, jak się sprawy mają. Adwokat Sundt natomiast telefonował do mnie. Obaj z inżynierem Gardenem siedzieli w domu Sundta i ciekawi byli, czyśmy znaleźli trupa. Ale przecież wszyscy trzej mogli potem rozmawiać z kimś jeszcze. Nic nie wskazuje na to, że akurat któryś z nich jest winien. Nie zapominaj, że to bardzo szacowni ludzie.

- Owszem, ale Berger właśnie powiedział, że to znany człowiek.

- Wiem, i dlatego prześwietlę ich wszystkich bardzo dokładnie.

- Proszę mi powiedzieć, panie lensmanie - rzekła Liv z wolna. - Pan już później po moim wyjeździe nie rozmawia) z żadnym z moich towarzyszy podróży?

- Z chłopcami? Owszem, wielokrotnie. Chociaż oni byli bardzo zajęci pomiarami, nigdy nie widziałem takiego tempa. Ten Barheim traktował ich niemal nieludzko. Straszny typ ten Barheim.

- Tak? A ja myślałam, że jest bardzo sympatyczny.

- Może w drodze. Ale teraz już nie. Pracuje, jakby go złe goniło, a już porozmawiać to się z nim w ogóle nie dało.

Liv wpatrywała się w podłogę.

Dziwnie, bardzo dziwnie to wszystko brzmiało. Co prawda domyślała się, że Jo musi mieć bardzo trudny charakter, ale żeby taki...

- On... niczego dla mnie nie przekazał? - zapytała onieśmielona.

- Nie, a nawet powiedziałbym, wprost przeciwnie, jak Finn i Morten wspomnieli kiedyś, że bardzo im Ciebie brakuje, to Barheim odrzucił instrumenty z wściekłością i poszedł sobie na pustkowie. Bardzo niegrzecznie, muszę powiedzieć! Nie było go przez wiele godzin.

Liv chciała jeszcze wypytywać o Jo, ale nie miała odwagi. Nie pojmowała tego człowieka. Dlaczego on się nagle tak odmienił?

Niedaleko Ulvodden w ustronnym miejscu doszło do spotkania trzech ludzi.

- Idioci! Kompletni idioci! Jak myślicie, za co ja wam właściwie płacę? Teraz zawaliliście całą sprawę i macie czelność przychodzić do mnie po pomoc? Prosić, żebym was ukrył? Kręcicie się tu po Ulvodden, żeby ściągnąć na mnie nieszczęście?

- Policja depta nam po piętach - mruknął Harald groźnie. - I to nie nasza wina, że ona miała przez cały czas przy sobie tego typu, Barheima! Robiliśmy, co było można, a nawet więcej, a ty siedziałeś tu sobie i nawet palcem nie kiwnąłeś!

- Nie jestem z wami po imieniu!

- Nic mnie to nie obchodzi... Ty nas w to wciągnąłeś, to teraz musisz nam pomóc. Uratowałeś nas od odsiadki za ten napad w zeszłym roku, ale nie myśl, że damy ci spokój jakby co! Nie pomożesz nam teraz, to my się zabierzemy za ciebie. Tak jak to my robimy, a wtedy zobaczysz! A skoro i tak nie będzie żadnych pieniędzy za rysunki...

- Będą pieniądze - przerwał im tamten nerwowo. - Najpierw sam muszę dostać pieniądze, ale będę je miał, niezależnie od tego skąd. Podwyższę wasze udziały... będziecie się mogli podzielić połową całej sumy!

Harald zmrużył oczy.

- Całą sumę to my podzielimy na trzy. A nie, to...

- Ale przecież wy mi wcale nie pomogliście!

- To wina Barheima, nie nasza. No, to jak będzie?

Mężczyzna zastanawiał się gorączkowo.

- No dobrze, powiedzmy, po równo. Myślę, że znam takie miejsce...

Na jego twarzy pojawił się jakiś lisi wyraz, mężczyzna uśmiechał się pod nosem.

- Tutaj w Ulvodden znajduje się nie zamieszany dom, do którego mam klucze. Ta stara, wielka ruina. Ukryjcie się tam na parę dni, a ja postaram się pozłatwić sprawy. Tak, żebyście mogli stąd wyjechać.

Na zawsze, dodał w duchu.

Dni mijały, długie i samotne. W wieczór poprzedzający bal, w tym samym czasie, gdy Harald i Stein mieli potajemną rozmowę ze swoim mocodawcą, pogrążona w myślach Liv powędrowała na plażę. Tego dnia była też u dyrektora szkoły. Oczywiście, bała się trochę, kiedy dzwoniła do drzwi. Mimo wszystko on był jednym z podejrzanych, a poza tym, czy też przede wszystkim, był Dyrektorem! Ale wszystko poszło dobrze. Nareszcie Liv odkryła w nim jakieś ludzkie cechy, w końcu poczuła się na tyle swobodnie, że odważyła się zapytać, czy pan dyrektor tamtego wieczora opowiedział komuś o jej rozmowie z Bergerem i o tym, że Liv ma iść z geodetami do Månedalen?

Dyrektor przyglądał jej się ze zdumieniem.

- Rozumiem cię - powiedział w końcu. - Nie. Z nikim nie rozmawiałem. Jak wiesz, jestem starym kawalerem i całkiem po prostu nie mam komu opowiadać o takich sprawach... A więc to dlatego lensman Lian przyszedł do mnie wczoraj wieczorem i zadawał mi mnóstwo dziwnych pytań... Jestem podejrzany! No, nie jest to specjalnie przyjemna myśl.

Liv zrozumiała, że palnęła głupstwo. Jak widać to nie takie proste bawić się w prywatnego detektywa. Zaczęła bąkać jakieś przeprosiny i postarała się jak najszybciej opuścić gabinet dyrektora.

Po tym doświadczeniu nie miała już odwagi przypuścić ataku na inżyniera czy tym bardziej adwokata. To zbyt niebezpieczne, a poza tym lensman już najwyraźniej robił, co do niego należy. Wiedziała, że pracownicy fabryki byli przesłuchiвани, zwłaszcza ci, którzy mieli dostęp do planów, ona sama zresztą też miała wizytę ubranego po cywilnemu policjanta, który wypytywał ją o różne sprawy związane z przeprawą przez góry. Także i on

przywiązywał wielką wagę do tego, iż trzech goście lensmana wiedzieli, dokąd Liv poszła. Oni albo ktoś z ich znajomych.

Liv dyskretnie podpytywała swego ojca, czy dyrektor lub adwokat mają coś wspólnego z fabryką. Bo że inżynier Garden miał, to oczywiste. Był po prostu jej szefem. Tak jest, po dłuższym namyśle inspektor Larsen przypomniał sobie, że obaj panowie zasiadają w zarządzie fabryki, a Sundt jest ponadto jej radcą prawnym. Praktycznie biorąc był on adwokatem wszystkich mieszkańców i przedsiębiorstw w Ulvodden.

Spacerująca po plaży Liv dokonała odkrycia. Inżynier Garden był tym, który z pewnością bardzo by potrzebował dodatkowego zarobku i on też mógł najłatwiej skopiować tajne dokumenty. Jego małżonka to kobieta przyzwyczajona do luksusu, więc z pewnością wydawała niemało pieniędzy. Adwokat Sundt natomiast był człowiekiem bardzo bogatym, miał najpiękniejszą willę w Ulvodden i samochody, i posiadłość na wsi i chyba naprawdę nie potrzebował niczego więcej. Co się zaś tyczy dyrektora, to Liv w ogóle nie była w stanie doszukać się motywu. Był to człowiek ascetyczny, żyjący bardzo oszczędnie.

Nagle usłyszała za sobą kroki biegnących stóp i ktoś klepnął ją w plecy.

- Hej, Liv!

- Finn i Morten! - zawołała uradowana. - A gdzie Jo?

- No ładnie! - roześmiał się Finn. - Czy to pierwsza sprawa, o której myślisz na nasz widok?

- Nie - odparła rumieniąc się. - Ale jakoś mi się łączycie...

Morten zaspokoił jej ciekawość.

- Jo został w Månedalen, żeby dokończyć pracę. Dla nas już nie było zajęcia, więc przybiegliśmy czym prędzej, żeby zdążyć na zabawę. Twoja siostra nas zaprosiła i, zdaje się, bardzo na nas liczy. Prosiła też Jo, ale odmówił.

Liv była zarazem ucieszona i zrozpaczona. Ucieszona, że Jo nie przybiegł w podskokach na zawołanie Tulli, i zrozpaczona, że ona też go na zabawie nie zobaczy.

- On się ostatnio zrobił okropny - powiedział Morten, kiedy zeszli nad samą wodę i usiedli na ławce dla zakochanych. - Pojęcia nie mam, co go ugryzło. Zrobił się z niego prawdziwy nadzorca niewolników!

- O! - zdziwiła się Liv. - A dlaczego?

- Bez przerwy wściekły - odrzekł Finn. - Ani nie jadł, ani nie spał. Jestem pewien, że co noc wychodził i włóczył się po lesie. A żebyś zobaczyła, jak wygląda! Nie poznałabyś go, Liv! Wygląda, jakby nienawidził całego świata.

Liv chciała go jakoś wytłumaczyć.

- No, spoczywa na nim wielka odpowiedzialność...

- Coś ty, to nie to! Robota szła wspaniale - oświadczył Morten. - Przy pracy to nas nawet chwalił. Nie, to coś innego... Według mnie to on z jakiegoś powodu nienawidzi sam siebie.

- Tak, to się zgadza - potwierdził Finn. - I najdziwniejsze, że nie znośli, żebyśmy wspominali ciebie, Liv. Czy ty go czymś specjalnie rozzłościłaś?

- Nie - bąknęła Liv nieszczęśliwa. - W każdym razie nic o tym nie wiem.

Może to ten liścik, który do niego napisała? W którym mu dziękowała, że był taki miły. Ale to przecież nic takiego, na co można by się złościć. Nie rozumiała nic a nic i nagle odniosła wrażenie, że na dworze zrobiło się zimno i ciemno. Ten Jo, którego pamiętała, ten Jo, którego wyobrażała sobie u swego boku, zaczynał blednąć i rozpląwać się w powietrzu. Jo nie był już jej przyjacielem.

- Jak ty jesteś dziwnie uczesana, Liv! - zawołał Finn. - Coś zrobiłaś z włosami?

- Tak - odparła niepewnie.

- Bardzo ci ładnie. Przyjdiesz jutro na zabawę?

- Jeszcze nie wiem. Właściwie to nie bardzo mam ochotę.

- Przyjdź - prosił Finn. - Już my się postaramy, żebyś się dobrze bawiła.

Uśmiechnęła się blado.

- Przyjdę. Skoro wy też przyjdziecie, to będzie nam razem wesoło.

- A Morten będzie miał większą szansę, by porozmawiać z Tullą.

- Zamknij się - mruknął Morten ze złością.

Finn chichotał.

- On nie robił nic innego, tylko jak w transie opowiadał o tym niezwykłym, czystym aniele bez jednej plamki, zwłaszcza kiedy się taplaliśmy w mokradłach.

Morten rzucił się na przyjaciela i okładał go pięściami. Kiedy Finn już dostatecznie spokorniał, Morten puścił go i powiedział:

- Co to za okropne wronie gniazdo stoi tam na wzgórzu! Że też ktoś może wpaść na pomysł wybudowania sobie takiego domu!

- Pojutrze to wronie gniazdo wyleci w powietrze - wyjaśniła Liv.

- Wyleci w powietrze? - zdumiał się Finn. - Morten, musimy to zobaczyć. A może teraz byśmy tam poszli obejrzyć to sobie dokładnie, póki jeszcze stoi?

- Nie - powiedziała Liv. - Nie wolno. Ładunki wybuchowe już zostały założone, budynek jest zamknięty i zaplombowany. Nikt nie może już dostać się do środka.

- No tak, to chyba najbezpieczniejsze - uśmiechnął się Finn. - Bo pomyśleć, co by to było, gdyby jakiś włóczęga miał zamiar wejść tam na nocleg. Można by naprawdę mówić o locie do nieba!

Sala gimnastyczna była przystrojona balonikami i mnóstwem serpentyn. Bar z napojami chłodzącymi ułożono w narożniku naprzeciwko wejścia, a na podium siedziała najlepsza i zresztą jedyna orkiestra taneczna w Ulvodden i płała się w rozkosznej świadomości swojego niebywałego znaczenia. Pod jedną z krótszych ścian zajęli miejsca nauczyciele i nauczycielki, wszyscy nastroszeni niczym kury na grzędzie, albowiem to była bardzo kulturalna zabawa, a uczniowie, rodzice i inni goście stali w grupkach wokół parkietu. Członkowie komitetu organizacyjnego chodzili tam i z powrotem z ogromnie zafrasowanymi minami, nie bardzo wiedząc, co właściwie powinni robić, a wciąż jeszcze nie byli pewni, czy zabawa się uda.

Nastrój panował uroczysty, pełen skrępowania, jak na kinderbalu, zanim politura dobrego wychowania opadnie z dzieciaków.

- O rany! - jęknął Finn, kiedy zobaczył Liv. - Coś mi się zdaje, że to będzie twój wielki dzień. Wyglądasz fantastycznie!

Tulla przeszła tanecznym krokiem przez salę w sukience z błękitnej organdy, zwiewnej i delikatnej niczym pianka. Płyś z bitą śmietaną, pomyślała Liv złośliwie, ale powodowała ją paskudna zawiść, bowiem Tulla wyglądała naprawdę prześlicznie, to Liv musiała przyznać.

- No, jestem wystarczająco ładna jak dla was? - zapytała Tulla i okręciła się przed chłopcami, żeby ją sobie mogli dobrze obejrzeć.

- Myślę, że świetnie znasz odpowiedź - roześmiał się Finn. - Ale ty to przecież zawsze ładnie wyglądasz, moim zdaniem prawdziwą sensacją dzisiejszego wieczoru będzie Liv. Nie wiedziałem, Tulla, że masz taką klawą siostrę!

Tulla spojrzała kątem oka na Liv, a kwaśna mina, jaką mimo woli zrobiła, świadczyła najlepiej, że jak dla niej to siostra wygląda zbyt dobrze.

Liv tymczasem zostawiła na chwilę chłopców z Tullą i poszła się przywitać ze swoją dawną klasą. Z przypadkowych uwag, szeptów i westchnień dowiedziała się, że wszystkie jej koleżanki czekają przede wszystkim na „brata Very”. Vera chodziła do tej samej klasy co Tulla i miała niebywale tu popularnego, żeby nie powiedzieć osławionego, brata, który studiował w Oslo. Typ playboya, o ile Liv pamiętała.

Stwierdziła, że na sali jest już dyrektor, rozmawia z adwokatem Sundtem, a przed chwilą przyszedł też inżynier Garden ze swoją śliczną żoną, postanowiła jednak, że dzisiejszego wieczora nie będzie myśleć o tamtych ponurych sprawach, o żadnych mordercach, i zamierzała tego przyrzeczenia dotrzymać, chociaż czuła na sobie spojrzenia tamtych ludzi kłujące niczym szpilki.

W ostatnich dniach podejmowała rzetelne wysiłki, by wymazać z pamięci Jo, ale bardzo szybko stwierdziła, że nie jest to, niestety, możliwe. Tak więc jego cień towarzyszył jej również w tej sali. Zresztą taki cień daje poczucie bezpieczeństwa, dzięki niemu paplanie dawnych przyjaciółek jakby jej nie dotyczyło, stała poza ich kręgiem, tak jak to zawsze czyniła, choć przecież bardzo lubiła te dziewczyny.

Vera i jej brat zrobili właśnie niezwykle efektowne entré. On zatrzymał się przy drzwiach w pozie triumfatora, machał na powitanie znajomym i przyjaciółom z wystudowaną spontanicznością i szerokim uśmiechem jak z reklamy. Był jasnowłosy i piękny niczym grecki bóg. I nieprawdopodobnie nudny, zdaniem Liv. Po sali jednak przeszło pełne zachwytu westchnienie, a dziewczęta na przemian zagryzały wargi, przewracały oczami i robiły uwodzicielskie miny. Tu się dopiero wydarzy!

W końcu orkiestra zagrała pierwszy kawałek i parkiet zaczął się powoli zapełniać.

Było tak jak Jo przewidział, Liv tańczyła niemal bez przerwy, ale przyjemność nie była nadzwyczajna. Bardzo szybko odkryła, że chłopcy w tym wieku nie potrafią rozmawiać i albo wygłaszają banalne uwagi, albo zaczynają się przechwalać. A w ogóle to najchętniej przyciskaliby dziewczynę do siebie, i to mocno. Liv była przekonana, że jej sukienka na plecach pełna jest tłustych plam od ich spoconych rąk. Wcale jej też nie zachwycało, gdy tancerze starali się przytulać do jej policzka swoje pozbawione jeszcze zarostu, pryszczate twarze. W tej sytuacji najlepiej bawiła się z Finnem, który też zapraszał ją do tańca bardzo często. Traktował ją jako koleżankę ze świetnej wyprawy w góry i śmiali się oboje ze swoich przygód, gadali bez wytchnienia.

Tulla bez przerwy znajdowała się na parkiecie, szczebiotała kokieteryjnie i wirowała wdzięcznie, sporo tańczyła z bratem Very i była po prostu w swoim żywiole. Brat Very również. Widać było, że rozkoszuje się swoją popularnością. Od czasu do czasu kierował swoją łaskawość w kierunku jakiegoś siedzącego pod ścianą biedactwa, które też natychmiast w blasku jego wspaniałości zaczynało się czuć jak królowa balu. W przerwach między tańcami roiło się wokół niego od dziewcząt, które przechadzały się, mówiły bardzo głośno, wybuchały perlistym śmiechem i rzucały mu uwodzicielskie spojrzenia.

Orkiestra ogłosiła dłuższą przerwę, podczas której Liv rozmawiała ze swoimi przyjaciółkami. Teraz szum na sali był znacznie większy niż jeszcze godzinę temu. Brat Very stał pośród większej gromadki dziewcząt i zdawał im sprawozdanie ze swoich sukcesów sportowych. Raz spojrzął z zainteresowaniem w kierunku Liv, jakby miał zamiar poprosić ją do tańca, ale ona popatrzyła na niego tak odpychająco, że natychmiast się wycofał i skierował ku którejś ze swoich wielbicielki.

Liv pochłonięta rozmową nie zauważyła, że wśród zebranych niedaleko drzwi nagle zaległa kompletna cisza.

Dopiero kiedy jedna z dziewcząt jęknęła: „O rany, zaraz umrę!”, a wszystkie inne gapiły się w stronę wejścia, nie słuchając, co Liv mówi, uświadomiła sobie, że tam dzieje się coś wyjątkowego. Jedna z jej koleżanek dostała płomiennych rumieńców, a druga powtarzała: „Co za facet, jaka uroda!” Liv zobaczyła, że powoli wszystkie spojrzenia kierują się w tamtą stronę.

Głos playboya unosił się ponad zgromadzonymi nieoczekiwanie donośny: „... pogałem jak szalony za tym, który biegł pierwszy, i wygrałem wyścig”, ale nikt go już nie słuchał. Wszystkie wielbicieleki odwróciły się od niego plecami.

W drzwiach stał Jo Barheim.

Liv poczuła, że robi jej się gorąco. Jo! Jo przyszedł! I był znowu rzeczywisty, nie miał wiele wspólnego z produktem jej wyobraźni. Schwyciła się mocno drabinek na ścianie za plecami, bowiem nogi się pod nią ugiwały. Ponieważ stała w najciemniejszej części sali, Jo wciąż jej nie dostrzegał.

Trochę to niezwykle widzieć go wystrojonego w ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Natychmiast jednak zobaczyła, że Jo naprawdę był jak odmieniony. Zielone oczy nigdy tak bardzo nie kontrastowały z ciemną skórą, zapadły się też głębiej, prawdopodobnie na skutek braku snu, a wokół ust czaił się osobliwy wyraz napięcia, który sprawiał, że cała twarz zdawała się jak wycięta w drewnie. Widziała, że Finn i Morten machają do niego na powitanie i przeciskają się przez tłum. On także ruszył w ich stronę. I nagle okazało się, że Finn ma mnóstwo znajomych dziewcząt. Bardzo dobrych znajomych, które dopiero teraz, ale za to pilnie musiały się z nim przywitać.

Tulla wyłoniła się nie wiadomo skąd u boku Liv.

- No i widzisz, Liv, to, co powiedziałam tam w górach, jednak poskutkowało. A poza tym napisałam parę zdań do Finna, że musi przyprowadzić ze sobą Jo. Najwyraźniej pomogło. To nie tak całkiem beznadziejnie mieć starszą siostrę, co? Przynajmniej nie zawsze. Muszę teraz iść i się z nim przywitać, skoro przebył tę strasznie długą drogę z mojego powodu.

Liv niepewnie podążała za nią.

Tulla powiedziała swoim najbardziej kokieterijnym głosem:

- Cześć, Jo! Jak to miło, że mimo wszystko udało ci się przyjechać! Jak to dobrze, że jeszcze nikomu nie obiecałam następnego tańca, bo pamiętasz, że obiecałam ci pierwszy?

- Naprawdę? - zapytał Jo, nie patrząc na nią. - Czy Liv jest na zabawie?

I wtedy ją zobaczył. Zostawił Tullę bez słowa i poszedł na spotkanie Liv.

Czy ja mogę się równać z Tullą, myślała Liv zgnębiona. Moja sukienka nie jest jak marzenie, po prostu dosyć śmiałe zestawienie kolorów, i złocistych włosów też nie mam.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu stwierdziła, że Jo rumieni się pod brunatną opalenizną. Ale jego głos był ostry i nieprzyjemny:

- Czy to naprawdę ty, Liv?

Spoglądał to w górę, to na dół, od krótko ostrzyżonych włosów po barwną sukienkę.

- Wyglądasz jak prawdziwa dama - stwierdził krótko. - I to jaka dama! Gdzie się podziało to brudne i uparte dziecko, które tak niedawno temu spotkałem na plaży? Nawet nie wiedziałem, że jesteś taka ładna, Liv! Nie aż taka ładna!

- Nie przesadzaj! - powiedziała z dziecinnym wyudęciem warg. - Jo, ja myślałam, że już cię nigdy więcej nie zobaczę. Dziękuję ci, że przyszedłeś.

Jo chciał coś powiedzieć, ale Finn przerwał mu jakimś pytaniem dotyczącym pracy, a potem jeszcze przyłączył się Morten. Szum w sali zaczął znowu narastać, Liv jednak wiedziała, że większość dziewcząt nie może przestać gapić się na Jo. Rozumiała je bardzo dobrze. Ona też nie mogła przestać.

- Liv, posłuchaj mnie - Tulla mówiła nerwowo. - Chyba nie będziesz wściekła, jeśli Jo będzie ze mną trochę częściej tańczył? Wiesz, ty dopiero co skończyłaś siedemnaście lat, a on przecież nie może bez końca tylko się tobą opiekować. Nie myśl, że chciałabym ci go odbić czy coś takiego, ale on przecież musi mieć prawo myśleć też trochę o własnych przyjemnościach.

Tulla nie wiedziała, że Jo stoi tuż za nią i słucha z dziwnym wyrazem twarzy. Liv odpowiedziała:

- Oczywiście, że Jo ma pełne prawo tańczyć z kim zechce. Więc jeśli cię poprosi, to wszystko w porządku, mną się nie przejmuj.

- Dziękuję, to bardzo rozsądne z twojej strony. Wiesz, on przecież nie chce cię zranić...

Czy to może być prawda? myślała Liv z goryczą. Jo nic nie mówi, więc pewnie już ją prosił, cóż... Poczwała, że ma łzy w oczach, i musiała się odwrócić.

Ale akurat teraz nastąpiła dłuższa przerwa w tańcach. Na podium pojawił się jakiś człowiek i zapowiedział występy artystyczne. Wszyscy przesuwali się bliżej sceny. Liv natomiast cofnęła się pod ścianę z drabinkami, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo cierpi. Nagle ku swemu ogromnemu zaskoczeniu i radości zarazem stwierdziła, że Jo podszedł i stanął obok niej. Tulla rozglądała się za nim, ale nigdzie nie widziała ani jego, ani siostry.

Liv oparła się o ścianę, w plecy uwierały ją szczeble drewnianej drabinki.

- No i jak się czujesz, Liv? - zapytał Jo ze wzrokiem skierowanym ku scenie.

- Dużo bardziej samotnie niż na górskich pustkowiach. Ale mam przyjaciela.

Spojrzał na nią pytająco i Liv opowiedziała mu o postaci stworzonej w wyobraźni, która towarzyszy jej wszędzie.

- A ty, Jo, jak się czujesz? - zakończyła.

Jo odwrócił twarz.

- Wolałbym o tym nie mówić.

Liv wahała się przez chwilę.

- Wiesz, muszę cię zapytać o coś ważnego, ale chciałabym otrzymać absolutnie szczerą odpowiedź.

- A jaki jest pożytek z nieszczerych odpowiedzi? Pytaj, chociaż nie jestem pewien, czy będę mógł ci odpowiedzieć.

Liv wciągnęła powietrze.

- Czy to prawda, że przyszedłeś tutaj, bo Tulla cię o to prosiła?

- Nie, na miłość boską! Ja zapomniałem o Tulli natychmiast, kiedy zniknęła mi z oczu. I to jest absolutnie szczerą odpowiedź. Ona zachowuje się wobec ciebie po prostu bezwstydnie!

Liv nic już nie powiedziała, stali oboje w milczeniu i słuchali, jak jakaś dziewczyna piskliwym głosikiem próbuje rozpocząć śpiewaczą karierę. Oczywiście, cudownie było mieć Jo obok siebie, zwłaszcza wiedząc, że to nie dla Tulli tutaj przyszedł, ale zrobił się jakiś taki dziwny, jakby obcy, w jego oczach było coś wrogiego, jakby nienawidził Liv. Pamiętała czułość w jego głosie, kiedy ją żegnał w Månedalen, i nie pojmowała, co się mogło stać. Co się stało od jej wyjazdu z Månedalen i dlaczego on teraz się tu pojawił?

- Czy zastanawiałaś się jeszcze nad tym morderstwem? - zapytał szeptem.

- Tak, i jest wiele rzeczy, o które chciałabym zapytać ciebie. Jeśli byś miał trochę czasu - dodała niepewnie.

Skinął głową i wtedy Liv poczuła, że wyciąga do niej rękę, wolno przesuwa dłoń po drewnianej drabince. Nie była w stanie oddychać. Jeśli on teraz jej dotknie, to już to nie

będzie tak, jak dorosły człowiek głaszcze sympatyczne dziecko, bowiem teraz światło na sali zostało przygaszone do minimum, a śpiewaczka na podium stwarzała bardzo romantyczny nastrój. Liv spojrzała ukradkiem na Jo. Twarz miał nieruchomą, jakby zamkniętą, ale kiedy jego ręka dotknęła pleców Liv, drgnął i spojrzał na nią. Ona uśmiechnęła się leciutko, a wtedy Jo objął ją ramieniem i delikatnie przygarnął do siebie.

Żeby tylko któryś nauczyciel tego nie zobaczył, przestraszyła się Liv. Teraz przecież znowu jestem uczennicą i to wcale nie w ostatniej klasie, niestety.

Wszystko w niej drżało, nie mogła tego opanować, ale jednego była pewna: Jo przyszedł tu dla niej. Ale dlaczego? Wciąż nie byłaby w stanie odpowiedzieć. Czy po to, by przywrócić do życia dawną przyjaźń, czy też z innego powodu, o którym ona nie miała nawet odwagi pomyśleć? Och, nie, niestety. Jo, ten fantastyczny młody człowiek, który mógł mieć każdą najładniejszą dziewczynę, miałby wybrać właśnie ją? Śmieszne...

Ludzie są dziwni; jeśli zdarzy im się w okresie dojrzewania, kiedy psychika jest najbardziej wrażliwa, usłyszeć, że coś w ich wyglądzie jest nie całkiem doskonale - powiedzmy, że ktoś rzuci mimochodem krytyczną uwagę na temat kształtu ich nóg - nigdy tego nie zapomną. Niechby mówiono im potem tysiące komplementów, to i tak będą wciąż rozmyślać o swoim nie takim nosie i swoich krzywych nogach. A Liv przecież przez całe życie wysłuchiwała, jak bardzo jest beznadziejna od czubka głowy po koniuszki palców, włączając w to wyobraźnię, sposób myślenia i talenty, a raczej ich brak. Nie potrafiła uwierzyć, że mogłaby się komuś wydać atrakcyjna. Sama myśl, że Jo mógłby żywić dla niej jakiegokolwiek zainteresowanie, wydawała jej się absurdalna, śmieszna, po prostu szalona.

W zabawie zgodnie z programem nastąpiła przerwa.

- Co teraz będzie? - zapytał Jo.

- Wybory królowej balu - odparła Liv. - Oczekuje się, że w tym roku zostanie wybrana Tulla.

- Oczekuje się? Kto oczekuje? Ona sama?

- Fe! Nie wypada, Jo! - roześmiała się Liv.

Ale rzeczywiście, królową została Tulla Larsen, stała teraz na podium „zaskoczona” i „zakłopotana”, ale uszczęśliwiona.

- Kochani, dziękuję wam! Nigdy nawet nie marzyłam, że mogłabym zostać wybrana!

- Nie, oczywiście, że nie - mruknęła Liv. - Ona już od dawna usiłuje nakłonić mamę, żeby wysłała jej zdjęcie na konkurs Miss Norwegia.

Tulla dostała ogromny bukiet kwiatów i kłaniała się wdzięcznie, ślicznie onieśmielona. W końcu mistrz ceremonii oświadczył, że Tulla może sobie wybrać tancerza i towarzysza na dzisiejszy wieczór. Taka była tradycja, królowa ma takie prawo. Tulla rozpromieniona spoglądała na salę.

- Drodzy chłopcy, tak wielu z was chciałabym wybrać na mojego towarzysza w ten wspaniały wieczór, ale myślę, że jest ktoś, kto zasługuje na to bardziej niż inni...

Brat Very wyprostował się, pokazując w szerokim uśmiechu swoje zęby jak z reklamy.

- To mój absolutnie wyjątkowy przyjaciel, który przebył daleką drogę z Månedalen, żeby tu z nami dzisiaj być, Jo Barheim!

- No coś takiego! - warknął Jo przez zaciśnięte zęby. - Tym razem to już chyba przesadziła.

- Jo... - szepnęła Liv, widząc jego wykrzywioną gniewem twarz, ale było za późno. Jo energicznym krokiem przemierzył parkiet i wszedł na podium. Powitała go burza oklasków, a Tulla z wielką łaskawością wyciągnęła do niego lewą rękę. Triumfowała! Liv została pokonana w obecności niemal wszystkich mieszkańców Ulvodden!

Jo zdołał zmusić się do bladego uśmiechu i wziął mikrofon. To jednak nie należało do roli. Wybraniec królowej powinien być głęboko onieśmielony, wdzięczny za łaskę i pokorny.

- To bardzo piękny gest ze strony Tulli Larsen - powiedział Jo, a jego oczy miotały skry. - To piękny i pełen szczodrości gest wybrać na tancerza i towarzysza wieczoru przyjaciela swojej siostry. To, oczywiście, sprawa gustu, którą z sióstr ktoś woli. Ja chciałbym jednak zaszczyt i honor eskortowania królowej do domu pozostawić komuś innemu. Tak rzadko mam okazję być razem z Liv, że wołałbym nie tracić czasu.

Po tym przemówieniu zeskoczył z podium, przecisnął się przez oniemiały tłum do Liv i ujął ją pod rękę.

- Chodź! Potrzebuję świeżego powietrza!

Wychodząc Liv zauważyła jeszcze, jak Tulla z krzywym uśmiechem zaprasza na podium rezerwę, brata Very.

- Dokąd pójdziemy? - zapytał Jo, kiedy stanęli w pustym korytarzu. - Musimy znaleźć jakieś spokojne miejsce, chciałbym z tobą porozmawiać.

- Do mojego domu iść nie możemy, bo tam i tak nie mielibyśmy spokoju - powiedziała Liv. - A do twojego pensjonatu nie wypada?

- Nie, myślę, że tam nie. A na dworze jest za zimno.

- Poczekaj chwilkę... Już wiem, galeryjka nad salą gimnastyczną. Co prawda uczniom nie wolno tam przebywać, ale ja będę uczennicą dopiero od poniedziałku, więc mam to w nosie.

Bezszelestnie weszli po schodach na wąską galerię. Szum sali balowej buchnął im w twarze, gdy otworzyli drzwi i wemknęli się do środka.

- Uważaj, żeby nas nikt nie zauważył - szepnęła Liv.

Galeria, która początkowo przeznaczona była dla publiczności oglądającej zawody sportowe, teraz służyła jako skład uszkodzonego sprzętu i starych mebli. Jo usiadł na stosie treningowych mat i oparł plecy o drewnianego konia. Liv z wahaniem przycupnęła obok. Nie była pewna, czy Jo życzy sobie, by siedziała tak blisko niego.

On miał wciąż na twarzy wyraz gniewnego napięcia, okolice warg i nosa były niemal białe.

- Zachowałem się okropnie, prawda?

- A czy ja będę okropna, kiedy powiem, że ona sobie na to zasłużyła? - uśmiechnęła się Liv zawstydzona.

Milczeli. Jo marszcząc brwi wpatrywał się w podłogę.

- Chciałeś ze mną porozmawiać - zaczęła w końcu Liv.

Jo jakby się ocknął.

- No właśnie, jak się posuwa śledztwo w sprawie zamordowania Bergera?

- Powoli, tak mi się zdaje. Byłam przesłuchiwana przez takiego faceta ze służby kryminalnej, przychodzili też do mnie jacyś dziennikarze, ale odesłałam ich do Tulli. Zwłaszcza że ona nie miała nic przeciwko temu. Ja zresztą też nie uważam, że prasa nie powinna zajmować się sensacjami, ale kiedy w grę wchodzi morderstwo, śmierć człowieka, to, moim zdaniem, babranie się w tym wcale nie jest zabawne.

Jo kiwał głową.

Liv opowiedziała mu o swoich spostrzeżeniach na temat trzech gości lensmana, Jo otrzymał szczegółowe opisy wszystkich trzech i oboje z Liv spoglądali dyskretnie na salę tańeczną, by się dokładniej przyjrzeć ludziom, o których opowiadała.

- Ten dość ponury typ z bardzo ładną żoną to inżynier Garden. On ma tylko dwie córki i o ile wiem, nikogo w rodzinie, kto by mógł mieć na imię Arvid.

- Tak, ten tajemniczy Arvid wszystko komplikuje - rzekł Jo. - Ciekawe, czy on w ogóle istnieje? Ale poza tym myślę, że ten twój inżynier to wcale przyjemnie nie wygląda. Zimny, nieczuły typ, urodzony zarządca, tak mi się wydaje.

- Podobno jest bardzo zakochany w swojej żonie.

- O, tak, to możliwe. Właśnie takie lodowato zimne typy zdolne są co prawda tylko do jednej, ale za to desperackiej namiętności, jeśli mogą się posłużyć takim określeniem. I prawdopodobnie jest strasznie zazdrosny, prawo własności, rozumiesz... Ale on mi nie wygląda na jakiegoś *crime passionnel*, więc możemy z pobłażaniem odnieść się do drobnych uczuciowych słabostek pana inżyniera. No a adwokat Sundt, kto to taki?

- Stoi z boku, o, widzisz, właśnie stara się ukradkiem poklepać po pupie tamtą dziewczynę. Co za obleśny typ! On to prawdziwa ważna figura, wiesz, taki człowiek, co to ma mnóstwo wpływowych przyjaciół, z którymi wieczorami dyskutuje o interesach i polityce. Mój ojciec dumny jest niczym paw za każdym razem, gdy go pan adwokat zaprasza na te seanse. Żonaty, ale bezdzietny i tutaj też żadnego Arvida w zasięgu wzroku. Jak wygląda nasz dyrektor, to wiesz, naprawdę trudno mi wyobrazić go sobie jako pozbawionego sumienia mordercę. Spójrz, Jo! On patrzy w górę!

Pospiesznie wrócili na maty. Liv siedziała przez chwilę w milczeniu, obserwując profil Jo. Tak bardzo chciała mu coś powiedzieć, ale nie wiedziała, jak on zareaguje. Nie bądź tchórzem, Liv, próbowała dodawać sobie otuchy. Czy zawsze musisz oczekiwać najgorszego? W końcu zebrała się na odwagę i wykrztusiła głosem drżącym z obawy o to, jaka będzie odpowiedź:

- Jo, ja tak strasznie za tobą tęskniłam.

- I ja także, Liv.

Wypowiedział te słowa jakoś bezbarwnie i nawet nie odwrócił głowy w jej stronę, nie ulegało jednak wątpliwości, że się na nią nie gniewa, więc Liv mówiła już nieco śmieiej:

- Ty... sprawiłeś mi prawdziwy ból tam w górach, Jo, że nie dałeś mi swojego adresu, żebym mogła do ciebie napisać.

- Wiem - powiedział krótko. - Byłem głupi, ale myślałem, że tak trzeba.

- Cóż, rozumiem. A poza tym wiedziałeś, że ja nigdy niczego od ciebie nie zażądam. Jo ukrył twarz w dłoniach.

- Ja wiem, że ty nigdy niczego ode mnie nie zażądasz. Och, Liv - szepnął udręczony.

- Jo, co się stało? Jesteś jakiś inny. Czy zrobiłam coś złego?

Potrząsnął głową, ale nie odsłonił twarzy.

Liv długo siedziała w milczeniu. Serce ścisnęło jej się z bólu. Jo był tak blisko niej, a zarazem tak daleko.

- Jak mogłabym ci pomóc, Jo? - szepnęła w końcu i odgarnęła mu włosy z czoła. - Jesteś chory?

- Tak. Jestem chory - odparł gwałtownie i spojrzał w górę. Oczy lśniły zielonkawo w odmienionej twarzy. - Włóczyłem się po górach, żeby uciec od samego siebie, albo pracowałem jak opętany. Schudłem, bo kompletnie nie mogę jeść, a teraz, wczoraj i dzisiaj, gnałem jak szalony do Ulvodden, bo nie byłem już w stanie dłużej walczyć. Ale jak myślisz, jak może się czuć dorosły mężczyzna, który zakochał się w uczennicy i nie może jej nawet pocałować, żeby sobie nie ściągnąć na głowę komitetu praw dziecka? Czy wiesz, że kiedy tutaj przyszedłem, to ręce tak mi drżały, że nie byłem w stanie przy drzwiach podać biletu? Tęskniłem, żeby cię zobaczyć, żeby usłyszeć twój głos, nie widziałem cię przecież ponad tydzień. Dopiero kiedy wyjechałaś, zrozumiałem, co się ze mną stało. Nienawidziłem samego siebie, próbowałem o tobie zapomnieć, ale tęskniłem aż do bólu.

Liv zaciskała mocno ręce, żeby powstrzymać drzenie. W jej mózgu zapanował kompletny chaos, radość przemieszana ze zdumieniem, że on przeżywa to aż tak mocno.

- Jo, czy to prawda? - szepnęła zdławionym głosem. - Czy to taka straszna katastrofa być zakochanym we mnie? Ja nie jestem taka dziecinna, jak myślisz. Musiałeś przecież wiedzieć, że ja też jestem zakochana w tobie.

Skinął głową i uśmiechnął się krzywo.

- Twoje oczy nie były w stanie tego ukryć, ale dopiero nasz fatalny pocałunek pozwolił mi pojąć, jakie silne uczucia ty z tym łączysz. Ale ja także, Liv. Nigdy w życiu nie reagowałem tak silnie na żaden pocałunek. I co my teraz zrobimy, moje dziecko?

- Rozumiem - westchnęła cicho. - Ty nie chcesz na mnie czekać.

Jo niecierpliwie machnął ręką.

- Będę na ciebie czekał, jak długo będzie trzeba. Ale czy nie rozumiesz, że nie mogę ciebie wiązać? Wiem, że istnieją siedemnastolatki bardziej doświadczone niż niejedna dorosła kobieta, ale ty do nich nie należysz. W twoim wieku naturalne są krótkotrwałe zakochania i masz do tego prawo. Za kilka miesięcy zapomnisz o mnie dla jakiegoś innego chłopca...

- Naprawdę tak myślisz? Czy to nie ty zwróciłeś uwagę na to, jak bardzo wydorostałam od naszego pierwszego spotkania? A poza tym czy naprawdę musimy się martwić na zapas? Dlaczego najpierw nie spróbować? Czy ty poważnie sądzisz, że ktoś mógłby zająć twoje miejsce w moim sercu?

Patrzył jej długo i uważnie w oczy.

- Nie, nie, wcale tak nie sędzę - powiedział z wolna i położył jej ręce na ramionach. - To nieprawdopodobne, jak my oboje do siebie pasujemy. Sama widzisz, jak dobrze na siebie wpływamy, jacy jesteśmy spokojni razem. Dużo myślałem w ciągu tych samotnych dni... O tamtej nocy w szałasie, kiedy czułem przez śpiwór twoje drobne, ciepłe ciało...

- To przecież ty mnie ogrzewałeś!

Jo uśmiechnął się.

- I o tamtym popołudniu nad rzeką, kiedy przygotowywałem wędkę. Jak naturalnie i szczerze nam się rozmawiało, nie było między nami żadnego napięcia. A jak się strasznie bałem, kiedy Stein cię uprowadził, a ja biegłem, żeby go złapać, i jaka mnie ogarnęła bezgraniczna ulga, kiedy cię odnalazłem całą i zdrową. Myślę, Liv, że tym razem zakochałem się na poważnie.

Skinęła głową, a potem zamknęła oczy i starała się chłonąć jego bliskość, dotykała koniuszkami palców jego twarzy, przesuwając je na kark, czuła na skórze jego wargi. On całował ją delikatnie w skroń, w policzek, za uchem i po szyi. Liv jęknęła cichutko i wtedy on poszukał jej ust, a rękami mocno obejmował jej plecy.

Jo Barheim... człowiek, żywa istota, należał do niej, w tej chwili należał do niej bez reszty.

Ostrożnie wypuścił ją z objęć, oparł głowę o bok konia i zamknął oczy. I wtedy Liv zobaczyła, że jego napięta twarz się odpręży, rysy wygładzają się i wypełnia je spokój.

- Taki jestem zmęczony, Liv - szepnął.

Objęła jego głowę i przytuliła, żeby mu było wygodnie. Delikatnie głaskała ciemne włosy i szczupłą twarz. Nim minęły dwie minuty, Jo spał.

Z pewnością nie tego można oczekiwać od romantycznego i troskliwego kawalera, w tym wypadku jednak Liv uznała jego zachowanie za komplement. Przy niej czuł się bezpieczny i spokojny, jego wzburzone zmysły nareszcie mogły odpocząć.

Pozwoliła mu spać ponad pół godziny i ta chwila na zagraconej galeryjce stała się punktem zwrotnym w jej życiu. Kiedy tak siedziała z tym silnym, pełnym życia mężczyzną w ramionach, po raz pierwszy czuła, że jest komuś potrzebna. Samotne dzieciństwo dobiegło końca. Liv odnalazła poczucie własnej wartości.

Karty trzasnęły o blat stołu.

- All right, ty wygrywasz. Nie, nie mam już siły więcej grać. Ta ruina działa mi na nerwy. Wiekamy stąd!

- Spokojnie, Harald! Szef powiedział, że nas przesmugluje w bezpieczne miejsce z daleka od Ulvodden jutro wieczorem. Sami nie mamy najmniejszych szans.

- Doszliśmy aż tutaj, to dalej też pójdziemy. Jestem głodny! Obiecał, że dziś wieczorem przyniesie coś do żarcia.

- Dzisiaj w szkole jest jakiś bal czy coś w tym rodzaju. Siedzi tam pewnie, popija sobie i ma nas gdzieś.

- Myślisz, że zorganizuje pieniądze?

- Powinien to zrobić, jeśli mu życie miłe, bo jak nie, to poczęstuję go kulką.

- Jest jeszcze jeden, którego ja bym chętnie poczęstował kulką. To ten przekłety Barheim! Żeby nie on, to już byśmy pieniążki mieli.

- Nie wymieniaj przy mnie tego nazwiska! Robię się chory na sam jego dźwięk. Żeby tak chociaż można było zapalić światło w tej cholerniej ruderze... Nie cierpię tej budy! Tylko duchów tu brakuje. Widziałeś te jego przebiegłe ślepkę, kiedy nas tu prowadził?

- Przesada! Coś sobie wbijasz do łba.

- Mógłbym przysiąc! Coś mi się tu nie zgadza. Nie wolno nam wyjść nawet z tego pomieszczenia, a poza tym widziałem dobrze, że drzwi są opieczętowane. Co to ma za sens?

- Moim zdaniem to nic dziwnego. Idź i połóż się, bo rzeczywiście zaraz zobaczysz jakiegoś ducha. Jutro ruszamy w drogę, możesz się więc pocieszyć, że to twoja ostatnia noc w tej ruderze.

Liv delikatnie potrząsnęła ramię Jo.

- Jo, musisz się obudzić. Wciąż jacyś ludzie kręcą się po korytarzu, a poza tym zdrętwiała mi noga i mam skurcz w ręce.

Przeciągnął się i uśmiechnął do niej.

- Dobrze się przy tobie śpi. Dziękuję i przepraszam, że zachowałem się tak mało elegancko.

- Potrzebowałeś odpoczynku. Co teraz będziemy robić? Zejdziemy z powrotem na salę?

- Musimy? Mnie niespecjalnie bawią takie zgromadzenia.

- Ani mnie. W takim razie wychodzimy. Musisz się wyspać.

Jo i Liv poszli wolno w stronę domu. Noc była ciemna, już prawie jesienna, powietrze chłodne i Liv marzła w cienkim płaszczku. Jo mówił do niej półgłosem:

- Czeka nas bardzo piękny rok, Liv. Będę tutaj przyjeżdżał tak często jak to możliwe, mam przecież samochód. I liczę na to, że na ferie świąteczne przyjedziesz do nas, żebyś mogła poznać moich rodziców.

- Och, dziękuję, bardzo chętnie! - zawołała Liv, zarumieniona z radości, bo wiedziała, że Jo mówi to wszystko poważnie.

- Będę bardzo w stosunku do ciebie ostrożny, Liv - powiedział i poczochnął jej włosy.

- Dziękuję, Jo. Ale chyba nie powinieneś przesadzać! A po feriach już tylko kilka miesięcy i skończę osiemnaście lat, a wtedy...

- Tak, tak, a wtedy... - śmiał się Jo. - Wtedy może się stać naprawdę wszystko! Ale, Liv, powiedz mi, co to za dziwaczna budowla mający na tle ciemnego nieba?

- To dom poprzedniego właściciela fabryki. On niedawno zmarł i właśnie jutro dom zostanie wysadzony w powietrze, a na jego miejsce wybuduje się jakieś hale fabryczne czy coś w tym rodzaju.

- O, wspaniale! Musimy to zobaczyć, Liv. Przyjdę i cię zabiorę. A kto teraz jest właścicielem fabryki?

- On miał jakichś krewnych w Danii. To ci krewni wszystko po nim odziedziczyli. Przyjadą tu na początku przyszłego tygodnia.

- To musi być nadzwyczajny dar losu, taka fabryka, która spada ci z nieba. Sam nie miałbym nic przeciwko takiemu spadkowi.

Nagle przystanął.

- Co się stało, Jo?

- Liv - powiedział Jo nieoczekiwanie stanowczo. - Co ci powiedział Berger? O tym Arvidzie. Powtórz litera po literze!

- Poczekaj no - zaczęła zaskoczona. - Niech sobie przypomnę. Miał trudności z mówieniem. To ostatnie, co powiedział, zanim skonał... „To chodzi o...” przerwa „Arvid...” przerwa „An...” To wszystko. Wkrótce zamknął oczy. Och, nie chcę już do tego wracać.

Jo pogłaskał ją po policzku.

- Wybacz mi, że dręcę cię tym bardziej niż to konieczne, ale muszę. A zatem on nie wymawiał całych słów? Mówił sylabami?

- Tak, i ledwo go słyszałam.

Jo spoglądał na nią.

- A nie mogłoby to brzmieć inaczej? Na przykład tak: „To chodzi o spadek w Danii”?

Liv zastanawiała się długo. Raz po raz powtarzała słowa Bergera, tak jak on je wypowiedział.

- Tak - przyznała w końcu. - Tak mogło być. Ale co by to mogło znaczyć?

- Nie mam pojęcia. Kto kieruje pracami związanymi z wysadzeniem budynku?

- Nie wiem. A zresztą, wiem! To przecież inżynier Garden, on z uporem dąży do rozbudowania fabryki. Ojciec mówił to wielokrotnie.

Jo zastanawiał się tak intensywnie, że Liv niemal słyszała jego myśli.

- Wydaje ci się, że trafiłeś na jakiś ślad?

- Może. Bo dlaczego on tak się spieszy z usunięciem tego domu, że nie zaczeka nawet na nowych właścicieli? Moim zdaniem powinien się wstrzymać do ich przyjazdu. Wiesz, miałbym ochotę obejrzeć ten dom nieco dokładniej.

- No to będziesz musiał się spieszyć, bo jego ostatnia godzina, jeśli tak można powiedzieć, wybiła. Pójdziemy tam?

- Ty nie. Za bardzo zmarzłaś. Czuję, jak się trzęsiesz. Nie, to bez sensu, dajmy temu spokój. Zadzwoń do lensmana jutro wcześniej rano i dowiem się, co i jak.

- Dobrze, ale gdybyś się wybierał na zwiedzanie domu, to ja chcę być z tobą.

Jo uśmiechnął się.

- Jeszcze ci nie przeszło pragnienie przygód? Myślałam, że przynajmniej na razie powinnaś mieć dosyć. Ale zobaczymy. Sądzę, że posunęliśmy się znacznie w dociekaniach na temat, kim jest Arvid*.

- Kim nie jest, chciałeś powiedzieć. Och, Jo, jaka ciemna dziś noc! Na niebie nie widać ani jednej gwiazdki. Ogrody już prawie puste, liście opadają, wkrótce zostaną tylko nagie gałęzie i badyle. Nikt się nie troszczy o wrywanie chwastów. Jesień nadchodzi, Jo... Wieczór, jesień i starość. Odkąd pamiętam, tych trzech spraw zawsze się bałam, bo one nieubłaganie wiodą ku końcowi, po nich przychodzi noc, zima i śmierć. Czarny wrzesień. Czarny, przerażający wrzesień, ponury i smutny, pełen złych przeczuć...

- Ależ, Liv! - Przestraszony Jo potrząsał ją za ramię. - Czy tak chcesz świętować nasz pierwszy wspólny wieczór?

- Przepraszam - szepnęła Liv i starała się opanować. - Wiesz, że nigdy nie byłam bardziej szczęśliwa niż dzisiejszego wieczoru. Tylko teraz przez moment odniosłam wrażenie, jakby mnie owionął powiew lodowatego wiatru, który przeniknął mnie do szpiku kości. Jo, bądź ostrożny. Nie wiem, może to ta wielka radość, że mogę być z tobą, sprawiła, że przestraszyłam się, iż mogłabym cię utracić...

- Ty mały głuptasie - uśmiechnął się Jo. - Mnie się tak łatwo nie pozbędziesz, tego możesz być pewna.

Pożegnanie na werandzie Larsenów zajęło trochę czasu. Tyle było przecież czułych słów, które musiały paść, tyle wypowiedzianych szeptem pytań i wątpliwości i tyle uspokajających odpowiedzi. Chyba nigdy żadna dziewczyna nie usłyszała ich tak wiele.

W końcu jednak zdołała nakłonić Jo, by się pożegnał, i młody człowiek z obietnicą: „Przyjdę po ciebie jutro o ósmej”, pobiegł uliczką w dół do swojego pensjonatu. Ale teraz nie

* Gra słów - „arv” znaczy po norwesku „spadek”. Berger mówił: „arv i Danmark”, „czyli spadek w Danii”, co Liv zrozumiała jako „arvid an”. Arvid to skandynawskie imię męskie (przyp. tłum.).

odczuwał już zmęczenia, a ponieważ ostatnio przywykł do nocnych spacerów, wcale nie tęsknił za hotelowym pokojem.

Rozmyślał z pewnym niepokojem nad tym, co będzie jutro, Liv bowiem zaprosiła go do domu swoich rodziców zaraz po wysadzeniu starego budynku. W tej rodzinie jest przynajmniej dwoje ludzi, którzy nie patrzyli na niego przychylnym wzrokiem, mianowicie sam Larsen i Tulla. Będzie musiał zrobić wszystko, by opanować swój skłonny do wybuchów temperament. Ze względu na Liv.

Liv, no właśnie, Liv... Roześmiał się głośno i serdecznie, pełen wspaniałej radości życia. Bo nawet bardzo przystojny i cieszący się wielkim powodzeniem młody człowiek może się czuć bardzo samotny i nieufny wobec ludzi. Któż by jednak odczuwał nieufność wobec Liv, jego dziewczyny?

Naprzeciwko na tle nocnego nieba rysował się wielki, ponury dom z wieżyczką. Jo zwolnił kroku.

Inżynier Garden... Dlaczego mu tak pilno, żeby pozbyć się tego domiszcza, zanim przyjadą spadkobiercy? Czy kryje się tam jakaś tajemnica, której nowi właściciele nie powinni poznać?

Jo zatrzymał się i patrzył na dom. Liv powiedziała, że został zaplombowany...

Gdyby tak spróbował wejść do środka teraz... Liv z pewnością będzie wściekła, ale, z drugiej strony, Jo nie chciał wprowadzać jej do tej ruiny jak z opowieści o duchach, sprawiającej z niewiadomego powodu groźne wrażenie. Nie było też pewności, że lensman Lian pozwoliłby im wejść tam rano, tuż przed wysadzeniem. Prawdopodobnie teraz Jo ma jedyną szansę...

ROZDZIAŁ XI

Zdecydowanie ruszył drogą wiodącą na wzgórze, na którym stał dom. Noc była, jak zauważyła Liv, bardzo ciemna, ale Jo miał przy sobie latarkę, niewielką wprawdzie, ale wystarczającą, by oświetlić drogę. Kiedy znalazł się przed drzwiami do ponurego domostwa, stwierdził, że rzeczywiście budynek jest zaplombowany. Starannie oglądał pieczęcie, ale uznał, że nie da się ich niepostrzeżenie usunąć. Ryzyko było zbyt duże. Postanowił wobec tego okrążyć dom w poszukiwaniu innego wejścia.

Budynek zmienił się w ruinę. Wielkie kawały gruzu i tynku poodpadały od ścian, futryny małych okienek na piętrze powypaczały się i zbutwiały. Na parterze okna były większe, wypełnione dużymi taflami szyb. Zdumiewające, że ktoś mógł wybudować coś równie dziwnego, ale Liv opowiadała przecież, że stary właściciel fabryki był ekscentrycznym typem.

Z tyłu znajdowały się mniejsze drzwi, które wiodły prawdopodobnie do kuchni. One też zostały starannie opieczętowane. Obok jednak widniał właz do piwnicy, a kiedy Jo przyjrzał mu się dokładniej, stwierdził z ogromnym zdziwieniem, że pieczęcie w tym miejscu zostały złamane. Zrobiono to ostrożnie, prawie niedostrzegalnie, mimo to jednak Jo mógł bez trudu wejść do piwnicy. Z pewnością dzieciaki, pomyślał. Puste domy zawsze są bardzo interesujące, zwłaszcza dla chłopców. Zresztą nie tylko dla nich, dodał z ironią, bo przecież sam właśnie zachowywał się jak chłopiec.

Nieduży strumień światła jego latarki przesuwiał się po podłodze piwnicy. Znajdowały się tam pojemniki na ziemniaki i różne produkty spożywcze, w głębi widział drzwi wiodące do dalszych pomieszczeń. Jo drgnął na widok głębokiego pęknięcia w jednej ze ścian, nie jedyne, jak przypuszczał. Wkrótce znalazł schody na górę, z pewnością do kuchni.

Instalacje elektryczne zostały rzecz jasna zdemontowane, ale mimo ciemności Jo stwierdzał na każdym kroku, że budowla znajduje się w rozsypce. Wszystko, co jeszcze nadawało się do użytku, wyniesiono. Zostały jedynie mocno nadgryzione przez korniki krzeselka i przerażająco wielka szafa, stara co prawda, ale pozbawiona antykwarycznej wartości. Jo przeszedł przez duży pokój na parterze, zatrzymał się przy kulawym biurku, ale wszystkie szuflady okazały się puste, żadnych tajemniczych schowków ani niczego takiego.

U sufitu w dużym salonie nadal wisiał ogromny żyrandol, tapety były w wielu miejscach pozdzierane. Jo zbadał wewnątrz jeszcze jednej szafy. Jego kroki odbijały się echem

w wielkich pustych pokojach, a pajęczyny zwisające u wszystkich sufitów potęgowały wrażenie, że oto znalazł się w zamku duchów, wrażenie, które nie opuszczało go od pierwszych chwil, gdy tu wszedł. W przestronnym hallu, gdzie pachniało zamkniętym, nie zamieszkanym domem, Jo przystanął, żeby się rozejrzeć na ile to możliwe.

Szerokie schody wiodły stąd na piętro, a ponieważ na parterze Jo nie znalazł nic poza ładunkami wybuchowymi, wszedł na górę.

Światło latarki przesuwano się wolno ze stopnia na stopień, gdzie kurz zalegał grubą warstwą. Jo na moment przystanął, bo zdawało mu się, że słyszy jakieś odgłosy. Ale tyle jest dziwnych szmerów i trzasków w opuszczonym domu.

To z pewnością byłoby coś dla Liv. Żałował, że jej tu nie ma, i czynił to również ze względu na siebie. Byłoby bardzo miło czuć teraz w swojej dłoni jej ufną rękę.

Ruszył przed siebie długim korytarzem z drzwiami po obu stronach. Zamierzał obejrzeć wszystkie pokoje, najpierw jednak chciał zobaczyć cały korytarz...

Ale Jo Barheim nigdy do końca korytarza nie doszedł...

Kiedy minął kolejne drzwi i znalazł się w miejscu, gdzie korytarz zakręcał, otrzymał potężny cios w głowę. Zatoczył się, a czyjeś ręce schwyciły go od tyłu pod pachy, inne wepchnęły mu knebel w usta. Zanim zdążył odzyskać przytomność po uderzeniu, związano mu ręce i nogi i wciągnięto do niedużego pokoiku z małymi szybkami w oknie i lampą naftową na kulawym stoliku.

- O, to prawdziwa niespodzianka! - wołał czyjś nieprzyjemny głos. - Jo Barheim we własnej osobie! To naprawdę miłe odwiedziny, prawda, Haraldzie?

Harald opierał się o ścianę i spoglądał na Jo z nienawiścią, ale też jakby z wyrazem szczerzej radości we wzroku.

- Nic lepszego nie mogło nam się przydarzyć - syknął. - Teraz będziemy mieli całą noc i jeszcze cały dzień na to, żeby się lepiej poznać.

Jo zmrużył oczy. Cały dzień? Czyżby oni nie wiedzieli?

Próbował im powiedzieć, że to śmiertelnie niebezpieczne pozostać w tym domu dłużej niż do wschodu słońca, ale knebel nie pozwalał mu nawet na głośny jęk.

Sytuacja była naprawdę groźna, Bogu dzięki, że nie zabrał ze sobą Liv.

Harald i Stein usiedli na dwóch znajdujących się w pokoju krzeselkach.

- Jak myślisz, co z nim zrobimy? - zapytał Harald słodziutkim głosem.

Stein zachichotał.

- Coś wymyślimy, nie martw się. No, no, sam Jo Barheim - powtarzał, jakby się tym rozkoszował.

Odpowiedzialni za wysadzenie budynku mają chyba tyle poczucia rzeczywistości, żeby jeszcze raz skontrolować cały dom, myślał Jo. Drzwi są co prawda opieczętowne, ale pieczęcie można zerwać. Dzieci mogły przecież wejść do środka... No, ale dzieci, gdyby nie wróciły na noc, byłyby z pewnością poszukiwane... Kto by jednak szukał Steina i Haralda? Nikt. A on sam? Jest w tym okręgu kimś obcym, przybyszem. Liv będzie na niego czekać, będzie się niepokoić, Morten będzie się zastanawiał, dlaczego Jo nie przyszedł do pensjonatu. Ale czy zdążą coś zrobić, zanim stanie się za późno? Obiecał, że przyjdzie po Liv o ósmej, wybuch zaplanowano około dziewiątej. Godzina... Godzina, podczas której Liv będzie na niego czekać, rozczarowana, niepewna.

Ale przecież ktoś musi sprawdzić przed wybuchem, czy wszystko jest w porządku. To oczywiste, jasne, że ktoś sprawdzi.

Dochodziło wpół do dziewiątej, a Jo się nie pokazał. Liv krążyła pomiędzy oknem i telefonem. Może zaspał? To bardzo prawdopodobne, ktoś tak zmęczony... Ale Morten powinien był go obudzić, Jo mówił przecież, że mieszkają w jednym pokoju.

- Jeśli chcesz zobaczyć wybuch, to powinnaś się zbierać - powiedziała mama. - Pójdiesz z nami?

- Nie, idźcie sami. Ja jeszcze poczekam na Jo.

Rodzice z Tullą wyszli. Liv zadzwoniła do pensjonatu i poprosiła Jo Barheima.

- On tu dzisiaj nie nocował - wyjaśniła właścicielka.

Nie nocował? Liv poprosiła do telefonu Mortena.

To prawda, potwierdził Morten. Jo nie wrócił na noc. Morten sądził, że Jo spędził tę noc właśnie z Liv. Liv syknęła ze złością i odłożyła słuchawkę. Rany boskie, co się z nim stało?

Usiadła przy stole i podparła głowę rękami. O czym myśmy rozmawiali wczoraj wieczorem? Dom... Garden... Lensman...

Liv nie bardzo dowierzała teorii Jo, że dom kryje jakąś tajemnicę, której Garden chce się jak najszybciej pozbyć. Ona wyobrażała to sobie inaczej.

Ktoś skopiował plany, bo bardzo potrzebował pieniędzy. Takie założenie automatycznie wyklucza dyrektora szkoły. Ktoś taki jak on czuje się najlepiej żyjąc w warunkach spartańskich. Dyrektor ma niewielkie potrzeby, jeśli chodzi o pieniądze. Inżynier Garden natomiast ma na nie wielkie zapotrzebowanie, ale gdyby odrzucić teorię Jo na temat tajemnicy domu, to co Garden ma wspólnego ze spadkobiercami z Danii? Pozostaje jednak jeszcze mały, gruby adwokat...

Liv uniosła głowę i starała się gruntownie przeanalizować wszystkie możliwości. Adwokat Sundt zajmował się sprawami majątkowymi prawie wszystkich mieszkańców Ulvodden. Co prawda on sam jest też bajecznie bogaty, ale jak do tego doszedł? Ojciec Liv powiada, że dzięki wyjątkowo korzystnym spekulacjom na giełdzie. Gdyby jednak założyć, że obracał pieniędzmi swoich klientów, za ich pieniądze kupował akcje na swoje nazwisko, i gdyby założyć, że stracił znaczną część majątku starego właściciela fabryki? Starzec może nie bardzo się orientował w swoich finansach, wszystko złożył w ręce skrupulatnego i zdolnego adwokata Sundta...

I jeśli zdarzyło się, że ów adwokat nie zawsze miał takie szczęście w swoich giełdowych poczynaniach? Jeśli stracił...

Ale dlaczego Jo nie przyszedł? Powinien przynajmniej zadzwonić, że coś go zatrzymało. Bo Liv nie wierzyła, że poprzedniego wieczoru mógł się z nią tylko bawić, Jo nie należał do takich. Nie, coś musiało mu się stać.

Liv zaczęła nerwowo wkładać na siebie płaszcz. Ręce jej drżały, ledwo była w stanie zapiąć guziki. Wciąż jeszcze nie potrafiła znaleźć jakiejś wiarygodnej odpowiedzi na pytanie, gdzie się podział Jo, ale ogarniał ją coraz większy niepokój.

„Znany człowiek - przeciwko wielu ludziom”, powiedział Berger. To by się zgadzało, bo adwokat Sundt zajmował się pieniędzmi wielu ludzi. A skoro teraz mają przyjechać Duńczycy, to - zakładając, że sprzeniewierzył fortunę starego fabrykanta - Sundt znalazł się w niezłych opałach. Wszystkie jego nieczyste transakcje mogą wyjść na światło dzienne, adwokat musiał jak najszybciej zdobyć pieniądze. Czy „pożyczenie” planów nie było w tej sytuacji czymś oczywistym? Czyż lensman nie mówił, że ludzie w Månedalen widzieli jakiś czas temu łądujący śmigłowiec?

To by wskazywało, że w grę wchodzi wielkie interesy.

Za piętnaście dziewięta... Liv chwyciła telefon i zadzwoniła do lensmana Liana. Nie było go w domu, ale Liv, która odrzuciła teraz wszystkie formy grzecznościowe i zasady dobrego wychowania, zapytała jego żonę, czy pamięta tamten wieczór, gdy Liv przybiegła z informacją o zabójstwie Bergera.

Owszem, pani Lian pamiętała to bardzo dobrze.

- To proszę mnie teraz posłuchać - powiedziała Liv, zapominając o szacunku dla osób od niej starszych. - Czy któryś z tamtych trzech gości lensmana przyszedł tuż przede mną, czy też wszyscy byli już u państwa od dłuższego czasu?

Pani Lian zastanawiała się długo, a Liv z niecierpliwości przestępowała z nogi na nogę.

- Tak, teraz sobie przypominam. Adwokat Sundt przyszedł krótko przed tobą...

- Dziękuję! - krzyknęła Liv i poprosiła, by lensman, jak tylko się pojawi, natychmiast przyszedł na miejsce wybuchu. Odłożyła słuchawkę i wybiegła z domu. A więc to jednak adwokat Sundt! Więc to ona miała rację! I Jo nie dzwonił dziś rano do lensmana, o to także Liv zapytała panią Lian.

Gdzie on jest? Czy mógł naprawdę pójść do starego domu? Nie sądził chyba, że znajdzie tam coś interesującego?

No a jeśli mimo wszystko tam poszedł? To dlaczego nie wrócił? A jeśli... Jeśli był tak zmęczony, że poszedł tam i zasnął? Chociaż przecież nie można było wejść do tego domu. Ale jeśli on mimo wszystko wszedł i jeśli tam zasnął, to jego życie teraz zawisło na włosku!

Liv biegła coraz szybciej. Z daleka widziała tłum gapiów, którzy chcieli zobaczyć wybuch. Większość z nich stała przy drodze, stali tam również robotnicy z firmy zajmującej się takimi pracami. Wszystko było już przygotowane. Gromada małych chłopców kręciła się przy specjalistach od wybuchów, zadając im mnóstwo pytań, co tamtych najwyraźniej irytowało. Samego domu pilnowali strażnicy i też nie mogli się opędzić od ciekawskiej dzieciarni.

Zbliżała się dziewiąta. Liv próbowała przedrzeć się przez tłum, ale ludzie pozajmowali tu sobie miejsca już wcześniej rano i nie zamierzali nikogo przepuszczać. Liv zaczynała się naprawdę bać. Nie miała przecież żadnych dowodów na to, że Jo znajduje się w środku, ale nie miała też dowodu, że go tam nie ma.

Na moment przemknęła jej przez głowę myśl, że powinna pobiec do starego domu i tam się ukryć. Jak długo ona będzie wewnątrz, budynek nie zostanie wysadzony. Ale straż stała przecież przy wejściu, ona zaś musiała za wszelką cenę porozmawiać z odpowiedzialnymi za wyburzenie, a ci znajdowali się w tym trudnym do przebycia kręgu utworzonym z gapiów.

- Bądźcie tak dobrzy, przepuście mnie - prosiła stojących jej na drodze ludzi, ale słyszała w odpowiedzi niecierpliwę warknięcia.

Próbowała w innym miejscu, rozpychała się łokciami. Widziała w samym środku tłumy inżyniera Gardena i jego pomocników. Adwokat Sundt był również z nimi. Ku swemu wielkiemu przerażeniu zorientowała się, że to właśnie on, ze względu na wielki szacunek, jakim obdarzali go mieszkańcy Ulvodden, miał być tym, który naciśnie guzik i odpali ładunki wybuchowe.

Liv przepychała się ile sił przez nieruchomy tłum, narażała się na złe słowa i zirytowane spojrzenia, ale prawie tego nie dostrzegała. Jej myśli zajęte były wyłącznie osobą

Jo. Nie mogła pojąć, gdzie się podział, ale dopóki istniał choćby cień możliwości, że znajduje się w skazanym na śmierć domu, musiała powstrzymać wybuch.

Zaczepiali ją znajomi, śmiali się do niej, ale ona nic nie widząc parła naprzód. Najgorszy był ostatni odcinek. Wybrani, którzy zdobyli najlepsze miejsca, najbliżej aparatury sterującej wybuchem, utworzyli ciasny łańcuch, lecz Liv, teraz już bliska desperacji, dosłownie rzuciła się na nich i w końcu przedarła się do inżyniera Gardena.

Zawsze żywiła wobec tego człowieka ogromny respekt. Nie lubiła go i teraz też odczuwała wielką niechęć na myśl o tym, że będzie musiała prosić go o pomoc, ale on był tu najwyższym autorytetem i nie miała wyboru. Wiedziała przy tym, że sprawy potoczą się dla niej bardzo nieprzyjemnie, jeśli się okaże, że Jo nie ma wewnątrz starego domu, mimo to jednak chwyciła inżyniera Gardena za ramię.

- Nie wysadzajcie! - krzyknęła. - Tam może być człowiek.

Wokół niej zaległa kompletna cisza. Garden dosłownie przeszył ją lodowatym spojrzeniem, a w tłumie rozległy się groźne pomruki. Tłum nie chciał być pozbawiony rozrywki.

- Nie jestem tego całkiem pewna - powiedziała Liv półgłosem. - Ale Jo Barheim nie wrócił do domu, a wczoraj wieczorem mówił, że chce obejrzeć ten budynek od środka. Być może poszedł tam jeszcze w nocy. A był okropnie zmęczony, myślę więc, że mógł zasnąć...

- Posłuchaj no, Liv - rzekł adwokat Sundt wyniośle. - Czy ty znowu trochę nie przesadzasz?

Kiedy napotkała spojrzenie jego rozbieganych oczek, pomyślała: A więc tak wygląda morderca. Dlaczego ja przedtem nie widziałam tego w jego twarzy? Czy człowiek naprawdę tak łatwo ulega powszechnej opinii? Czy naprawdę tak łatwo uznać za swoje ogólnie przyjęte poglądy? Człowiek ciągle słyszy Adwokat Sundt to wspaniały i odpowiedzialny człowiek. Szlachetny, pod każdym względem godzien zaufania. Życzliwy i przyjazny ludziom. A potem okazuje się, że to morderca. I natychmiast widzimy, że źle patrzy mu z tych świńskich oczek, a fałszywy uśmiešek budzi grozę. I doznajemy takiego samego uczucia, jak na widok fotografii przestępcy, publikowanej w gazecie. Tak jest, ten to wygląda jak prawdziwy gangster, myślimy sobie wtedy. Ale gdyby w gazecie się pomylili, zamienili fotografie i pod zdjęciem przestępcy napisali, że to znany polityk czy człowiek interesu, to raczej mało kto na jego widok by powiedział: typowa gęba kryminalisty.

Garden rzekł chłodno:

- Czego on, na Boga, mógł szukać w zamkniętym i opieczętowanym budynku?

- On miał pewną teorię - wyjaśniła Liv zrozpaczona. - Ze mianowicie dom kryje jakąś tajemnicę i dlatego ma być tak pospiesznie wysadzony w powietrze...

- Ty z pewnością nie wiesz, że to ja podjąłem decyzję o wysadzeniu - oświadczył Garden.

Liv wyprostowała się.

- Ja wiem i zresztą wcale w tę teorię Jo nie wierzę. Ja myślę...

- No to wysadzamy czy nie? - dopytywali się zniecierpliwieni robotnicy.

- Tak jest - rzekł stanowczo adwokat Sundt i ruszył w stronę aparatu. - Tracimy tylko niepotrzebnie czas.

Liv podbiegła do aparatu i zastawiła adwokatowi drogę.

- Najpierw musicie przeszukać dom!

- No nie, teraz to już chyba przesadziłaś! - zawołał inżynier, a ludzie z tłumu coraz bardziej nerwowo krzyčili do Liv, że ma się usunąć. - Dziesięć minut temu dom był sprawdzany. Adwokat Sundt fatygował się osobiście i stwierdził, że żadne pieczęcie nie zostały naruszone.

- Tak jest - potwierdził Sundt. - I mogę cię zapewnić, że tak było: żadna pieczęć nie została naruszona.

- Czy pan sprawdzał sam?

- Oczywiście! Moje nazwisko jest chyba wystarczającą gwarancją!

Liv głęboko wciągnęła powietrze.

- Nie! Nie jest! Inżynierze Garden, słowo adwokata Sundta nie może tu być żadną gwarancją, bo to on zamordował Bergera!

Tłum najpierw zamilkł, a potem podniosła się wrzawa. Inżynier Garden pobladł.

- Czy ty wiesz, co mówisz, Liv? Oskarżasz najbardziej szanowanego człowieka w osadzie o morderstwo! Nie mając ani cienia dowodu! Adwokat Sundt był przecież u lensmana wtedy, kiedy przybiegłaś z wiadomością o morderstwie!

- Oczywiście, bo przecież on Bergera nie zgładził własnymi rękami. Wynajął dwóch morderców!

Garden wpadł we wściekłość.

- Czy będziesz mi tu twierdzić, że on, on, adwokat Sundt, miał coś wspólnego z tymi opryszkami? Proszę nacisnąć guzik, mecenasie Sundt, i zrobimy wreszcie koniec z tą śmieszną rozmową. Opłaciliśmy robotników i nie możemy tego ciągnąć w nieskończoność.

Liv poczuła się całkowicie bezsilna i wybuchnęła płaczem. A kiedy adwokat Sundt chciał ją odsunąć na bok, rzuciła się na niego z pięściami. Podbiegło do niej kilku robotników, tłum krzyczał na nią coraz głośniej i nie wiadomo, jakby się to wszystko skończyło, gdyby nagle nie przedarli się do niej rodzice. Liv odwróciła się do matki.

- Pomóż mi, mamó! - szlochała. - Nikt mi nie wierzy! Oni nie mogą wysadzić domu, zanim nie sprawdzą, nie wolno im. Jo może być w środku!

- No, no, uspokój się - pocieszała ją zdenerwowana matka. - Inżynierze Garden, skoro moja córka mówi, że Jo może być w domu, to przecież trzeba sprawdzić. Tu chodzi o życie człowieka, czy nie może pan poświęcić pięciu minut?

- Kim jest ten Jo? - zapytał Garden.

Przecisnęli się do nich Finn i Morten.

- Jo Barheim nie wrócił dzisiaj na noc - powiedział Morten. - To on uratował życie Liv, kiedy mordercy ją uprowadzili w górach. Ja myślę, że pan nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Chyba powinien pan zrobić to, o co Liv prosi, przeszukać dom.

- Tak jest - poparła go pani Larsen. - Ja dobrze znam moją córkę i wiem, kiedy fantazjuje, a kiedy mówi prawdę. Tym razem to nie jest fantazja.

Garden rozglądał się niezdecydowany.

- Ale przecież to by oznaczało brak zaufania dla adwokata Sundta. On dopiero co był w domu i stwierdził, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Pani Garden stanęła obok męża.

- Adwokat Sundt należy do kręgu naszych najbliższych znajomych, pani Larsen. Myślę, że z całą pewnością możemy twierdzić, iż...

- Jak dalece można poznać człowieka podczas towarzyskich spotkań? - zapytała pani Larsen krótko.

Liv patrzyła na nią zdumiona. Czy to naprawdę jej własna mama tak mówi?

- Muszę powiedzieć, że dziwi mnie pani zachowanie, pani Larsen - rzekł adwokat, który wyraźnie stracił na pewności siebie. - Wierzy pani kilkunastoletniej pannicy bardziej niż mnie?

- Ta pannica jest moją córką - odparła pani Larsen z dumą. - Prawdopodobnie ma pan rację i w tym domu nikogo nie ma, ale niech jej pan pozwoli się o tym przekonać! Chociaż tyle jesteśmy winni Jo Barheimowi, który zrobił dla naszej córki tak wiele.

- Dziękuję, mamó - szepnęła Liv. - Nigdy ci tego nie zapomnę.

Pani Larsen pogłaskała ją ukradkiem po policzku.

- Żeby tak lensman tu był. On by najlepiej wiedział, co należy zrobić.

- No cóż - zaczął Garden z wahaniem. - W końcu przecież moglibyśmy...

- To naprawdę śmieszne - przerwał mu adwokat Sundt. - Żądam, żeby okazywano więcej szacunku moim słowom! Ponowne sprawdzanie domu oznacza brak zaufania do mnie! Uważam, że powinniśmy wreszcie raz z tym skończyć!

Ci, którzy stali daleko z tyłu, denerwowali się coraz bardziej i domagali natychmiastowego wysadzenia domu. Wyszli na chwilę z pracy, żeby zobaczyć niezwykle wydarzenie, i nie mogli tu tkwić w nieskończoność. Tłum jednak łatwo zmienia zdanie, więc ci, którzy znaleźli się najbliżej i przysłuchiwali się rozmowom, zaczęli jeden po drugim domagać się ponownego sprawdzenia domu. Ich sympatia była teraz po stronie Liv i kiedy adwokat Sundt spojrzął na tłum, przeniknął go lodowaty dreszcz strachu. Jego prestiż był poważnie zagrożony, a wszystko przez tę okropnie upartą dziewczynę!

Garden zagryzał wargi. Spoglądał to na jedno, to na drugie. Patrzył na powszechnie szanowanego adwokata Sundta, który otrzymywał ordery za wspaniałą pracę dla społeczeństwa, który przeznaczal znaczne sumy na szlachetne cele i który absolutnie nie miał powodów, by kraść szkice fabrycznych planów lub dopuszczać się desperackich morderstw, a następnie przenosił wzrok na Liv Larsen, małą i drobną nastolatkę ze skłonnościami do dramatyzowania, znaną ze swego upodobania do fantazji i szalonych wymysłów, na której dość trudno było polegać.

Wiedział jednak również, że Liv przeżyła w górach wstrząsającą przygodę. Widział, że dziewczyna jest przerażona, i zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli w domu ktoś jednak jest, to cała odpowiedzialność spadnie na niego, inżyniera Gardena.

Zwrócił się do adwokata.

- Sundt, wiesz przecież, że uważam te oskarżenia za śmieszne, dokładnie tak samo jak ty. Ale jeśli to ma uspokoić dziewczynę... Chodź, Liv! Pójdziemy tam i rozejrzemy się.

- Chwileczkę! - zawołała Liv. - Proszę, żeby adwokat Sundt poszedł z nami.

- A to dlaczego?

- Ponieważ ja mu nie ufam. On może nacisnąć guzik natychmiast, gdy stąd odejdziemy.

- Bzdury! - krzyknął adwokat z twarzą błyszczącą od potu. - Odmawiam ponownego oglądania domu tylko dlatego, że jakaś dziewczyna dostała hysterii!

Garden zaczął się irytować.

- Bardzo mi wszystko utrudniacie. Oboje. Sundt, przecież wiesz, że jestem twoim przyjacielem i że polegam na tobie. Ale skoro dziewczyna się upiera... W końcu chodzi o żywego człowieka!

W tłumie zrobiło się zamieszanie i zaraz potem ukazał się lensman. Ludzie z szacunkiem usuwali się na boki.

- Co się tutaj dzieje? Garden wyjaśnił.

Lensman spoglądał to na jedno, to na drugie, długo i uważnie.

- Nie rozumiem, czemu pan się waha, inżynierze Garden. Dopóki istnieje choćby najmniejsze podejrzenie, że w domu mógł ktoś zostać... Liv Larsen nie żartuje, tego jestem pewien. Zdążyła przesłać mi wiadomość, że jestem tu jak najszybciej potrzebny. Chodźcie, idziemy tam natychmiast! Skontrolowanie pieczęci nie zajmie wiele czasu. A ty, Sundt, nie powinieneś się obrażać. Jeżeli twoje sumienie jest czyste, nie musisz się niczego bać.

Sundt zmobilizował całą swoją godność.

- Postanowiliśmy, że wybuch nastąpi punktualnie o godzinie dziewiątej, bo ja muszę zdążyć na pociąg. Mam dzisiaj ważną sprawę. I teraz to już naprawdę nie mogę dłużej czekać tylko dlatego, że jakiejś małej idiotce gdzieś się zapodział narzeczony! Zresztą wcale się nie dziwię, że dal nogę. Żaden normalny miody człowiek nie zniósłby takiego szaleństwa!

- No, nie musisz być wulgarny, Sundt - powiedział lensman surowo. - Chyba że nerwy zaczynają ci puszczać.

- Czy byłoby w tym coś dziwnego? - syknął adwokat. - Co byś ty powiedział, gdyby ci rzucano w twarz podobne oskarżenia?

- No, rzeczywiście, sprawa jest poważna. Dlatego proponuję, żebyś odłożył na kiedy indziej tę twoją ważną sprawę i skoncentrował się raczej na własnej obronie. Karlsen, odpowiadasz za to, żeby nikt nie uruchomił aparatury pod naszą nieobecność.

Sundt był teraz sinoniebieski na twarzy.

- Ja odmawiam...

- Nie radzę ci - rzekł lensman groźnie. - W przeciwnym razie zacznę podejrzewać, że naprawdę masz nieczyste zamiary.

Sundt mamrotał coś pod nosem, że będzie to drogo kosztowało ich wszystkich i że on naprawdę potrafi wykorzystać swoje wpływy. Garden lekko zbladł, lensman jednak zachował stoicki spokój. W końcu adwokat, obrażony, wzruszył ramionami i poszedł za innymi w stronę domu.

Lensman Lian musiał użyć całej swojej władzy, by powstrzymać posuwający się za nimi tłum ciekawskich, żądnych sensacji. Kiedy jednak Liv się odwróciła, zobaczyła, że gapie, choć niechętnie, powracają na swoje miejsca.

Zresztą grupa, która szła oglądać dom, wcale nie była taka mała. Na czele kroczył lensman z inżynierem i jego małżonką, pół kroku za nimi obrażony adwokat. Następnie Liv z

rodzicami w towarzystwie Finna i Mortena. Gdzie podziwiała się Tulla, Liv nie miała pojęcia, wiedziała jednak, że siostra nie przepada akurat za taką formą popularności.

Inspektor Larsen również sprawiał wrażenie człowieka, dla którego to wszystko jest największą udręką, starał trzymać się w pobliżu adwokata i inżyniera, podczas gdy pani Larsen z wysoko podniesioną głową towarzyszyła swojej zdenerwowanej córce. Determinacja matki ogromnie wzruszała Liv.

Za nimi kroczyło kilku ludzi Gardena, którzy, skoro nikt im tego nie zabronił, chcieli znajdować się w centrum wydarzeń. W znacznej odległości za główną grupą posuwali się najodważniejsi z ciekawskich, na ogół ci najmłodszy.

Lensman wszedł na schody przed głównym wejściem i dokładnie obejrzał pieczęcie.

- W porządku - oznajmił. - Teraz obejdzimy dom dookoła. Trzeba skontrolować te okna, do których można się dostać z ziemi bez pomocy drabiny czy czegoś w tym rodzaju.

W gruncie rzeczy był to dosyć komiczny widok, ci dorośli ludzie czołgający się na kolanach przed wszystkimi piwnicznymi otworami, a potem wspinający się na palce i zagląający przez okna na parterze, lecz dla Liv było to śmiertelnie poważne. Jo zniknął, ona sama publicznie oskarżyła adwokata Sundta o najstraszniejsze przestępstwa, a teraz wszyscy lokalni dostojnicy tracą czas, bo ona zażądała ponownych oględzin domu. Bała się. Bała się kary, jaka niewątpliwie będzie musiała ją spotkać, gdyby to wszystko nie znalazło uzasadnienia, ale najbardziej bała się o los Jo. Nie potrafiła wyobrazić sobie innego miejsca, w którym mógłby się znajdować, jak tylko ten okropny, stary dom. A jeśli się tam naprawdę znajdował, to jak, na Boga, mógł ułożyć się do snu w takim ponurym otoczeniu? Nie, nic się nie klei! Co mogło mu się stać?

Skontrolowano wszystkie okna i nigdzie nie natrafiono na ślad włamania ani naruszenia pieczęci. Cała procesja dotarła do kuchennego wejścia i również starannie zbadała pieczęcie. W końcu pozostało już tylko wejście do piwnicy. Ale tam też nic nie wzbudzało wątpliwości.

- No tak, wszystko wygląda jak trzeba - powiedział lensman na koniec. - Żadna żywa istota się tędy nie przemknęła. Teraz powinnaś bardzo ładnie prosić adwokata Sundta o wybaczenie, Liv. Pojęcia nie mam, gdzie się podział Barheim, ale znając jego skomplikowany charakter mogę przypuszczać, że przyszedł mu do głowy jakiś niezwykły pomysł i nim się właśnie teraz zajmuje. Z pewnością wkrótce pojawi się znowu. Tak więc teraz już nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy to stare wronie gniazdo wysadzili w powietrze.

Wszyscy unikali patrzenia na Liv. Adwokat Sundt był znowu godnym zaufania, poczciwym wujaszkiem.

- Bardzo byłaś pewna swoich racji, co, Liv? - powiedział i poklepał ją po policzku. Liv zobaczyła w jego małych oczkach wyraz triumfu i nienawiści.

- To wszystko jest rzeczywiście okropnie nieprzyjemne - rzekł inspektor Larsen. - Liv dostanie porządną burę, kiedy wrócimy do domu. Bo przecież człowiek nie może karać swoich dzieci publicznie. Tak się nie robi...

Przerwał mu okrzyk Mortena:

- Zaczekajcie chwileczkę! Zdaje mi się, że ta pieczęć, czy jak tam się to nazywa, została odrobinę przesunięta! Proszę, lensmanie Lian, niech pan sam zobaczy.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, a lensman pochylił się nad pieczęcią przy zejściu do piwnicy.

- No, widzieliście coś podobnego! Tutaj na starą pieczęć nałożono nową! A stara została złamana!

- Co ty mówisz! - przerwał mu adwokat Sundt. - To niemożliwe!

- Wszystkie pieczęcie przy zejściu do piwnicy zostały zerwane i nałożono później nowe - oświadczył lensman Lian lodowatym głosem. - Ktoś był w środku, to nie ulega wątpliwości.

Liv uścisnęła ukradkiem dłoń Mortena.

- Dzięki ci, stary pedancie - szepnęła. - Nigdy więcej nie będę ci dokuczać z powodu twojej drobiazgowości.

Morten promieniał z dumy.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział Sundt zdumiony. - Kto mógł mi podłożyć takie paskudne świństwo? To chyba nie wy, chłopcy? Czy może trzymacie z Liv i razem z nią chcecie zrobić ze mnie kozła ofiarnego? Bo w takim razie...

- Zaczekaj no chwilkę - przerwał mu Lian. - Twierdzisz, że oglądałeś wszystko uważnie dziś rano, tak? Sundt, czy myślisz, że te nowe pieczęcie już wtedy tutaj były?

Sundt z największą niechęcią oglądał zejście do piwnicy.

- Tak, to możliwe.

- Kiedy dom został opieczętowany po raz pierwszy?

- W środę.

- A zatem w ciągu tych trzech dni ktoś wchodził do domu przynajmniej raz. I najwyraźniej wyszedł stamtąd, skoro próbował zatrzeć ślady. Tak, a w takim razie musimy wejść do środka i postarać się dowiedzieć, po co to robił.

Adwokat westchnął.

- Czy to naprawdę konieczne? Przecież to oczywiste, że teraz nikogo tam nie ma.

Lensman Lian popatrzył na niego podejrzliwie.

- Uważam, że wszystkie twoje protesty są trochę jakby za bardzo gorączkowe. Co masz przeciwko temu, byśmy przeszukali dom? Ja też nie sądzę, by ktoś tam był w tej chwili, ale powinniśmy zobaczyć, czym zajmował się ten ktoś, kto tu wchodził.

- To jasne, że adwokat Sundt nie ma nic przeciwko temu - wtrącił znowu inspektor Larsen z uśmiechem i tak przy pochlebnym głosem, że Liv zrobiło się niedobrze. - Ale przecież to nie należy do przyjemności być narażonym na takie podejrzania, a poza tym chodzić po takim ogromnym domu w jego wieku...

Sundt, który na początku tej przemowy wyglądał na bardzo zadowolonego, zeszywniał słysząc ostatnie słowa Larsena. Uwaga na temat wieku nie została chyba najszcześliwiej dobrana.

- Gdyby pan wychowywał swoje dzieci jak należy, nigdy by nie doszło do czegoś takiego - oświadczył cierpko. - Proszę schodzić do piwnicy po drabince!

Schodzili ostrożnie, jedno po drugim, i w końcu cała gromadka znalazła się na dole. Przy drabince postawiono na straży policjanta, żeby nie przedostał się do środka nikt z tłumu, który podchodził coraz bliżej domu.

Towarzysząca lensmanowi grupka badała wszystkie małe pomieszczenia w piwnicy, po czym weszła po kuchennych schodach na górę. Pokoje na parterze zostały dokładnie skontrolowane, przejrano wszystkie szafy i zakamarki.

Liv niecierpliwiła się i chciała jak najszybciej pobiec na piętro, lecz Garden ją zatrzymał.

- Zaczekaj no! Nigdzie nie pójdziesz pierwsza, bo znowu sprowadzisz jakie nieszczęście, a ja nie chcę mieć już więcej kłopotów.

Powoli i systematycznie przeszukiwali dosłownie metr po metrze. Ciasne, zamknięte komórki i duże, wspaniałe sypialnie, jak stworzone, żeby w nich ustawić łoża z baldachimami, a w oknach zawiesić ciężkie pluszowe zasłony. Mroczne korytarze z oknami w głębokich niszach. Nigdzie nie znaleziono ani śladu wyjaśnienia, dlaczego ktoś się do tego opuszczonego domostwa włamywał.

- Czego ten człowiek tu szukał, nie wiadomo. Wygląda jednak na to, że albo niczego nie znalazł, albo znalazł i zabrał ze sobą - powiedział Finn. - Tak czy inaczej żadnych śladów.

Adwokat Sundt przystanął i przykładał rękę do piersi w miejscu, gdzie znajduje się serce.

- Moje lekarstwo... - wykrztusił. - Nie czuję się najlepiej.

Liv przyglądała mu się podejrzliwie. Odgrywa komedię, czy naprawdę źle się czuje? myślała. Adwokat zrobił się czerwonosiny i pocił się obficie. Tak, chyba nie udaje, zbliża się atak serca, ale to chyba nic dziwnego, skoro tak się zdenerwował. To wszystko musiało być dla niego strasznym obciążeniem, czy jest winien, czy też nie.

Pani Larsen, która była sanitariuszką, zajęła się chorym. Ułożyła go na starej kanapie w hallu na piętrze i pomogła mu zażyć lekarstwo, które miał przy sobie.

- Schody... - wykrztusił adwokat. - Boję się, że dalej już nie zdołam pójść. Chciałbym wyjść na dwór, zaczerpnąć świeżego powietrza.

Lensman spoglądał na niego w zadumie.

- Myślę, że nie możesz stąd teraz wyjść - rzekł w końcu. - Ta kanapa musi ci wystarczyć. Posiedź tu sobie trochę i odpocznij, ale wychodzić ci nie wolno.

- Czy jestem podejrzany? - zapytał Sundt ze złością.

- Na razie tylko przez Liv Larsen - oświadczył lensman krótko i powrócił do przerwanych oględzin domu.

Sundt posłał Liv spojrzenie tak pełne nienawiści, że dziewczyna aż się zarumieniła. Jeżeli on jest niewinny, to moje życie w Ulvodden po tym wszystkim nie będzie należało do przyjemności, pomyślała. Ale co tam, w najgorszym razie będzie mogła przeprowadzić się do miasteczka, w którym mieszka Jo. Ale Jo przecież gdzieś przepadł! Jo... Gdzie on się podziewa? Nie zostało już wiele pomieszczeń w tym domu.

Inżynier Garden pchnął jakieś drzwi.

- Tu jest zamknięte - stwierdził.

- Zamknięte? - zdziwił się lensman. - Nic takiego nie powinno mieć miejsca!

Pochylił się nad zamkiem.

- Klucza nie ma. Przynieście no z innych drzwi, chłopcy!

Finn i Morten przynieśli kilka kluczy, ale żaden nie pasował.

- No nic - machnął ręką lensman. - Zajmiemy się tym później. Skończmy najpierw z oglądaniem otwartych pomieszczeń.

Szybko skontrolowali kilka pozostałych pokoi i znaleźli się na końcu korytarza. Wiodły stąd schody na strych.

- Wieżyczka - rzucił Finn. - Ale wszyscy tam wejść nie możemy, bo się pod nami zawali.

Sundt, który tymczasem najwyraźniej zdążył trochę odpocząć, wysunął się naprzód.

- Tak jest. Ja nawet nie zamierzam próbować.

- Ale ja pójdę - oświadczył lensman. - Garden, idziesz ze mną?

Pokonali kilka stopni wąskich schodów i obaj nagle przystanęli. Drzwi na poddasze się otworzyły i ukazał się w nich jakiś człowiek.

Liv i chłopcy zbiegli na łeb na szyję po schodach i ukryli się pod nimi. Próbowali dać znać lensmanowi, lecz on zajęty był tylko tym człowiekiem wysoko przy wyjściu na wieżę.

- Dzień dobry - powiedział Harald. - O co chodzi?

- Co pan tu robi? - spytał lensman ostro.

Harald wzruszył ramionami.

- Jestem bezdomny i wczoraj wieczorem schroniłem się tutaj przed nocnym chłodem. To chyba nie jest poważne przestępstwo?

- Jest pan tu sam?

- Jasne! A z kim miałbym być?

- Czy pan nie wie, że budynek został opieczętowany?

Harald zachichotał.

- Wiem. Ale przecież przez piwnicę można było wejść bez trudu.

- Proszę mi powiedzieć - rzekł lensman spokojnie - kto za panem opieczętował znowu wejście? Od zewnętrznej strony.

Harald przez moment nie wiedział, co powiedzieć.

- Mój kumpel - odparł nonszalancko. - I jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to wolałbym już sobie iść. Właśnie wychodziłem.

Zanim lensman zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Finn wybiegł z kryjówki pod schodami.

- Proszę go nie puszczać! To Harald! - zawołał. - To morderca z gór!

Lensman i Garden wycofali się pospiesznie ze schodów. Oczy Haraldza zwężyły się niepokojąco, kiedy zobaczył wynurzającą się spod schodów trójkę swoich młodych znajomych. Krzyknął coś krótko i w wejściu ukazał się Stein. Jego chudą twarz wykrzywiła wściekłość.

- Z drogi! - warknął groźnie.

Jo Barheim znajdował się w jakimś świecie pełnym mgły. Dusił się i bolały go wszystkie mięśnie. Knebel utrudniał mu oddychanie, przywiązany był do łóżka, leżał na gołych sprężynach i wszystkie wysiłki uwolnienia się z więzów kończyły się tym samym: plecy miał coraz boleśniej poranione.

Noc minęła stosunkowo spokojnie. Stein i Harald uważali, że czasu mają dość, dręczyli go boleśnie, ale niezbyt długo i dość szybko pokładli się spać. Oczywiście musieli się

namęczyć, żeby go związać i ułożyć na łóżku, a Stein przeklinał okropnie, że strzelbę zostawili w górach, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ale przecież było ich dwóch przeciwko jednemu, więc w końcu dali mu radę.

Rano strach narastał. Wybuch! Wybuch wyznaczony na dziewiątą! Czas zbliżał się nieubłaganie, ale teraz Jo był tak wyczerpany i oszołomiony, że znajdował się w jakimś stanie półświadomości, zdawało mu się, że minęły już wieki nieustającego bólu i że nigdy nie istniał żaden inny świat niż to, co teraz przeżywał.

Marzył o śmierci, która przyniosłaby wyzwolenie, spokój i błogostan. Nirwanę po trwającym godzinami przyduszeniu, bólu, braku powietrza. Od czasu do czasu pojawiała się niejasna myśl o Liv, drobnej dziewczynie, której nawet nie zdążył lepiej poznać, ale która była mu tak niesłychanie droga. I jeszcze rodzice...

W momencie przebłysku świadomości usłyszał głos Haralda, mówiącego, że jest już dziesięć po dziewiątej. Drgnął. Co to się stało? Dlaczego dom nie wyleciał jeszcze w powietrze?

Może to Liv sprawiła? Któż inny bowiem mógłby okazać tyle odwagi, żeby zatrzymać takie przedsięwzięcie? To z pewnością Liv, która odkryła, że Jo zniknął, i która pamiętała, że miał zamiar wejść do wnętrza domu.

Dotarło do niego, że Stein i Harald są czymś bardzo podnieceni. Biegali tam i z powrotem po pokoju, a kiedy Jo zaczął nasłuchiwać uważniej, doszły do niego głosy z większej odległości, ale jakby z wnętrza domu.

Obaj mordercy naradzali się po cichu, słyszał, jak mówią, że trzeba uciekać na wieżyczkę, a potem wymknęli się ostrożnie z pokoju i zamknęli drzwi na klucz. Jo został sam, obolały i coraz bliższy uduszenia.

Głosy stawały się wyraźniejsze i uświadomił sobie, że jacyś ludzie weszli na piętro domu. Serce zabiło mu gwałtownie w dzikiej nadziei, że go odnajdą. Słyszał teraz wyraźnie dobrze znany, kochany głos Liv. Mówiła coś podniecona i zdenerwowana, potem odezwał się Morten, ktoś szarpnął klamkę.

Dobry Boże, spraw, żeby tu do mnie weszli, modlił się w duchu. Dłużej tego nie wytrzymam. Słyszał, że próbują otworzyć zamek różnymi kluczami, ale drzwi nie ustępowały. W oczach pociemniało mu z bólu i głowę znowu otuliła gęsta mgła.

Usłyszał jeszcze, jak ktoś mówi, że ten pokój obejrzą później, i ludzie odeszli. Jo jęczał zawiedziony, ale nikt go nie słyszał.

Liv szeptała do lensmana:

- Tamten jest najbardziej niebezpieczny, ale zdaje mi się, że tym razem nie ma strzelby.

- Spokojnie - mruknął lensman. - Sprowadzimy go na dół, nie bój się. - Głośno zaś powiedział: - Kto pomógł wam wejść do środka?

Harald patrzył na niego z udawanym zdziwieniem.

- Dlaczego ktoś miałby nam pomagać? Sami dajemy sobie radę.

- Chyba nie za bardzo - stwierdził lensman. - W każdym razie ktoś was tutaj zamknął. Od zewnątrz. Tego nie mogliście zrobić sami. No, gadać, ale już! Kto jest waszym zleceniodawcą?

- My nie rozumiemy takich uczonych słów - oświadczył Stein szyderczym tonem.

- Kto wam zapłacił za zamordowanie Bergera i uprowadzenie Liv? Kogo teraz kryjecie?

Stein wykrzywił gębę w paskudnym grymasie.

- Jasne, chciałbyś, żebyśmy ci wszystko wyśpiewali, co? Ale my jesteśmy dobre chłopaki i nie donosimy na kumpla.

- Ach, tak? - rzekł Lian słodko. - Rozumiem. Czekacie, że dostaniecie od niego więcej pieniędzy.

- Możliwe.

Liv uznała, że lensman mówi wiele całkiem niepotrzebnych rzeczy, a nie pyta o najważniejsze.

- Gdzie jest Jo Barheim?

Stein spoglądał na nią uważnie, potem wykrzywił wargi w ironicznym uśmiechu.

- Jo Barheim? Sama go sobie poszukaj. Nie interesują nas tacy gogusie jak on.

- Nie? A ja znam jednego, który chodził za nim krok w krok - ucięła Liv ze złością.

Stein zamachnął się na nią gwałtownie i posłał wiązkę przekleństw, od której obecne tu panie zbladły.

- Bądź ostrożna, córeczko - szepnęła mama Liv.

- Niech on mi tu nie wymachuje przed oczami i nie udaje bohatera, bo to ostatni tchórz! - krzyknęła dziewczyna. - Bez swojej strzelby nie wart jest pięciu groszy. Ale to żadna sztuka straszyć niewinnych ludzi, celując do nich z karabinu. Teraz też taki dzielny, bo stoi z daleka od nas.

Na głowę Liv posypały się nowe przekleństwa.

- Powinniście zwracać się do niej trochę bardziej uprzejmie - powiedział Lian. - Tylko jej zawdzięczacie, żeście jeszcze nie wylecieli w powietrze.

- A tobie o co znowu chodzi? - ironicznie skrzywił się Harald.

- O to, że ten dom miał być wysadzony dzisiaj punktualnie o dziewiątej. I byłoby już dawno po wszystkim, gdyby nie to, że Liv niepokoiła się o los Jo Barheima.

- Głupoty!

- Schodźcie na dół. Nie macie już żadnych szans. A zresztą, co mnie to obchodzi, chcecie tam zostać, to zostańcie, dom i tak będzie wysadzony, jak tylko my stąd wyjdziemy.

- Łżesz!

- Być może zwróciliście uwagę na ten tłum, który zebrał się koło domu. To gapie, którzy przyszli obejrzeć wybuch. No to co, powiecie nam teraz, kto was tu zamknął?

Nareszcie prawda dotarła do ciasnego łba Steina.

- On nas oszukał! To świnia! - ryknął. - Harald, on nas oszukał! Ale dostanie za swoje!

Ruszyli obaj biegiem w dół po schodach, ale natychmiast zostali schwytani przez ludzi lensmana.

- No? - zapytał Lian. - Jak będzie? Powiecie, kto was oszukał?

- Ta świnia! Ta tłusta świnia o czerwonych ślepiach! - wrzeszczał Stein. - On nas tu zamknął, żebyśmy razem z chałupą wylecieli w powietrze!

- To znaczy adwokat Sundt, prawda? Opis by się zgadzał...

Dopiero w tej chwili zorientowali się, że adwokat zniknął bezszelestnie...

Adwokat Karl G. Sundt przecisnął się obok pilnujących wejścia do piwnicy policjantów. Uśmiechał się do nich życzliwie.

- Nie mam, niestety, czasu dłużej czekać. Za piętnaście minut odchodzi mój pociąg. A na górze powstało spore zamieszanie, znaleźliśmy dwóch gangsterów. Trudno stać tu na warcie?

- Owszem - potwierdził policjant. - Najgorsi są mali chłopcy i starsze kobiety. Mam nadzieję, że pan zdąży na pociąg. Niełatwo będzie się przebić przez ten tłum na zewnątrz. Hej, wy tam, zróbcie miejsce dla pana mecenasa Sundta! Spiesz się na pociąg!

Zgromadzeni odsuwali się uprzejmie, w końcu mieli do czynienia z najbardziej szanowanym obywatelem Ulvodden, chociaż ci, którzy słyszeli oskarżenia Liv, spoglądali na niego z pewną podejrzliwością. On przeciskał się nerwowo do przodu, wkrótce wy dostał się z ciżby i przyspieszył kroku.

Wtedy z okna na piętrze rozległo się wołanie.

- Hej, wy tam, na dole! - krzyczał inżynier Garden. - Zatrzymajcie tego człowieka! Adwokat Sundt sprzeniewierzył pieniądze was wszystkich i dlatego wykradł plany z fabryki,

kazał zamordować Bergera i ścigał Liv Larsen, bo chciał jej się pozbyć. Mamy obu płatnych morderców. Nie pozwólcie Sundtowi uciec!

Harald i Stein wpadli w furię i zdali szczegółowe sprawozdanie na temat wszystkich przestępstw Sundta. Teraz inżynier Garden to właśnie przekazał tłumowi. Chciał, żeby ktoś z gapiów zareagował, zanim Sundt dobiegnie do samochodu i zdąży odjechać.

- Nie, nie! - zaprotestował lensman. - Inżynierze Garden, co pan robi?

Widzowie przez moment stali jak rażeni gromem. To przecież niemożliwe, żeby taki elegancki człowiek dopuścił się morderstwa! Powoli jednak słowa Gardena docierały do ich świadomości, wielu z nich powierzyło przecież adwokatowi swoje pieniądze i myśl o tym, że mogli zostać oszukani, wraz z podświadomym pragnieniem, by skompromitować i ukarać tego pyszałka, wstrząsnęła tłumem. Ludzie z wrzaskiem ruszyli za uciekającym.

Adwokat Sundt słyszał krzyki za sobą i dobrze wiedział, co to oznacza. Jego bezpieczny samochód, który przed chwilą wydawał się tak blisko, teraz jakby się odsunął o wiele mil. Krótkie nóżki uciekającego poruszały się w jesiennej trawie tak szybko jak perkusyjne pałeczki uderzające o bęben.

Za nim rozlegał się tupot dziesiątek stóp. Podniecony tłum gonił go coraz szybciej. Adwokat ciężko dyszał, w płucach mu piszczało i gwizdało, serce pracowało niczym maszyna parowa, z wysiłkiem, jakby za chwilę miało pęknąć.

A z okna na piętrze przyglądał się temu przerażony lensman. Dobry Boże, co myśmy zrobili, myślał. Wyzwoliliśmy pragnienie zemsty w praworządnych, znających swoje obowiązki obywatelach. Zamieniliśmy ich w tłum morderców.

Serce adwokata pracowało z najwyższym wysiłkiem. Żadnych stresów, powiedział niedawno lekarz... Już prawie nie był w stanie oddychać, czuł, że jakiś chłopiec go dogania i łapie za marynarkę, chciał go odpędzić, wziął zamach, ale nogi mu się splątały, zatoczył się i upadł na kolana, a potem powoli osunął się na ziemię i zastygł w bezruchu.

Ścigający kłębili się wokół niego i tylko dzięki przytomności umysłu i sile ramion kilku mężczyzn biegnących na przedzie adwokat Sundt nie został stratowany.

On już jednak nie zdawał sobie z tego sprawy. Jego serce przestało bić.

ROZDZIAŁ XII

Grupa ludzi przy oknie na piętrze cofnęła się pospiesznie. Przez dłuższą chwilę nikt nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Dwaj mordercy zostali sprowadzeni ze schodów przez kilku silnych mężczyzn, ale lensman bez powodzenia szukał u nich klucza do zamkniętego pokoju.

- No i tak się to skończyło - westchnął Garden.

- Kto by pomyślał - wtrąciła jego żona. - Ze ten człowiek, którego uważaliśmy za przyjaciela, który siadywał w naszym salonie, pił nasze wino i jadał moje zakąski...

Zamilkła, uświadomiwszy sobie, że to uwagi nie licujące z godnością wielkiej damy.

Liv z niecierpliwości przestępowała z nogi na nogę.

- Tamten zamknięty pokój... Wciąż przecież nie znaleźliśmy Jo.

- Kochana Liv - powiedział jej ojciec. - Sama słyszałaś, że mordercy go nie widzieli!

Liv popatrzyła na niego. Czy ona kiedykolwiek zdoła zrozumieć tego człowieka?

- Oczywiście, zamknięty pokój - wymamrotał lensman. - Będziemy chyba zmuszeni wyłamać drzwi.

- Tak, ale szybko - jęczała Liv. - Może on tam jest, a jeżeli Stein i Harald się nim zajmowali przez całą noc, to może z nim być naprawdę źle.

- Liv ma rację - przyznał Lian. - Natychmiast tam idziemy!

Wyważenie drzwi zajęło im kilka minut. Garden, który szedł pierwszy, zatrzymał się w rogu.

- Ale tu wygląda!

Wszyscy tłoczyli się przy wejściu. Liv i lensman zdołali precyzyjnie się do środka. Pokój pogrążony był w półmroku, meble stały bezładnie, na łóżkach leżała brudna pościel.

- Przytulna mała dziupla - stwierdził lensman.

Nagle Liv zeszywniała, a serce zaczęło jej walić jak młotem.

- Tam... Spójrzcie tam... - wyjąkała, wskazując kąt pokoju. - Jo, co oni ci zrobili?

Rzuciła się do oszołomionego Jo, więzy i knebel zostały przecięte, a Liv przez cały czas przeklinała bandytów. Jo oblizwał popękane wargi, a kiedy pani Garden przyniosła szklanekę wody, wypił łączywie.

- Bądź tak dobra... nie dotykaj... mnie - jęknął do Liv. - Ja sam mogę...

- Wiemy, wiemy - odparła dziewczyna, przyglądając się ze zgrozą wszystkim ranom zadany przez złoczyńców i otarciom od powrozów.

W końcu Jo odwrócił głowę i otworzył oczy, te cudowne zielone oczy, które teraz były zakrwawione i mętne. Jego wargi ułożyły się w niemal niezauważalny uśmiech.

- Liv - wyszeptał. - Ja myślałem o tobie. Ja wiedziałem, że ty... przyjdiesz.

Oczy zamknęły się na powrót i ciało zwiotczało. Liv nie była pewna, czy Jo stracił przytomność, czy zasnął.

Kiedy kolejny raz otworzył oczy, znajdował się w całkowicie obcym pokoju. Ale... czy naprawdę takim obcym?

- Ten pokój może należeć tylko do jednego jedyne człowieka na ziemi - powiedział głośno.

Liv zachichotała.

- Mój Boże, a ja tak sprzątałam!

- Nie to miałem na myśli. Ten pokój ma bardzo dużo wspólnego z twoją osobowością. Jest taki jak ty. A właściwie to jak się tutaj znalazłem?

- Przywiozła cię karetka. W szpitalu opatrzyli ci rany i lekarz powiedział, że wystarczy ci domowa opieka. Wtedy ja i mama rzuciłyśmy się na ciebie. Lekarz powiedział, że potrzebujesz przede wszystkim spokoju i gdy tylko odpoczniesz, natychmiast staniesz na nogi. Mówił, że nigdy nie widział tak zmęczonego człowieka. Czy wiesz, że spałeś nawet podczas opatrunku?

- Mogę w to uwierzyć. Najpierw nie mogłem spać przez cały tydzień z powodu cierpień miłosnych, a potem znalazłem się w prawdziwej izbie tortur! Możesz robić, co tylko chcesz, bylebyś tylko mnie nie rozśmieszała, bo moje wargi tego nie zniosą. Zaśpiewaj mi może coś smutnego.

- Dzisiaj nie znam żadnych smutnych piosenek. Sprawię ci ból, jeśli usiądę na krawędzi łóżka?

Jo uśmiechnął się swoimi opuchniętymi, poranionymi wargami.

- Byłoby gorzej, gdybyś tego nie zrobiła. Czy mam bardzo zdeformowaną twarz?

- Ach, ty draniu, nie myślisz chyba, że się w tobie zakochałam z powodu twojego niezwykłego wyglądu. Jeśli tak, to będziesz musiał zmienić zdanie - oświadczyła ponuro. - Bo dla mnie nie ma znaczenia, jak wyglądasz.

Jo wyciągnął obandażowaną rękę i pogłaskał ją po policzku.

- Jak zdołam ci kiedykolwiek podziękować za to, co dla mnie zrobiłaś, Liv?

Ona jednak zaczęła wyliczać na palcach:

- Ty uratowałaś mnie, kiedy o mało nie spadłam z ciężarówki, to raz. Drugi raz pomogłeś Finnowi, którego ukąsiła żmija przeznaczona dla mnie. Po raz trzeci uratowałaś mnie spod kamiennej lawiny. Po raz czwarty zająłeś się mną, kiedy nóż o mało nie wbił mi się w plecy. Po raz piąty przybiegłeś, kiedy Stein mnie uprowadził w góry i chciał mnie zamordować wrzucając do wodospadu. A wyliczanie innych rzeczy, które dla mnie zrobiłeś, zabrałoby nam zbyt wiele czasu. Czy pozwolisz mi na tę odrobinę radości z faktu, że i ja mogłam ci pomóc chociaż raz?

Jo patrzył na nią rozmarzonym wzrokiem.

- Wiesz, Liv - rzekł w zadumie. - Ty otworzyłaś mi nie tylko drzwi w tym starym domu. Otworzyłaś również jakieś drzwi w mojej duszy, drzwi, które były zamknięte przez wiele lat. Izolowałem się od ludzi, zamykałem się w sobie, bo ludzie byli zbyt natrętni, poza tym oczekiwali ode mnie tak wiele. Ty natomiast, wielka fantastka i marzycielka, w ogóle nie masz w sobie fałszu. Może więc i ja przy tobie odrobinę złagodnieję? Ale opowiedz mi teraz, co się wydarzyło, kiedy leżałem półprzytomny za tymi zamkniętymi drzwiami.

Liv opowiedziała wszystko. Wyjaśniła też, że Berger od dawna był wspólnikiem Sundta, że to właśnie Berger pomógł mu nawiązać kontakt z jakąś zagraniczną spółką, która chciała kupić ukradzione plany, ale że później Berger zapragnął się wycofać. Adwokat spotkał Haralda i Steina z powodu podejrzenia o to, że dokonali napadu. Pomógł im wyjść z tej sprawy obronną ręką, ale w zamian uczynił ich swoimi narzędziami. Lensman zdołał zbadać część przestępczych interesów Sundta, ale nie doprowadził jeszcze śledztwa do końca.

- Jo - zagadnęła Liv cicho. - Czy myślisz, że będę się mogła kiedyś przejechać twoim samochodem?

- Kiedyś? - roześmiał się. - To przecież teraz także twój samochód. Miejsce obok mnie będzie się nazywać „Miejsce Liv”.

Liv z drżeniem wciągnęła powietrze.

- Jo, spotyka mnie chyba zbyt wiele szczęścia.

- Powiedz mi jednak, co twoja rodzina na to, że zająłem twój pokój?

- Zaakceptowali cię, bo uznali, że jesteś niegroźny. Nikt przecież nie może cię nawet dotknąć, żebyś nie jęczał. A ja sypiam na kanapie w salonie.

- Jaka szkoda! Zmieścilibyśmy się tu oboje bez trudu. Ale oczywiście jeszcze nie teraz. - Popatrzył na nią i westchnął. - Nie, to w ogóle niemożliwe. Pospiesz się, Liv, dorastaj jak najszybciej!

Liv zaśmiała się uszczęśliwiona.

- A Tulla prosiła o wybaczenie za zachowanie na balu. Ojciec natomiast uważa, że jesteś nadzwyczajnym chłopcem... Jo, oni nas lubią!

- Oczywiście, że lubią, czyż mogło być inaczej?

Głucha detonacja wstrząsnęła domem.

- Zamek duchów wyleciał w powietrze - rzekł Jo.

- A ty tego nie widziałeś.

Przez chwilę patrzyli na siebie z powagą, a potem Liv zarzuciła ręce na szyję Jo, który wrzasnął z bólu. Puściła go pośpiesznie i szepnęła:

- Ty moje fantastyczne życie... Ty mój cudowny Jo.

On powtórzył cichutko, z czułością w głosie:

- Ty cudowna Liv...